DOBROBYT JUŻ BYŁ
Klimat, inflacja i inne plagi w portfelu

APOSTACI
Kim są, czego chcą

STANY ZAPALNE
Iran i USA: od 40 lat na kursie kolizyjnym

WIEDŹMIN®
Zbyt wielki, by upaść

WENECJA ZIMĄ
Labirynt, w którym nigdy się nie zgubisz

Kraków 19 stycznia 2020 nr 3 (3680) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Żeby naprawić sądy, trzeba naprawić parlament

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Pułapka na sprawiedliwość

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom.
„Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Trudne założenie dobrej woli*

Miałem błogosławić ich małżeństwo. Ona (znałem ją od dziecka) była wierzącą katoliczką, on (nie znałem go wcześniej) pochodził z rodziny ateistycznej, był synem wybitnej postaci w peerelowskim establishmencie. Kilka dni przed ślubem przypadkowo spotkałem go na ulicy. Kiedy zagadnąłem coś o ślubie, oświadczył, że dla niego religijny ryt jest bez znaczenia. Dodał, że nie jest ochrzczony. Tymczasem kilka dni wcześniej przyszła do mnie starsza pani, pielęgniarka bądź położna ze szpitala, w którym się urodził, żeby mi opowiedzieć, jak po urodzeniu – ponieważ był dzieckiem słabym – ochrzciła go, jak zwykła w takich przypadkach zawsze czynić. Więc opowiedziałem mu o tej rozmowie. Oburzony spytał, czy ten chrzest mógłby jakoś anulować. Powiedziałem więc, że według wiary Kościoła anulować się nie da. Potem był ślub (w jego przypadku bez „tak mi dopomóż, Panie Boże wszechmogący...").

Dziś, jeśli ten chrzest wpisano do księgi parafialnej, mógłby dokonać aktu formalnej apostazji (co nie oznacza anulowania chrztu). Wtedy tej praktyki nie było. Od partyjnych nie wymagano apostazji, tylko dawano im do rozumienia (może nakazywano?), żeby się w kościele nie pokazywali.

Dziś, kiedy nikt nikomu takich rzeczy nie nakazuje ani nie sugeruje, liczba apostazji, czyli formalnych wystąpień z Kościoła, rośnie. Dlaczego? Nie ma podatku kościelnego, do papierów nie wpisuje się wyznania, a prawne konsekwencje mają charakter czysto kościelny. Zabiegający o ten formalny akt traktują go poważnie. Sądzę, że jest to forma cichej manifestacji.

W pierwszym księżowskim odruchu myślę: czym dla nich jest Kościół? Należenie do niego musiało być dla nich jak należenie do partii lub innej organizacji. Przecież zawsze było wiadomo, że jest to „Kościół grzesznych ludzi" będący jednocześnie „Kościołem świętym" przez działanie w nim Chrystusa: Słowo Boże, sakramenty i charyzmat rodzenia świętych, wielkich świadków wiary, przybliżają człowieka do Boga.

Taki jest pierwszy odruch. A potem czytam mądre słowa krakowskiej psycholożki Natalii de Barbaro, która ostrzega: „Zajmowanie się cudzymi sumieniami ma tę słabość, że jest wysoce nieskuteczne, ponieważ, wyjmując sytuacje zupełnie wyjątkowe, nie ma siły, żebyśmy mieli większą władzę nad cudzym sumieniem niż własnym. Robimy to zatem nie dlatego, że przyniesie większy efekt, tylko dlatego, że jest tańsze – nie stanowi dla nas wysiłku...". I czytam dalej: „Nawet jeśli uda nam się przyjąć to niezwykle trudne założenie dobrej woli na początku rozmowy, nasz bliźni-obcy na pewno utrudni nam zadanie, mówiąc rzeczy, które będą nas oburzać. Warto spróbować chociaż chwilę dłużej nie tracić ducha; wytrzymać jeszcze parę minut, zadając kolejne pytania, i to nie takie, które mają mu udowodnić naszą rację, tylko takie, które są wyrazem prawdziwej ciekawości. Być może, słuchając naprawdę, zapracujemy sobie na to, że za chwilę zostaniemy wysłuchani. A może nie. Tak czy inaczej – niczego nie stracimy, a możemy lepiej zrozumieć świat, który nas otacza. Nawet jeśli wolelibyśmy, żeby wyglądał inaczej" („Miłuj obcego bliźniego", „TP" 48/2016; czytaj na powszech.net/obcego-bliziego).

Lektura artykułu Karola Wilczyńskiego „Idź z Bogiem" z pewnością będzie przedsmakiem rozmowy z „bliźnim-obcym". Przyjmując „niezwykle trudne założenie dobrej woli", słuchajmy naszych apostatów, słuchajmy naszych współwyznawców odchodzących z katolickiego Kościoła do innych chrześcijańskich wspólnot. Niczego nie stracimy, a być może lepiej zrozumiemy nie tylko świat, który nas otacza, ale także siebie i to, czym żyjemy. Może wtedy odkryjemy, dlaczego tak kiepskimi jesteśmy świadkami wiary. Tertulian zapisał w drugim wieku naszej ery, że poganie, patrząc na chrześcijan, mówili: „Zobaczcie, jak oni się miłują". ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim w Krakowie

„SPOŁECZEŃSTWO MONOLOGÓW. JAK PRZYWRÓCIĆ DIALOG SPOŁECZNY?"

wtorek, 21 stycznia, godz. 19.30
Café Szafé (ul. Felicjanek 10)
Wstęp wolny!

Podczas spotkania będzie można zakupić nową książkę ks. Adama Bonieckiego.

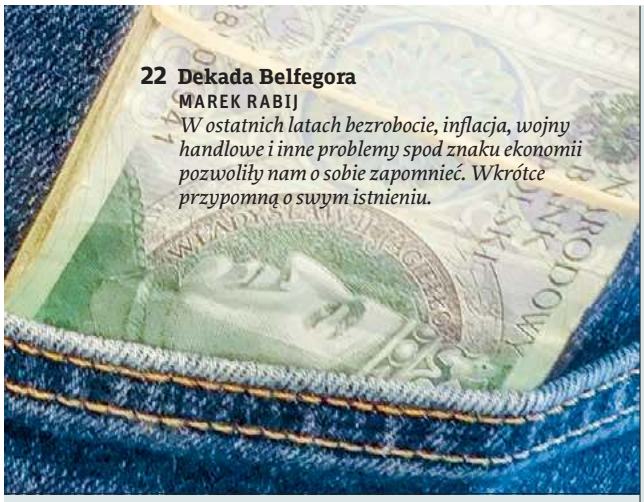

22 Dekada Belfegora
MAREK RABIJ
W ostatnich latach bezrobocie, inflacja, wojny handlowe i inne problemy spod znaku ekonomii pozwoliły nam o sobie zapomnieć. Wkrótce przypomną o swym istnieniu.

44 Wojna czterdziestoletnia
KRZYSZTOF STRACHOTA
Choć konflikt z Amerykanami trwa od chwili powstania Islamskiej Republiki Iranu, jedni i drudzy do siebie nie strzelali, przynajmniej nie pod własną flagą. Aż do tej pory.

34 Idź z Bogiem
KAROL WILCZYŃSKI
Dlaczego coraz więcej osób decyduje się formalnie wystąpić z Kościoła katolickiego?

29 Szanse liczone w gramach
MAŁGORZATA NOCUŃ
Nie byłoby polskiej neonatologii, gdyby nie lekarze wizjonerzy. Ale lekarze nie mieliby szans bez nowoczesnej aparatury, czyli bez wsparcia WOŚP.

64 Takie przeznaczenie
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
„Wiedźmina" w ogóle nie można oceniać w kategorii „dobry serial" – „zły serial". Tu bogiem jest zasięg.

78 Mokro od spodu
PAWEŁ BRAVO
W Wenecji piękno otacza człowieka w pełnym obrocie na piętach wokół osi własnego ciała. Szczególnie zimą.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER // ATTA KENARE / AFP / EAST NEWS // MYŚLIWIEC / REPORTER // MIRCO TONIOLO / ROPI / ZUMA PRESS / FORUM // KATALIN VERMES / NETFLIX // ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER //

6 Rozgrywanie pamięci KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Dekada Belfegora MAREK RABIJ

26 Dorwać Grodzkiego KALINA BŁAŻEJOWSKA: *W aferze, którą od dwóch miesięcy karmią się prorządowe media, nastąpił gwałtowny zwrot akcji*

29 Szanse liczone w gramach MAŁGORZATA NOCUŃ

WIARA

34 Idź z Bogiem KAROL WILCZYŃSKI

38 Zamiast kapitalizmu ROZMOWA Z LUIGINO BRUNIM, EKONOMISTĄ: *Pomysł Franciszka polega na słuchaniu tych, których głos był w ekonomii lekceważony*

41 Korony drzew chronią modlitwy DOROTA BIDZIŃSKA: *W Etiopii ekolodzy i duchowni połączyli siły. Stawką jest przetrwanie lasów*

ŚWIAT

44 Wojna czterdziestoletnia KRZYSZTOF STRACHOTA

47 Turcja w Maghrebie MARCIN ŻYŁA

48 Słowa Stalina w ustach Putina ANNA ŁABUSZEWSKA *o historycznej batalii prowadzonej dziś przez rosyjskiego prezydenta*

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

12 Pułapka na sprawiedliwość KLAUS BACHMANN

Oto skutek wojny PiS z sądami: ważne ustrojowe sprawy nie będą rozstrzygane w dialogu między rządem a opozycją. Będą to robić instytucje, w których Polacy odgrywają minimalną rolę i których demokratyczna legitymizacja jest słaba.

16 Sądy mogą być lepsze ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM WRÓBLEM, SĘDZIĄ SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Obywatel ma prawo narzekać na sąd, od którego nie może się doczekać wyroku, bo ustawy roją się od luk i sprzeczności.

FELIETONY

32 ANNA DZIEWIT-MELLER **59** WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MAREK ZALEJSKI
ADOBE.STOCK.COM
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

51 Szósty prezydent WOJCIECH KONOŃCZUK Z KIJOWA: *Jaka będzie prezydentura Zełenskiego?*

54 Cypr: kto jest winny w sprawie gwałtu PATRYCJA BUKALSKA

HISTORIA

56 Trzynastu z Pratulina ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA: *Półtora wieku temu w wiosce nad Bugiem od rosyjskich kul zginęli niepiśmienni chłopi*

NAUKA

60 Ludzie tacy jak my ŁUKASZ KWIATEK: *Sto tysięcy lat temu występowało obok siebie przynajmniej sześć różnych gatunków człowieka*

KULTURA

64 Takie przeznaczenie MARCIN NAPIÓRKOWSKI

68 Płynna sława MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Trzy lata po śmierci Zygmunta Baumana jego reputacja jest coraz śmielej podważana*

71 Dwie opowieści PIOTR KOSIEWSKI *o nowej aranżacji kolekcji Muzeum Czartoryskich*

74 Doskonały obcy ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Tam gdzieś musi być niebo" Elii Suleimana*

76 Równa i posilna przyjaźń LEKTOR *o korespondencji Ryszarda Przybylskiego i Tadeusza Różewicza*

ZMYSŁY

78 Mokro od spodu PAWEŁ BRAVO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Moich dwóch papieży

Osobiście znam obu bohaterów filmu. Mogę nawet powiedzieć, że cieszę się ich przyjaźnią – **LEONARDO BOFF**, *brazylijski teolog, jeden z ojców teologii wyzwolenia, kreśli refleksję na kanwie filmu „Dwóch papieży"* **powszech.net/dwoch-papiezy**

Rok w nauce [Podkast Powszechny]

Co w 2019 roku było najważniejszym odkryciem? Nowy gatunek człowieka? Mroczne sekrety małp? I na jakie odkrycia liczymy w roku 2020? – *rozmawiają redaktorzy działu naukowego „TP":* **ŁUKASZ KWIATEK** *i* **ŁUKASZ LAMŻA**. *Weź, słuchaj!* **powszech.net/rok-nauka**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

STEPHANIE LECOCQ / EPA / PAP

ROZGRYWANIE PAMIĘCI

Nie udzielając głosu prezydentowi Dudzie, Izrael nie udziela go Polsce: tej, w której przez ostatnich 30 lat wykonano ogromną pracę nad pamięcią o polsko-żydowskim dziedzictwie.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

To już przykra tradycja, że w styczniu, w okolicach Dnia Pamięci o Holokauście, musi dojść do polsko-izraelskiej awantury. Wpisaliśmy to w dziennikarskie kalendarze i odnotowujemy: prawo, które polski rząd uchwala, potem się zeń tłumaczy i wycofuje; obraźliwe słowa szefa izraelskiego MSZ, za które ten nie przeprasza. A teraz: odwołanie przyjazdu przez prezydenta Andrzeja Dudę na V Światowe Forum Holokaustu. Zdawałoby się, że nic nas już nie zdziwi: ani to, że brak w tych sytuacjach wrażliwości dla perspektywy drugiej strony, ani to, że styczeń mija, a potem rok toczy się niemal niezakłóconym torem: między Polską i Izraelem kwitną relacje biznesowe, samoloty tanich linii latają zapakowane do granic możliwości, a rządy – tak przecież do siebie podobne – inspirują się nawzajem i wspierają na europejskim forum.

A jednak ostatnie wydarzenie może mieć poważniejsze skutki, niż nam się zdaje. Według Yad Vashem prezydent Duda nie potwierdził udziału w V ŚFH, które odbędzie się w Jerozolimie na cztery dni przed oficjalnymi obchodami w Oświęcimiu. W informacjach Yad Vashem czytamy też, że w czasie Forum głos zabiorą „cztery główne siły alianckie, które wyzwoliły Europę i świat od morderczej tyranii nazistowskich Niemiec", a także sami Niemcy. Polska głosu nie otrzymała. Ambasador w Izraelu Marek Magierowski napisał na Twitterze, że organizatorzy wiedzieli o warunkach udziału, jakie stawia prezydent Polski, od co najmniej czterech miesięcy. Andrzej Duda obawiał się, że Władimir Putin w swojej przemowie powtórzy kłamliwe oskarżenia historyczne wobec Polski, dlatego chciał mieć gwarancję, że będzie mógł zabrać głos, by je sprostować.

Wiaczesław Mosze Kantor (w środku) jako szef Europejskiego Kongresu Żydów oraz przewodniczący europarlamentu Antonio Tajani i Beate Klarsfeld, honorowa ambasador ds. edukacji na temat Holokaustu i zapobiegania ludobójstwu, podczas obchodów Dnia Pamięci o Holokauście w europarlamencie w Brukseli, 25 stycznia 2017 r.

Prezydenta postawiono w sytuacji bez dobrego rozwiązania. Słusznie uznał, że pominięcie głosu Polski w czasie tak ważnego wydarzenia jest nieakceptowalne. Trudno wyobrazić sobie, że zabraknie go w miejscu, w którym konferencja się odbędzie: na placu Getta Warszawskiego, pod pomnikiem autorstwa Natana Rapaporta (nawiązującym do warszawskiego pomnika Bohaterów Getta współautorstwa tegoż Rapaporta). Niezależnie od tego, jaką narrację historyczną reprezentuje prezydent Duda i jak bardzo jest ona nie w smak organizatorom – fundacji World Holocaust Forum, Yad Vashem i prezydentowi Rivlinowi – Duda powinien tam być. Nie udzielając mu głosu, Izrael nie udziela głosu Polsce, w której przez ostatnich 30 lat liczni historycy, aktywiści i edukatorzy wykonują ogromną pracę nad pamięcią o polsko-żydowskim dziedzictwie.

Problem w tym, że ta perspektywa nie zostanie w Izraelu dostrzeżona. Światowe Forum Holokaustu ma w tym roku szczególne przesłanie: walkę z antysemityzmem, z naciskiem na Europę. Jak głosi Yad Vashem, obecność ponad 40 przywódców z Europy, Ameryki Północnej i Australii jest sygnałem „ich zaangażowania w ten cel". Brak Andrzeja Dudy zostanie dostrzeżony, narażając Polskę na ostracyzm i potwierdzając najgorsze stereotypy.

Dodatkowy kontekst całej sprawie nadaje wątek rosyjski. Wiele mówi się o powiązaniach z Kremlem współorganizatora Forum, oligarchy Wiaczesława Mosze Kantora. To nie pierwszy raz, gdy Rosja gra żydowską kartą, by wpłynąć na sytuację w jakimś kraju lub poróżnić go z Izraelem. I to nie przypadek, że właśnie teraz Putin zaatakował Polskę jako rzekomo współwinną wybuchu II wojny światowej. Jeśli prawdą jest, że Kantor realizował polecenia Kremla, nie dopuszczając prezydenta Polski do głosu i w tę brudną antypolską rozgrywkę wciągnął Yad Vashem oraz prezydenta Izraela – to ich brak wyczucia i nieumiejętność reagowania w tej sytuacji można wyjaśnić (co nie znaczy: usprawiedliwić) chyba tylko niechęcią wobec polskiego prezydenta i jego polityki. To niedorzeczne, że uroczystości ku pamięci ofiar Zagłady stają się miejscem wyrównywania politycznych rachunków.

Używanie ofiar Zagłady do realizowania bieżącej polityki przez jakikolwiek kraj jest skandalem. Ale największym skandalem jest, jeśli zgadza się na to główny strażnik ich pamięci – sam Izrael. ©

W dziale Świat Anna Łabuszewska pisze o atakach Putina, a Krzysztof Strachota o sytuacji na Bliskim Wschodzie, w tym także o tym, czemu Izrael stawia dziś na Rosję.

Świat Orkiestry się nie zawalił

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Powiem ci, Paweł, krótko: wracam do roboty, bierzemy się jeszcze cztery razy mocniej, dziesięć razy mocniej" – mówił Jerzy Owsiak rok temu, po pogrzebie zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Kilka dni wcześniej deklarował odejście z Fundacji. „Świat się zawalił" – tłumaczył później swój emocjonalny odruch.

Od kilku dni widzimy, jak świat Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wraca w swoje stare dobre koleiny. Po staremu mamy więc rekord gromadzonych – tym razem na diagnostykę i leczenie w dziecięcej medycynie zabiegowej – pieniędzy. Po staremu zaraźliwy entuzjazm – tym razem 120 tysięcy – wolontariuszy i atmosferę karnawału. Wreszcie po staremu – choć jakby z mniejszą intensywnością – aktywność zwalczających Orkiestrę hejterów. Zostawiając na boku rytualnie absurdalne zarzuty wobec Owsiaka, w tym roku był jednak obiektywny powód do krytyki: trudno bronić przyjęcia na aukcję WOŚP obrazu od ambasadora Chin – kraju, który łamie wszelkie standardy praw człowieka (traf chciał, że Orkiestra zbiegła się z kolejnymi przerażającymi informacjami, jak władze ChRL traktują Ujgurów w prowincji Xinjiang).

„To były straszne czasy, straszne, nie chcę ich wspominać. Brakowało wszystkiego: łóżeczek dla dzieci, respiratorów, aparatury medycznej, leków. Kiedy rodziło się kilogramowe dziecko, nie mieliśmy żadnych szans" – mówi w tym numerze „Tygodnika" (w reportażu Małgorzaty Nocuń w dziale Kraj) prof. Ryszard Lauterbach, szef Oddziału Klinicznego Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, zapytany, jak wyglądało ratowanie wcześniaków w epoce sprzed WOŚP.

Polska bez Owsiaka? Orkiestra po niemal trzech dekadach grania tak głęboko weszła w polski krwiobieg, że warto czasami zmuszać się do takiego myślowego ćwiczenia. ©℗

Marazm w PO? Oby tylko takie problemy

PAWEŁ BRAVO

Przez ostatnie cztery lata wyborcy szukający skutecznej alternatywy dla obecnej władzy często mieli powody, by narzekać na Grzegorza Schetynę. Mawiało się, nie bez racji, że bardziej interesuje go utrzymanie roli lidera opozycji niż realne przejęcie władzy. Że listy wyborcze układa nie po to, by mieć większość w Sejmie, lecz większość w klubie PO. Że umie budować spoistość partii, ale po drodze gubi kontakt z wyborcami.

Czy teraz, po zapowiedzi Schetyny, że nie będzie kandydować ponownie na jej przewodniczącego, PO ma szanse na bardziej porywającego lidera? Gdyby taki się szykował, to Schetyna – jeśli wierzyć opiniom o jego skuteczności w intrygach – pewnie dawno by go wyeliminował. Ale choć żaden z obecnych pretendentów do szefostwa nie wydaje się postacią przełomową, nie będzie to miało tak wielkiego znaczenia. Nawet pod niezbornym przywództwem i bez sukcesu w wyborach prezydenckich – Platforma pozostanie największą partią po stronie opozycji. Nadal będzie mieć armię posłów, włodarzy samorządowych i spory jak na polskie realia budżet. W polityce samo długie trwanie to także istotna wartość, a marazm nie musi być śmiertelną chorobą.

Natomiast toksyczne może okazać się starcie graczy niekrępowanych już formalnymi funkcjami. Schetyna będzie miał teraz więcej czasu, by knuć przeciw Donaldowi Tuskowi, który wszak dalej chce być kimś ważnym, choć bez podejmowania ryzyka. A bitwa pasażerów na tylnym siedzeniu może bardziej zaszkodzić jeździe niż kiepski kierowca. ©℗

Kto jest kim w sieci

BŁĄD FACEBOOKA – skutkujący możliwością ujawnienia, kto prowadzi czyje profile – sprawił, że na chwilę opadła kurtyna. Zobaczyliśmy, kto w Polsce podgrzewa polityczny teatr. I tak, antyplatformerski profil „TV48" prowadził Samuel Pereira z TVP Info, a treści na antypisowskim „Soku z buraka" zamieszczał Marcin Mycielski z Fundacji Otwarty Dialog. Oba profile słynęły z agresywnych treści. Z kolei Dariusz Matecki, szczeciński radny PiS, w sprawie którego trwa śledztwo związane z mową nienawiści na jego stronach (m.in. „Stop Islamizacji Europy"), prowadzi profil Ministerstwa Sprawiedliwości. Zawiadomienie do prokuratury, od którego zaczęło się to śledztwo, złożył zaś Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, którego profilem zarządzał Konrad Dulkowski – ten, który w 2018 r. w odpowiedzi na pismo przedprocesowe lokalnego portalu ddb24.pl pisał, że „ani jako prezes Fundacji, ani jako osoba prywatna" nie ma wpływu na to, co publikuje profil Ośrodka. Przykłady można mnożyć.

W świecie ta awaria może skutkować nie farsą, tylko tragedią: osoby prowadzące antyreżimowe profile w krajach autorytarnych zostały narażone przez błąd, który – jak podał Facebook – „szybko naprawiono". Czyli po kilku godzinach. To dość czasu, by zrobić kopie. ©℗ PATRYK STANIK

Las dla myśliwych

KTO „CELOWO UTRUDNIA lub uniemożliwia wykonywanie polowania", podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku – taki zapis znalazł się w projekcie ustawy o ochronie zdrowia zwierząt i zwalczaniu chorób zakaźnych zwierząt, nad którym pracuje właśnie Sejm. W przypadku polowań sanitarnych kara wzrośnie do trzech lat.

Lobby myśliwskie i wspierający je politycy (kilkudziesięciu parlamentarzystów należy do kół łowieckich) konieczność wprowadzenia nowych przepisów tłumaczą afrykańskim pomorem świń, chorobą zagrażającą trzodzie chlewnej, i jako środek zapobiegawczy forsują przetrzebienie populacji dzików w polskich lasach.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że zagrożenie ASF stało się dla myśliwych dogodnym pretekstem do zwiększenia uprawnień. Wśród ich postulatów jest m.in. rozszerzenie obwodów łowieckich na kolejne podmiejskie parki i lasy, w których prócz dzików każdego dnia przebywają spacerowicze, rowerzyści, biegacze i inni miłośnicy aktywnego wypoczynku. Nowelizacja prawa łowieckiego przewiduje także umożliwienie polowań z tłumikiem. ©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

BIURO PRASOWE PARLAMENTU MONGOLII

W ULAN BATOR
28 tys. zł kosztowała podróż wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Gosiewskiej do Mongolii na obchody 30. rocznicy pierwszych demokratycznych wyborów w tym kraju (na zdjęciu z przewodniczącym parlamentu). Pod względem kosztów Gosiewska jest przodowniczką zagranicznych podróży poselskich; wybrała się również na wigilię dla bezdomnych w Hamburgu.

W TORUNIU
O. Tadeusz Rydzyk ostatnio nie podróżuje, natomiast wytrwale telefonuje do swojej rozgłośni. W jednej z niedawnych audycji dyrektor Radia Maryja nazwał Gretę Thunberg „dzieckiem, które ma się uczyć, a nie manipulować innymi dziećmi, aby rozrabiały", ekologów porównał do Armii Czerwonej, a posłów lewicy określił mianem „sodomitów". Gościem programu był przedstawiciel lobby hodowców zwierząt futerkowych.

W WARSZAWIE
Propozycje programowe innych mediów również coraz bardziej interesujące: TVP Info zapowiedział właśnie debiut programu „Kasta", omawiającego „głośne procesy, kontrowersyjne wyroki, ludzkie dramaty", a także organizującego „debatę" na temat kondycji polskiego wymiaru sprawiedliwości.

W KRAKOWIE
Urząd Miasta zapowiedział rozwiązanie kontraktu z dyrektorem Teatru Bagatela Henrykiem Jackiem S., który usłyszał prokuratorskie zarzuty nakłaniania podległych mu kobiet do poddania się czynności seksualnej oraz łamania praw pracowniczych.

Zestrzelenie samolotu: skrucha Iranu, złość Irańczyków

PO TRZECH DNIACH ZAPRZECZANIA władze w Teheranie przyznały się do omyłkowego zestrzelenia samolotu Ukrainian International Airlines. 176 pasażerów i członków załogi zginęło, gdy 8 stycznia rano, cztery minuty po starcie, obok samolotu eksplodowała rakieta (lub dwie rakiety) irańskiej obrony przeciwlotniczej. Prezydent Iranu napisał, że jego kraj „głęboko żałuje katastrofalnego błędu", a dowódca sił lotniczych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej oświadczył, że wolałby zginąć na pokładzie, niż obserwować skutki tego, co się stało. Obiecano rzetelne śledztwo.

Jednak władze irańskie wciąż kluczą, sugerując, że żołnierzy zmylił czy to nagły zwrot samolotu (choć wyniósł tylko kilkanaście stopni, a przed maszyną ukraińską siedem innych wznosiło się wzdłuż zbliżonego toru lotu, wykonując podobny zwrot), czy to obawa przed amerykańskim samolotem (choć tzw. przekrój odbicia radarowego boeinga 737 różni się od tego emitowanego przez mniejsze myśliwce lub drony). Czy Teheran kluczy, by osłabić wnioski godzące w jego wizerunek regionalnego mocarstwa? Wygląda bowiem na to, że część jego sił zbrojnych jest źle wyszkolona i fatalnie reaguje w sytuacji stresowej (do tragedii doszło kilka godzin po irańskim ataku na bazy USA w Iraku, gdy Irańczycy oczekiwali odwetu Amerykanów).

CHRIS YOUNG / THE CANADIAN PRESS / EAST NEWS

Inaczej zareagowali za to mieszkańcy Teheranu, którzy w minioną sobotę wyszli na ulice, by upamiętnić ofiary katastrofy (na zdjęciu). Spotkanie przerodziło się w serię antyrządowych protestów, które trwały także w niedzielę. „Czuję zawstydzenie, gdy myślę o rodzinach ofiar"; „Są dla nas [władze] jak Państwo Islamskie"; „Nie ma szans na reformę tego systemu" – mówili Irańczycy dziennikarzom. Choć w protestach brali udział głównie ludzie młodzi, kładą one kres nadziejom władz, że niedawne zabicie przez USA generała Sulejmaniego [patrz tekst w dziale Świat – red.] zjednoczy naród i wzmocni nastroje antyamerykańskie. ©℗ MARCIN ŻYŁA

TRACEY NEARMY / REUTERS / FORUM

JUŻ NIE WIADOMO, co bardziej przeraża Australijczyków: pożary czy ich lekceważenie przez polityków, zblatowanych z przemysłem wydobywczym. „Nie dokonam nierozsądnych cięć" – przyrzekł górnikom premier Scott Morrison po powrocie z wakacji na Hawajach, gdzie przegapił pierwszą fazę pożarów. Wicepremier dołączył do szefa, przekonując, że za skalę pożarów odpowiada „wybuchowy obornik". Nawet lider opozycji Anthony Albanese uspokaja, że miejsca pracy górników nie są zagrożone. 25-milionowy kraj to jeden z głównych producentów węgla. Na mieszkańca przypada prawie 17 ton CO_2 rocznie, dwa razy więcej niż w przeliczeniu na jednego Polaka lub Chińczyka. ©℗ MR

Teruel, pępek Hiszpanii

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Po dziesięciu miesiącach politycznego chaosu i dwukrotnych przyspieszonych wyborach w Hiszpanii udało się niemożliwe: utworzyć rząd.

Żeby premier Pedro Sánchez uzyskał wotum zaufania, potrzeba było przyzwolenia dwunastu katalońskich i pięciu baskijskich nacjonalistów, którzy wstrzymali się od głosu. Przemawiająca w imieniu Katalońskiej Lewicy Republikańskiej (ERC) Montserrat Bassa – siostra Dolors Bassy skazanej na 12 lat więzienia za organizację referendum niepodległościowego – powiedziała z parlamentarnej mównicy, że „osobiście guzik ją obchodzi" stabilność hiszpańskiego rządu, ale jej klub postanowił „dać Hiszpanii możliwość dialogu".

W 350-osobowej Izbie Deputowanych decydujący okazał się jeden głos: Tomása Guitarte, posła partii Teruel Existe (Teruel Istnieje). Ugrupowanie to powstało, żeby zwrócić uwagę kraju na ten region w Aragonii, wykluczony komunikacyjnie i wyludniony. Udało się aż za bardzo: przed głosowaniem Guitarte dostał tyle gróźb, że przyznano mu ochronę.

Rząd Sáncheza, który tworzą socjaliści (PSOE) i partia Podemos, to pierwszy w Hiszpanii koalicyjny gabinet od czasu wojny domowej. To także jeden z najbardziej lewicowych rządów w Europie: parytetowy (12 mężczyzn i 11 kobiet), w planach mający przyspieszenie transformacji energetycznej, wprowadzenie prawa do eutanazji, zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia do 7 proc. PKB, podwyżkę płacy minimalnej oraz podniesienie podatków dla najbogatszych i wielkich korporacji.

Ale żeby tego wszystkiego dokonać, Sánchez będzie potrzebował absolutnej dyscypliny swoich posłów i przychylności partii regionalnych, głównie katalońskich separatystów. Jeśli ją straci, Hiszpanię czekają nowe wybory – piąte w ciągu pięciu lat. ©℗

Co można zabrać ze wspólnego domu...

...ZWŁASZCZA GDY SIĘ JEST W NIM TYLKO JEDNĄ NOGĄ? Na dwa tygodnie przed wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii dyskutuje się o tym w Brukseli. Pretekst: przeciek z raportu, który ujawnił, że brytyjskie służby kopiują – prawdopodobnie kontraktując do tego firmy z USA – bazy danych strefy Schengen (SIS), zawierające nazwiska osób poszukiwanych przez europejskie policje.

Wielka Brytania nie jest członkiem strefy Schengen, w ramach której zniesiono kontrole na granicach wewnętrznych, jednak od lat ma dostęp do jej systemu informacyjnego. O sprawie wiadomo od półtora roku, od wizyty unijnych inspektorów w 22 brytyjskich punktach granicznych, jednak w związku z zawirowaniami wokół brexitu dotąd jej nie rozwiązano. Zdaniem holenderskiej posłanki do PE Sophie in 't Veld – która oskarża Brytyjczyków o to, że zachowują się jak „banda kowbojów" – służby na Wyspach selektywnie korzystają z SIS, nie zawsze informując członków Schengen, gdy podejrzane osoby wyjeżdżają z Wielkiej Brytanii.

Brytyjskie służby będą mieć dostęp do bazy danych do końca roku – tyle ma trwać okres przejściowy, łagodzący niektóre skutki „twardego" brexitu.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Megxit, brexit i co dalej

„PROGRESYWNEJ NOWEJ ROLI" chcą dla siebie Harry Windsor i jego żona Meghan Markle: książę i księżna Sussex (taki noszą tytuł) zdecydowali o wycofaniu się z pierwszego szeregu brytyjskiej rodziny królewskiej. Poziomów dramatu, których twórcom serialu „The Crown" starczyłoby na nowy sezon, jest tu kilka – jak pytanie o powody decyzji (presja mediów, ale i ambicje Meghan sięgające poza przecinanie wstęg) czy kwestie prawne (kim teraz będą, bo raczej nie panią i panem Windsor). Ale najważniejsze jest pytanie o wizerunek i sens monarchii. Ostatni rok był dla Windsorów i Elżbiety II trudny. Jej 98-letni mąż spowodował wypadek samochodowy, a syna odsunięto od funkcji reprezentacyjnych z powodu kontaktów z przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem. No i kwestia „królowa a brexit": premier wprowadził ją w błąd, prosząc o zawieszenie parlamentu...

Choć dziś niemal połowa Brytyjczyków uważa, że megxit (jak nazwano tę sprawę) nie zaszkodzi monarchii, to padają pytania, jaka powinna ona być, a nawet czy jest potrzebna. I ile kosztuje: w sondażu YouGov 45 proc. wyraziło poparcie dla decyzji Harry'ego i Meghan, ale zarazem 63 proc. uważa, że ich finansowanie powinno się skończyć. „Firma", jak nazywana jest królewska rodzina, daje więc obywatelom poczucie kontynuacji i tradycji: że wszystko jest na swoim miejscu. Jednak pod warunkiem, że funkcjonuje bez zgrzytów i jej członkowie wypełniają przypisaną im rolę. Jak to w każdej firmie. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Więcej na: **powszech.net/megxit**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

FILM O BENEDYKCIE
„Kiedyś mój głos był mocny, dziś już tak nie działa” – mówił Benedykt XVI w bawarskiej telewizji BR24. W półgodzinnym filmie dokumentalnym o życiu papieża Ratzingera kilka scen nakręcono w watykańskim klasztorze Matki Kościoła, gdzie papież emeryt mieszka od czasu abdykacji. 93-letni hierarcha jest słaby fizycznie, wypowiada się cicho i z trudem. „Ale umysł ma wciąż jasny” – wyjaśnia abp Georg Gänswein, sekretarz i opiekun papieża, dodając, że Benedykt XVI prowadzi zdyscyplinowany tryb życia i bardzo tęskni za rodzinną Bawarią.

TWITTER

EKSKOMUNIKA DLA PUSTELNIKÓW
Troje szkockich pustelników – ks. Stephen de Kerdrel (na zdjęciu), siostra Colette Roberts i brat Damon Kelly – zostało ekskomunikowanych przez miejscowego biskupa katolickiego. Powodem kary była ogłoszona w kwietniu ub. roku deklaracja, że papież Franciszek jest „wielkim heretykiem”. Pustelnicy żyją w wiosce Westray na wyspie Orkney w Szkocji razem z wielką liczbą kotów.

METODYŚCI SIĘ DZIELĄ
Zwierzchnicy Kościoła metodystycznego, drugiej po baptystach najliczniejszej wspólnoty protestanckiej w USA, ogłosili podział na dwa Kościoły. Powodem schizmy jest brak porozumienia w sprawie małżeństw jednopłciowych oraz wyświęcania osób LGBTQ. Formalnie podział na wspólnotę konserwatywną i liberalną ma zostać zatwierdzony w maju podczas Konferencji Generalnej Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego. W 2016 r. było na świecie 12,5 mln metodystów.

Papież może być tylko jeden

EDWARD AUGUSTYN

Niezwykła i niebezpieczna jest książka papieża Benedykta XVI i kard. Roberta Sarah, która w tym tygodniu trafia do sprzedaży we Francji. Zatytułowana „Z głębokości naszych serc. Kapłaństwo, celibat i kryzys Kościoła katolickiego”, jest obroną celibatu i apelem do Franciszka, by nie zgodził się na wyświęcanie żonatych mężczyzn. Książka zaskoczyła większość osób w Watykanie. Nie wiadomo, czy poinformowano o niej Franciszka. Utrzymanie tajemnicy było najwyraźniej autorom i wydawcom potrzebne.

To wydarzenie niezwykłe. Przed Benedyktem XVI papieże abdykowali dwukrotnie, w XIII i XV w. Złożenie przez niego urzędu nie miało więc precedensu w czasach nowożytnych i nie regulowały tego żadne normy postępowania. Odchodząc na emeryturę, papież zapowiadał, że odda się modlitwie i studiom i nie będzie angażować się w bieżące sprawy Kościoła. Wielokrotnie zapewniał o lojalności i wsparciu dla swego następcy.

Książka jest niewątpliwie reakcją na synod amazoński. Świadczy o tym choćby datowanie rozdziałów (wrzesień, listopad i grudzień 2019), jak i sama data premiery – wkrótce ma zostać opublikowana postsynodalna adhortacja Franciszka, która, zgodnie z postulatami synodu, być może dopuści do święceń żonatych diakonów. Próba wywarcia presji na urzędującego papieża to złamanie obietnicy złożonej przez papieża emeryta oraz niebezpieczny precedens. Antyfranciszkowy nurt w Kościele zacznie jeszcze bardziej podpierać się autorytetem Benedykta, a kryzys, o którym piszą autorzy książki, może łatwo przerodzić się w rozłam. Bo w Kościele katolickim, inaczej niż w filmie, papież może być tylko jeden. ©℗

FB / LAS BIELAŃSKI

KSIĘŻA DLA WOŚP. Przykład dali duchowni polskokatoliccy. Od trzech lat niedzielną tacę za zgodą parafian przekazuje na WOŚP ks. Kazimierz Klaban, proboszcz polskokatolickiej parafii Dobrego Pasterza w Elblągu. Za nim poszedł w tym roku ks. Kamil Wołyński, proboszcz kolejnej parafii polskokatolickiej – św. Jakuba Apostoła w Żółkiewce, ale także ks. Wojciech Drozdowicz (na zdjęciu), proboszcz rzymskokatolickiej parafii bł. Edwarda Detkensa na warszawskich Bielanach. ©℗ ASK

Auto dla Wspólnoty Chleb Życia

TO PRZESZŁO nasze najśmielsze oczekiwania – piszą organizatory zbiórki charytatywnej ze Wspólnoty Chleb Życia siostry Małgorzaty Chmielewskiej, którzy poprzez Facebook zbierali pieniądze na auto do przewozu osób niepełnosprawnych i innych mieszkańców domu dla osób w kryzysie bezdomności w Jankowicach, otwartego w lipcu 2019 r. Zakładane 30 tys. złotych zebrano w ciągu doby, ale ofiarność darczyńców nie ma końca: zbiórka trwa, do 13 stycznia podarowano już ponad 60 tys. zł. Darowizny można będzie przekazywać do końca stycznia pod adresem **powszech.net/zbiorka** lub na konto bankowe (numer 73 8004 0002 2001 0000 1270 0001). ©℗ PS

Ile masz kotów?

ISTNIEJE SILNY NEGATYWNY związek między uczestnictwem w nabożeństwach a posiadaniem kota – do takiego wniosku doszedł zespół prof. Samuela Perry’ego z University of Oklahoma. Socjologowie, próbując opisać profil właściciela kota, ustalili (na podstawie 2 tys. ankiet), że osoby chodzące do kościoła więcej niż raz w tygodniu mają średnio 1,4 kota, natomiast niepraktykujące – średnio 2 koty. Perry sugeruje, że posiadanie zwierzęcia zastępuje społeczne korzyści płynące z przynależności do wspólnoty religijnej. Dla niewierzącego relacja z kotem staje się substytutem relacji międzyludzkich. Co więcej, może on postrzegać kota jako... substytut Boga. Kot wchodzi bowiem w interakcję na własnych warunkach, zmusza do wysiłku, by zdobyć jego uczucia, a człowiekowi „przeszkadza myśl, że kot mógłby być z niego niezadowolony”. Badacze przypominają słowa pisarza-ateisty Christophera Hitchensa: „daj psu jedzenie i wodę, to pomyśli, że jesteś Bogiem. Daj kotu jedzenie i wodę, to pomyśli, że on jest Bogiem”. ©℗ MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

WŚRÓD GWIAZD
Znamy nazwiska dziesięciu młodych aktorów, którzy podczas festiwalu filmowego Berlinale odbiorą nagrodę European Shooting Star. Wśród nich jest Bartosz Bielenia, odtwórca głównej roli w walczącym o Oscara filmie „Boże Ciało". Nagrody dla gwiazd europejskiego kina – przyznawane od ponad 20 lat – otrzymywali w przeszłości m.in. Rachel Weisz i Daniel Craig.

Z CSW DO CIMAM
Była dyrektorka Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski Małgorzata Ludwisiak została członkinią zarządu światowego stowarzyszenia muzeów sztuki nowoczesnej i współczesnej CIMAM. Jej kadencja potrwa dwa lata. Ludwisiak była dyrektorką CSW przez 6 lat. W czerwcu 2019 r. minister Piotr Gliński zdecydował, że zastąpi ją Piotr Bernatowicz.

GERALT I ŻBIK
Zmarł Bogusław Polch (na zdjęciu), klasyk polskiego komiksu, współtwórca „Funky'ego Kovala", „Ekspedycji", komiksowej adaptacji opowieści o wiedźminie Geralcie i zeszytów z serii „Kapitan Żbik". Miał 79 lat.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

RYMY I REGULAMINY
Zmieniono regulaminy Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus i Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius. Nagrody pieniężne otrzymają nie tylko laureaci, lecz wszyscy finaliści. Impulsem do zmian była decyzja poetów nominowanych do ubiegłorocznego Silesiusa, którzy postanowili podzielić między siebie wygraną jeszcze przed poznaniem werdyktu jury.

Aby niewidoczne stało się widoczne

MONIKA OCHĘDOWSKA

Na okładce uśmiechnięta, obejmująca się para nastolatków i podpis: „Tylko u nas. Lilka zostanie zgwałcona" – tak przedświąteczną sprzedaż podbijał popularny dwutygodnik „Świat Seriali". Zapowiedź (filmowego) gwałtu na nastolatce, bohaterce serialu „M jak miłość", stała się newsem także w mediach społecznościowych. Na facebookowym profilu wydawcy serialu zorganizowano zabawę: ukryto imię bohaterki, proponując wytypowanie, która z kobiet zostanie ofiarą noworocznego odcinka.

Tymczasem taka „gra" toczy się codziennie: w Polsce ofiarą gwałtów pada rocznie ok. 1500 kobiet. To tylko oficjalna statystyka, bo zgwałcone często nie zgłaszają przestępstwa, m.in. z obawy o wtórną wiktymizację. W wyemitowanym (na razie tylko w internecie) odcinku „M jak miłość" zgwałcona na imprezie Lilka nie zgadza się pójść na policję ani do lekarza. Jej chłopak, próbujący zgłosić sprawę organom ścigania, doświadcza ich opieszałości. Para nastolatków musi zmierzyć się z traumą sama.

W kilku miastach trwa właśnie akcja „Plakaciary przeciw przemocy wobec kobiet". „Ma pomóc kobietom zaistnieć w przestrzeni publicznej, w której nie czują się bezpiecznie, jeśli nie towarzyszy im zaufany mężczyzna", mówiła jej pomysłodawczyni, Karolina. Serial wzmacnia to poczucie: Lilka pada ofiarą gwałtu, gdy na moment rozstaje się z chłopakiem.

Szkoda, że temat sprowadzono do promocyjnej „zabawy". ©℗

OBR 2019

MUZEUM IGORA MITORAJA powstaje na rynku w Pietrasanta, miasteczku w północno-zachodnich Włoszech, słynnym z wydobycia i przetwarzania marmuru, gdzie polski rzeźbiarz spędził większą część swego życia. W budynku zaprojektowanym wspólnie przez dwa włoskie biura architektoniczne (OBR z Mediolanu i Politecnica z Modeny) prezentowane będą dzieła ofiarowane przez autora i jego spadkobierców włoskiemu ministerstwu kultury. ©℗ EA

Jak poprawić szczepionkę na gruźlicę

CHOĆ OD NIEMAL STU LAT jest na nią szczepionka, gruźlica pozostaje jedną z najbardziej śmiercionośnych chorób: w 2018 r. na świecie zmarło na nią półtora miliona ludzi. Szczepionka wprawdzie dobrze chroni dzieci, ale słabiej działa u nastolatków i dorosłych. Być może jednak istnieje prosta metoda poprawiająca jej działanie. Naukowcy Patricia Darrah i współpracownicy podawali makakom królewskim szczepionkę na trzy sposoby: tradycyjnie (podskórnie), w formie aerozolu i wprost do układu krwionośnego. Okazało się, że podanie dożylne aktywizuje większą liczbę komórek odpornościowych. Gdy po 6 miesiącach małpy wystawiono na szczep bakterii gruźlicy, w grupie tych, u których szczepionkę podano dożylnie, choroba nie tylko miała słabszy przebieg, ale w większości przypadków w ogóle się nie rozwinęła.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

Globalna walka o wodę

ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE EVANS PLAINS – wieś położona 200 km od Sydney – nie ma nic, co może ściągnąć zorganizowaną przestępczość. Jednak w grudniu 2019 r. padła ofiarą przestępstwa, które wymagało zorganizowanego działania: ktoś ukradł ze zbiorników 300 tys. litrów wody. W ogarniętej pożarami Australii woda to towar coraz cenniejszy.

To także przedsmak przyszłości. Według Pacific Institute w ostatniej dekadzie podwoiła się liczba aktów przemocy związanych z wodą. Aby opanować sytuację, badacze z siedmiu instytucji naukowych stworzyli wraz z holenderskim MSZ specjalne narzędzie: algorytmy szkolone na danych z ostatnich 20 lat szacują prawdopodobieństwo wybuchu konfliktów o wodę, biorąc pod uwagę 80 czynników środowiskowych i socjoekonomicznych. Algorytm przewiduje, że takie konflikty, w których zginie co najmniej 10 osób, w 2020 r. mogą wybuchnąć w Mali, Iraku, Iranie, Nigerii, Indiach i Pakistanie.

Według ONZ do 2050 r. aż 5 mld ludzi doświadczy niedoboru wody. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

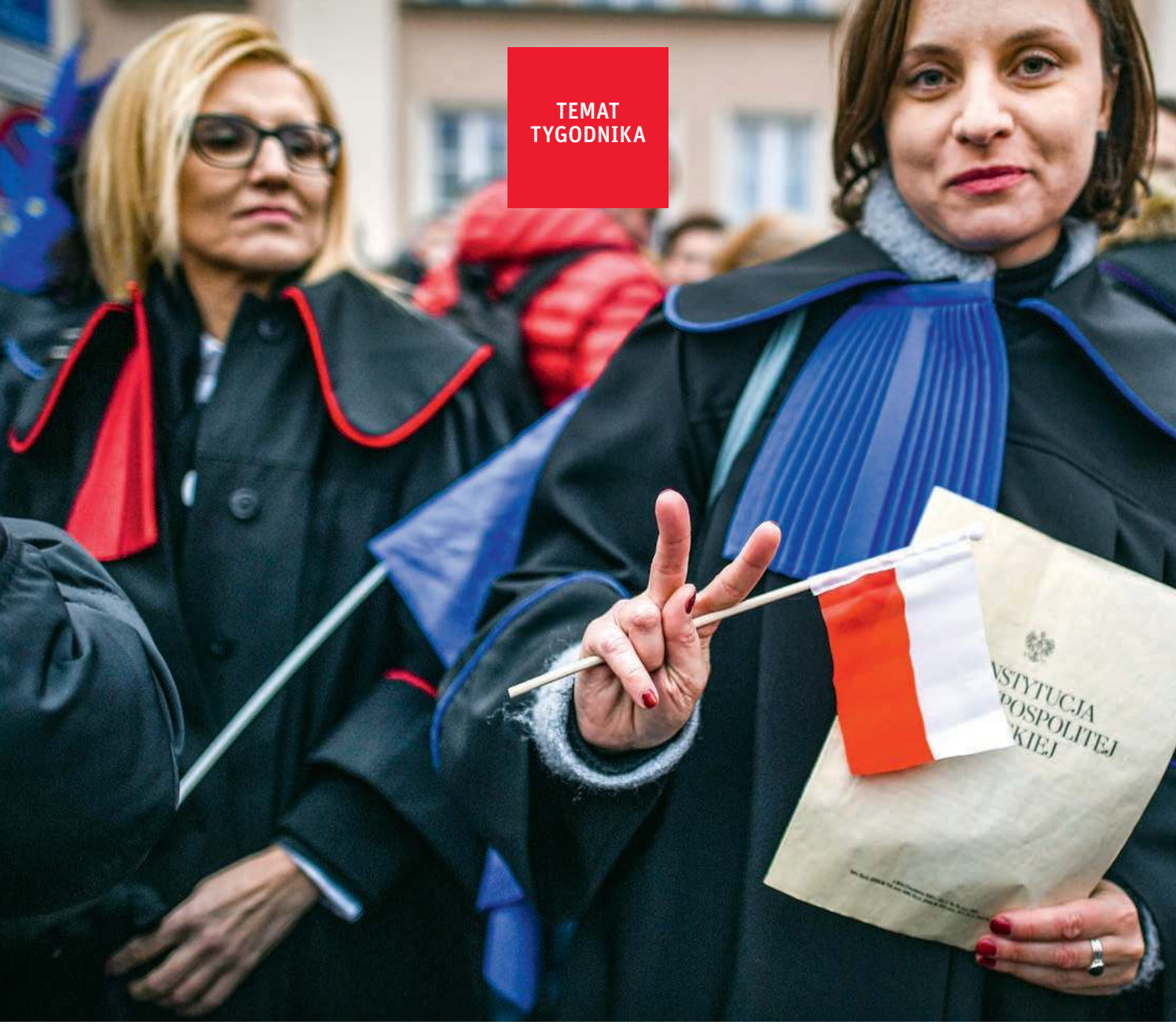

TEMAT TYGODNIKA

PUŁAPKA NA SPRAWIEDLIWOŚĆ

Oto skutek wojny PiS z sądami: ważne ustrojowe sprawy nie będą rozstrzygane w dialogu między rządem a opozycją. Będą to robić instytucje, w których Polacy odgrywają minimalną rolę i których demokratyczna legitymizacja jest bardzo słaba.

KLAUS BACHMANN

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Marsz Tysiąca Tóg, Warszawa, 11 stycznia 2020 r.

Czy sędzia mianowany przez prezydenta jest mniej niezależny niż sędzia mianowany przez inną instytucję, np. Sejm lub ministra sprawiedliwości? Oczywiście że nie. Taki sędzia może tak samo wydawać wyroki i orzeczenia wbrew woli instytucji, która go powołała, jak każdy inny. Sposób mianowania nie ma na to wpływu, ma go natomiast kontekst, w jakim przychodzi mu pracować, i sposób, w jaki można go odwołać. Jeśli ta sama instytucja, która go powołała, może go też odwołać, przesunąć na inne stanowisko, ścigać dyscyplinarnie, wówczas wydanie przez niego niekorzystnych dla tej instytucji decyzji będzie o wiele mniej prawdopodobne niż w przypadku sędziego, któremu za jego decyzje nie grożą żadne kary.

Mimo to nawet w dyktaturach zdarzają się sędziowie, którzy na przekór wszystkim systemowym pułapkom zachowują niezależność, przynajmniej do chwili ich odwołania, ukarania, zwolnienia albo nawet uwięzienia. Mają dużą wewnętrzną niezależność albo, mówiąc potocznie, są po prostu bohaterami. W demokratycznych państwach wszystkie mechanizmy zewnętrznej instytucjonalnej niezależności służą właśnie temu, aby sędziowie wydający wyroki niekorzystne dla innych filarów władzy nie musieli być bohaterami. Aby mogli, ale też nie musieli, podejmować decyzje niekorzystne dla władzy wykonawczej i ustawodawczej. Dlatego nie wolno oceniać jakości funkcjonowania sądów i sędziów na podstawie tego, jakie decyzje wydają.

Obiektywne kryteria

Sędziowie i sądy rozstrzygają spory między obywatelami, a Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny, Naczelny Sąd Administracyjny rozstrzygają spory między sądami niższych instancji i spory między organami władzy państwowej. Mogą to robić skutecznie tylko wtedy, gdy są niezależne od stron sporu. Dlatego twierdzenie (jak ostatnio można było usłyszeć po niekorzystnym dla Jana Śpiewaka wyroku), że jakiś wyrok świadczy o konieczności głębokiej reformy sądownictwa, ujawnia jedynie brak zrozumienia, do czego sądownictwo służy. Skoro każdy wyrok jest rozstrzygnięciem sporu, każdy wyrok siłą rzeczy narusza interesy jednej strony tego sporu. Ale nawet dla przegranego lepiej jest, że zapadnie taki wyrok niż żaden, albo nawet wyrok dla niego korzystny, lecz wydany przez sąd, którego nikt poza wygranym nie uznaje za niezależny.

W takim przypadku nikt oprócz strony, która wygrała, nie uzna wyroku i spór będzie się toczył dalej. Strony muszą go wtedy rozwiązać na własną rękę, dokonując „pozasądowego" rozstrzygnięcia albo, mówiąc potocznie, samosądu. Bojownikom sprawiedliwości społecznej i obrońcom ubogich przeciwko „mafii deweloperskiej" można zadać retoryczne pytanie: kto miałby więcej szans na zwycięstwo w takiej batalii – bogata „mafia" czy najemcy kamienic? Kto miałby większe szanse na uwzględnienie jego racji, gdyby sądy były zależne od innych filarów władzy (do której lobbyści wszelkiej maści mają lepszy dostęp niż przeciętni obywatele): silne grupy interesu, popierane przez najdroższe kancelarie adwokackie, czy lokatorzy bez znajomości, w tym znajomości prawa?

Wszyscy ci, którzy w ostatnich tygodniach przyłączyli się do zwolenników „głębokiej reformy sądownictwa", bo wyroki wydane przez polskie sądy im się nie podobają („niezgodne z poczuciem sprawiedliwości"), wpadli w pułapkę zastawioną przez PiS.

Autorzy ustaw „okołosądowych" uzasadniali je tym, że sądy ich zdaniem orzekają niesprawiedliwie i błędnie. Jeśli wziąć takie kryteria poważnie, to trzeba uznać, że konieczność reformy sądownictwa w Polsce ustanie dopiero wtedy, kiedy sądy będą wydawać tylko takie wyroki, jakie się spodobają rządowi i prezydentowi. Rząd i większość sejmowa mogą do tego, owszem, doprowadzić. Bojownicy o sprawiedliwość społeczną, którym teraz nagle podoba się reforma PiS, łudzą się, że sądy podporządkowane rządowi będą mogły orzekać na korzyść obywateli, nawet jeśli po drugiej stronie sali sądowej stanie przedstawiciel władzy.

Innymi słowy: cele, które rząd wiąże ze swoimi reformami, są osiągalne. Cele, które mają na uwadze ci, którzy teraz zaczęli popierać rządowy atak na sędziów, są i nieosiągalne, i sprzeczne z zamiarami rządu. Pod rządami zależnego od władzy sądownictwa sprawiedliwiej niż teraz na pewno nie będzie.

Wie to nawet spora część tych, którzy od czterech lat forsują reformy poddające sądy i sędziów w coraz większym stopniu ministrowi sprawiedliwości i prezydentowi. W swoich raportach i opracowaniach opublikowanych przed rozpoczęciem kampanii przeciwko „nadzwyczajnej kaście" oceniali oni sądownictwo według obiektywnych kryteriów, np. długości postępowań i czasu oczekiwania na wyroki. Różne organizacje pozarządowe mierzyły dostępność sądów dla obywateli, dostępność adwokatów i porad prawnych, przejrzystość procedur i jasność wywodów w wyrokach. Jednego nie oceniały: czy wyroki były sprawiedliwe. Nie ma żadnych obiektywnych kryteriów, aby to mierzyć. Co jest sprawiedliwe dla jednego, jest niesprawiedliwe dla kogoś innego. Debata o rzekomo niesprawiedliwych sądach zaczęła się dopiero, kiedy rozgorzała walka o władzę nad sądownictwem. ↦

System jest najważniejszy

Od tego momentu zaczęły się też porównania z niemieckim systemem sądownictwa i z funkcjonowaniem sądów w innych krajach Unii. Trybunał Konstytucyjny trzeba było reformować, bo był rzekomo mniej wydolny niż jego niemiecki odpowiednik (argument ministra Ziobry). W wyniku reformy Polska ma teraz dokładne przeciwieństwo Trybunału niemieckiego: polski jest mniej wydolny niż kiedykolwiek wcześniej (i o wiele mniej wydolny niż niemiecki), ale tego nie można już zwalić na „anarchię nadzwyczajnej kasty", bo od czterech lat TK został skutecznie opanowany przez wysłanników „dobrej zmiany". Niestety różni on się teraz od niemieckiego TK też tym, że jest całkowicie zależny od władzy wykonawczej, to znaczy od kierownictwa PiS i rządu (którego przedstawiciele wpadają do Trybunału na kawę). Jesteśmy już dość blisko sytuacji, do której cała reforma sądownictwa zmierza: sędziowie niemal zawsze orzekają na korzyść jednej strony sporu (rządu), a ponieważ wszyscy zainteresowani o tym wiedzą, coraz mniej obywateli i instytucji wnosi tam swoje skargi.

Teraz przedstawiciele obozu rządzącego kolejny raz usprawiedliwiają nowe ustawy okołosądowe rozwiązaniami z innych państw, głównie Francji, gdzie istnieją podobne mechanizmy odpowiedzialności dyscyplinarnej, i Niemiec, gdzie politycy uczestniczą w mianowaniu sędziów. Część tych porównań jest wzięta z sufitu. Niemieccy sędziowie mogą należeć do partii politycznych, mogą protestować i krytykować rząd i często robią to nawet w swoich wyrokach. Jeden z emerytowanych sędziów niemieckiego TK na wniosek opozycji napisał analizę prawną, w której zarzucił kanclerz Merkel łamanie konstytucji, ponieważ nie zapobiegła w 2015 r. napływowi uchodźców. Prezes niemieckiego TK czasami ostrzega rządzących przed rozwiązaniami prawnymi, które mogą nie przetrwać kontroli konstytucyjnej. Jeden z sędziów z Hamburga zakładał prawicowo-populistyczną partię i prowadził kampanię wyborczą do tamtejszego Senatu.

Porównania z Niemcami (i nie tylko) są bez sensu nie tylko tam, gdzie na pierwszy rzut oka uzasadniają reformę sądownictwa PiS, ale też tam, gdzie dowodzą, jak bardzo jest ona represyjna. W Niemczech niemieccy politycy mają więcej wpływu na mianowanie sędziów niż w Polsce, ale z tego faktu nic pożytecznego dla polskiej dyskusji nie wynika. Z dwóch powodów:

Po pierwsze, sama kwestia, kto mianuje sędziów, nie ma znaczenia dla oceny, czy sądownictwo jest niezależne. Polska opozycja kontestuje nowe ustawy, ponieważ system mianowania sędziów przez zreformowaną Krajową Radę Sądownictwa jest niezgodny z konstytucją, co jednak wcale nie musi oznaczać, że sędziowie mianowani w ten sposób nie będą potem niezależni;

Po drugie, w Niemczech jedna partia nie może przejąć kontroli nad sądownictwem. Sądownictwo niemieckie funkcjonuje na podstawie 16 konstytucji krajów związkowych i – na szczeblu federalnym – ustawy zasadniczej oraz 17 ustaw okołosądowych. Ministrowie, mający w niektórych landach wpływ na proces mianowania sędziów, nie mają potem możliwości, aby dyscyplinować albo odwołać sędziów. Ci ministrowie należą często do partii, które współrządzą w danym kraju związkowym, ale są w opozycji wobec rządu federalnego.

Owszem, do Trybunału Konstytucyjnego często trafiają politycy i wybiera ich Bundestag, ale większością dwóch trzecich głosów, więc zawsze z udziałem części opozycji. Sędziowie w ten sposób mianowani nie tylko mogą wydawać niekorzystne dla władzy wyroki, ale też często to robią. Wszyscy zainteresowani o tym wiedzą, dlatego – inaczej niż w Polsce – nikt tego systemu nie kontestuje. W Polsce „udział polityków" w mianowaniu sędziów oznacza udział jednego ministra (i opanowanej przez jedną partię KRS) oraz prezydenta (pochodzącego z tej samej partii). W Niemczech oznacza to udział 17 ministrów z pięciu partii, z których dwie są obecnie w opozycji do rządu federalnego. Prezydent Niemiec nie odgrywa żadnej roli w mianowaniu sędziów.

Rykoszety reformy

Dlatego niezależność sądownictwa można analizować tylko i wyłącznie w kontekście systemu politycznego danego kraju: w Polsce sądy funkcjonują w ramach scentralizowanego systemu władzy (podobnie jak we Francji), w Niemczech działają one w skrajnie zdecentralizowanym systemie (podobnie jak w Belgii i Szwajcarii). Dlatego rozwiązanie, które w jednym kraju sprzyja niezależności sądownictwa, w innym może działać odwrotnie.

Zauważył to też rzecznik generalny TSUE, Ewgeni Tanczew w swojej opinii o polskiej ustawie o Sądzie Najwyższym, odrzucając porównania z innymi krajami Unii: ocena musi być systemowa i w ramach danego kraju. Takie podejście chroni TSUE przed wydaniem wyroku, na mocy którego potem inne państwa o sprawnie funkcjonujących i niezależnych systemach sądownictwa musiałyby je zmienić tylko dlatego, że jakiś przepis w innym (i tylko tym) kraju UE zagraża niezawisłości sędziów. Dlatego jest całkiem możliwe (i na pewno zostanie przyjęte przez zwolenników reformy w Polsce za przykład podwójnych standardów), że TSUE uzna pewne elementy systemu za niezgodne z prawem UE w kontekście Polski, natomiast nie będzie miało tym samym elementom nic do zarzucenia w innych krajach UE.

Tak prawdopodobnie się stanie, jeśli ustawa dyscyplinująca wejdzie w życie bez większych zmian. TSUE nie zajmie się kwestią, czy sposób mianowania sędziów i system dyscyplinarny są zgodne z polską konstytucją (to wyłączna domena TK), ale może dojść do wniosku, że taki system dyscyplinowania sędziów zagraża ich niezawisłości, choć nie zagroziłby, gdyby funkcjonował w innych krajach UE.

Nie jest to jedyne ryzyko związane z obecnie procedowanym projektem ustawy. Skoro kwestia niezawisłości sądownictwa jest tak ściśle związana z możliwością wydania przez sędziów wyroków niekorzystnych dla władzy bez obawy przed represjami, warto zadać sobie pytanie, czy po wejściu w życie ustawy dyscyplinującej w Polsce w ogóle będą jeszcze istnieć niezawisłe sądy. Od tego dnia bowiem każdy sędzia będzie między młotem a kowadłem: orzecznictwo TSUE i SN zmusza go do oceny, czy sąd niższej instancji (lub jego własna izba) zostały prawidłowo obsadzone, podczas gdy władza wykonawcza grozi mu karami, jeśli taki test przeprowadzi.

Uchylenie się od takiego testu przez dany sąd zmusi z kolei przedstawicieli stron do zakwestionowania jego niezawisłości, mogą one bowiem domniemywać, że sąd uniknął go z obawy przed postępowaniem dyscyplinarnym. Im dłużej KRS

trwa w obecnym układzie prawnym, tym więcej sędziów potencjalnie skażonych taką wadą trafi do systemu i tym więcej takich wniosków o wyłączenie sędziów możemy się spodziewać. Problem w tym, że same te postępowania dyscyplinarne stanowią żelazny dowód dla TSUE, że celem reformy nie jest ani usprawnienie sądów, ani eliminowanie z niego patologii, lecz właśnie zastraszanie sędziów i pozbawienie ich niezawisłości. W ten sposób „ustawa dyscyplinująca" to dymiąca broń w rękach rządu w momencie, kiedy do pokoju wchodzi TSUE. I nie tylko TSUE to obserwuje.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że TSUE już lata temu na pytanie prejudycjalne sędziego z Irlandii obarczył sądy innych państw UE odpowiedzialnością, aby przed uznaniem polskich wyroków i zastosowaniem Europejskiego Nakazu Aresztowania wydanego w Polsce ocenić na podstawie precyzyjnego katalogu kryteriów, czy sądownictwo w Polsce jest jeszcze niezależne. Jeśli dojdą do wniosku, że nie jest, muszą sprawdzić, czy brak niezależności może negatywnie rzutować na daną sprawę, a jeśli tak jest, odmówić ekstradycji do Polski. Europejskie sądy przeprowadziły ten irlandzki test już wielokrotnie, ale przeważnie dochodziły do wniosku, że brak niezależności nie rzutuje na los danej sprawy, bo były to sprawy czysto kryminalne, bez kontekstu politycznego.

Od wejścia w życie nowej ustawy będą jednak miały nieco twardszy orzech do zgryzienia. Ten orzech nazywa się „równość stron" i jest jednym z kluczowych elementów praworządności. Minister sprawiedliwości wykorzystuje prokuratorów do kontroli, czy sądy stosują zasady orzecznictwa TSUE i SN dotyczące KRS, zapowiada retorsje wobec sędziów, którzy to robią (i tym samym naruszają ustawę dyscyplinującą), na mocy ustawy o SN posiada duży wpływ na system dyscyplinarny dla sędziów i od wielu tygodni już robi z niego użytek.

W takiej sytuacji trudno mówić o równości stron na sali sądowej. Prokuratura staje się bowiem swoistym nadzorem dla sądu: sędzia nie ma wpływu na przebieg kariery prokuratora, prokurator ma natomiast wpływ na przebieg kariery sędziego, a podsądny nie ma już dostępu do niezawisłego sądu, co narusza zarówno art. 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, jak i art. 19 Traktatu o UE. To zaś prawdopodobnie przesądzi o wyniku owego testu irlandzkiego.

> Ci, którzy ostatnio przyłączyli się do zwolenników „głębokiej reformy sądownictwa", **bo wyroki wydane przez polskie sądy im się nie podobają,** wpadli w pułapkę zastawioną przez PiS.

Nawet w przypadku, kiedy o ekstradycję wnosi prawidłowo obsadzony polski sąd, zagraniczny adwokat podsądnego będzie argumentować, że w wyniku możliwych, ale nieprzewidywalnych w danej chwili zmian składu i wielkiej liczby „nieprawidłowo mianowanych sędziów" w polskim systemie sądownictwa jego klient może trafić w ręce sądu, który w rozumieniu orzecznictwa TSUE i SN sądem nie jest. Jeśli tak się stanie, to jego polski adwokat nie będzie nawet mógł zakwestionować składu takiego sądu, ponieważ jemu i sędziemu, który na to pozwala, będą grozić kary dyscyplinarne.

W tym momencie ustawa dyscyplinująca wpada we własne sidła: łapiąc polskich sędziów w żelazne kleszcze, które powstrzymują ich od stosowania prawa UE i zmuszają do stosowania prawa sprzecznego z prawem UE i konstytucją, przekształciła niezależnych sędziów w urzędników pilnowanych przez prokuraturę, rzeczników dyscyplinarnych i Izbę Dyscyplinarną SN. Polskim sędziom i adwokatom minister sprawiedliwości może zabraniać kwestionowania nominatów KRS – poza granicami Polski to nie tylko nie działa, ale prowadzi do skutków odwrotnych do zamierzonych.

Białe flagi

Ustawa dyscyplinująca jest tylko następną fazą eskalacji, której przebieg dość łatwo przewidzieć. W jej wyniku Polska nie zostanie wykluczona z UE, jak obawia się pierwsza prezes SN, bo prawnie nie ma takiej możliwości. Zamiast tego europejska współpraca w obrębie sądownictwa i wymiaru sprawiedliwości będzie stopniowo, krok po kroku, wygaszana w wyniku zdecentralizowanych decyzji sądów innych państw członkowskich i – od czasu do czasu – niekorzystnych dla polskich władz decyzji TSUE. Może dojść do przesilenia – np. kiedy nieprawidłowo obsadzony albo orzekający pod dyktando władz polski sąd spektakularnie naruszy interesy jednego z państw członkowskich i to państwo rozpocznie montowanie koalicji, która złoży „pakietową" skargę na Polskę za systemowe naruszenie praworządności, włączając do tego nie tylko reformę sądownictwa, ale też np. kwestię, czy polski TK jest jeszcze sądem w rozumieniu prawa UE. Mogłaby to też zrobić Komisja Europejska, bo uruchomienie procedury art. 7 wcale nie wyklucza złożenia skargi na TK do TSUE.

Nie wyklucza też złożenia pytania prejudycjalnego o to, czy TK jest sądem w rozumieniu prawa UE. Żaden polski sędzia jeszcze nie zdecydował się na odpalenie tej prawniczej bomby atomowej, ale przy obecnej eskalacji jest to kwestia czasu.

W ten sposób zbliżamy się do sytuacji, w której już niemal wszystkie ważne ustrojowe sprawy Polski będą rozstrzygane nie w kraju i nie w dialogu między rządem a opozycją (i na pewno nie w parlamencie, gdzie zamiast dyskusji i negocjacji odbywają się już tylko głosowania), lecz w wyniku decyzji instytucji, w których Polacy odgrywają minimalną rolę i których demokratyczna legitymizacja jest bardzo słaba. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że władza odmawia kompromisów z opozycją w Polsce, ale też dlatego, że w wyniku własnej słabości opozycja przerzuca całą swoją nadzieję na UE.

Około 20 lat temu na prawicy panowała moda, aby rządzącym, którzy dążyli do kompromisu z instytucjami UE, zarzucać, że są „partią białej flagi", choć wtedy istniał w kraju szeroki konsensus proeuropejski i taki arbitraż UE nad polskimi sporami jak teraz był nie do pomyślenia. Dziś wygląda na to, że wszystkie partie wywieszają białą flagę, wygłaszając patetyczne orędzia patriotyczne albo frazesy o demokracji i suwerenności. Być może w wyniku tego konfliktu uda się ocalić niezawisłe sądy i uświadomić obywateli, do czego one służą i na czym polega (a na czym nie polega) praworządność – ale koszty będą wysokie. Czy można bowiem uznać za suwerenny kraj, który kluczowe decyzje ustrojowe deleguje instytucjom międzynarodowym?

© KLAUS BACHMANN

Sądy mogą być lepsze

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Obywatel ma prawo narzekać na sąd, od którego nie może się doczekać wyroku, bo ustawy roją się od luk i sprzeczności. Posłowie, którzy te ustawy piszą, uzdrawianie wymiaru sprawiedliwości powinni jednak zacząć od siebie.

MAREK RABIJ: Mamy jeszcze w Polsce trójpodział władzy?

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Formalnie – tak. Natomiast w perspektywie władzy sądowniczej ten trójpodział jest już, powiedziałbym, mocno ograniczony i zagrożony. Ustawa kagańcowa, którą przepychają teraz politycy, będzie kolejnym ograniczeniem niezawisłości sądów w Polsce, choć nie nazywajmy jej przekroczeniem prawniczego Rubikonu. Sędziowie będą nadal interpretować ją podobnie jak inne akty prawne, dążąc chociażby do zbadania jej zgodności z polską konstytucją i prawem Unii Europejskiej.

Tylko że ustawa kagańcowa zabrania sędziom takiego badania. Sędzia, który się na to zdecyduje, będzie się musiał liczyć z poważnymi konsekwencjami służbowymi.

Mamy faktycznie do czynienia z absurdalną sytuacją. Wchodząc do Unii Europejskiej, zapisaliśmy w konstytucji zasadę nadrzędności prawa europejskiego nad krajowym. Każdy sędzia w Polsce, który w trakcie postępowania dostrzeże niezgodność polskich przepisów z unijnymi, musi więc zastosować te ostatnie. Do tego zobowiązuje nas ustawa zasadnicza. Ale to też oznacza, że sędzia nie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za zastosowanie przepisów unijnych.

Czyli nie ma szans na wypracowanie kompromisu?

Uściślijmy może, na czym taki kompromis miałby polegać. Trudność i zarazem absurd sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, polega moim zdaniem na tym, że interesy stron sporu przynależą do dwóch odmiennych porządków. Po jednej stronie mamy sędziów odpowiedzialnych za przestrzeganie prawa. Trudniej zidentyfikować cele drugiej strony – choć oczywiście mówi się o jakiejś reformie wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Ale na czym dokładnie miałaby ta sanacja polegać? Na wymianie kadr? Jeśli tak, to jakim celom konkretnie miałaby służyć ta wymiana? W projekcie ustawy kagańcowej nie widzę niestety odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Unika Pan również nazwania rzeczy po imieniu.

Rządzącym bez wątpienia marzy się większy wpływ na funkcjonowanie sądów w Polsce. Mnie jednak bardziej interesuje odpowiedź na pytanie: po co? Jeśli dla większej efektywności działania sądów, to pytanie brzmi: czym będziemy ją mierzyć? Skalą realizacji interesów? OK – ale czyich? Partyjnych? Państwowych? A jeśli tak – to w jakich obszarach? Partia rządząca, proszę zauważyć, chętnie podkreśla np. swój obyczajowy i cywilizacyjny konserwatyzm. Obserwując od lat polskie orzecznictwo, nie tylko jako sędzia, ale także pracownik naukowy, uważam jednak, że to właśnie sądownictwo pozostaje najbardziej konserwatywnym elementem polskiej układanki państwowej. Linię orzeczniczą sądów można opisywać za pomocą rozmaitych epitetów, ale chyba najlepiej pasuje do niej przymiotnik: zachowawczy. W tej rzekomej reformie nie może zatem chodzić również o wartości. O co zatem? Obawiam się, że po prostu o kontrolę dla samej kontroli.

Tym łatwiejszą do uzyskania, że Polacy coraz gorzej oceniają działanie wymiaru sprawiedliwości. Pan twierdzi, że krajowe sądy są konserwatywne. W badaniu CBOS najczęściej pada, że są powolne.

Istnieje mnóstwo badań społecznej oceny sądów, wiele zależy tu od przyjętej metodologii, proszę więc zwolnić mnie z komentarza do tej konkretnej ankiety. Wolę zwrócić uwagę na co innego. W polskiej literaturze prawniczej od lat pojawiają się ostrzeżenia przed nieuchronnością kryzysu postrzegania władzy sądowniczej w sytuacji, kiedy jakość stanowionego prawa spada z kadencji sejmowej na kadencję. Sądy to przecież tylko „ostatnia mila" systemu władzy państwowej. Obywatel rzadko ma do czynienia z parlamentem. Na co dzień funkcjonuje jednak w otoczeniu prawnym, które ten parlament tworzy. Jeśli z Sejmu wychodzą chaotyczne ustawy, pełne luk i sprzeczności, to po prostu nie ma szans, że w sądach wszystko będzie działać jak w szwajcarskim zegarku. Trudniej nawet o sprawiedliwe wyroki, bo pisane na kolanie ustawy często źle rozpoznają interesy stron.

Obywatel, który latami czeka na wyrok w ważnej dla siebie sprawie, może oczywiście wieszać psy na wymiarze sprawiedliwości. Bo co go obchodzi, że wskutek chaotycznej nowelizacji jakiejś ustawy skład orzekający musi wystąpić o zbadanie jej zgodności z konstytucją? Sądy w Polsce przez lata były też bardzo zacofane technologicznie. Większość urzędów gmin pod tym względem stało wyżej od przeciętnego sądu wojewódzkiego. Słowem: po zderzeniu na wokandzie z tak źle działającym państwem trudno nie czuć frustracji. Ale posłowie, którzy piszą dziurawe ustawy, sanację wymiaru sprawiedliwości powinni jednak zacząć od siebie. Wielokrotnie bywałem w Sejmie w roli eksperta. Siadywaliśmy z posłami i pokazywaliśmy im błędy w konkretnych ustawach, tłumacząc przy tym możliwe konsekwencje. Wie pan, jaką odpowiedź słyszałem najczęściej, i to od posłów praktycznie wszystkich partii? „Sądy sobie poradzą".

Winny jest tylko ustawodawca?

Bez przesady. My, sędziowie i prawnicy, nie jesteśmy również bez winy. Ten koturnowy rytuał rozprawy sądowej, sztuczny do niedawna język, niezwracanie się do stron *per* „pan" czy „pani" – wszystko to miało budować autorytet wymiaru sprawiedliwości, a w rzeczywistości tylko go nadszarpywało. Proszę pamiętać, że w klasycznym trójpodziale władzy sądy są w istocie najsłabszym, najbardziej bezbronnym ogniwem.

Jasne. Teraz mogę się Panu zaśmiać bez konsekwencji, ale gdybyśmy byli

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Marsz Tysiąca Tóg, Warszawa, 11 stycznia 2020 r.

na sali rozpraw, mógłby mnie Pan zamknąć za obrazę sądu.

Cała władza sądu jest tylko efektem ubocznym zaufania, jakim obdarzają go obywatele i inne instytucje państwowe. Bez tego jesteśmy jedynie osobnikami w dziwnych czapkach. Ale na zaufanie i autorytet trzeba ustawicznie pracować. I nie osiąga się tego żonglując tylko prawniczymi formułkami. Sędziowie traktujący obywateli jak istoty niezdolne do zrozumienia mechanizmów państwa prawa podpiłowali gałąź, na której sami siedzieli. Podobny błąd zdarza się lekarzom, którzy na konsylium spierają się o stan zdrowia pacjenta i zapominają o jego obecności. Człowiek wychodzi potem z receptą, ale wciąż nie wie, co mu dolega.

I w swoistym rewanżu lekceważony obywatel nie przejmuje się potem zagrożeniem niezawisłości władzy sądowniczej, przekonany, że ten spór elit go nie dotyczy?

Rzeczywiście, można optymistycznie zakładać, że konflikt władzy ustawodawczej i wykonawczej z sądowniczą nie ma wpływu na życie obywateli. Rządzącym chodzi przecież o uzyskanie kontroli nad sądami w kluczowych dla nich kwestiach politycznych, ustrojowych czy gospodarczych. Rzecz w tym, że naruszenie niezawisłości sądów w tym zakresie przełoży się automatycznie na funkcjonowanie całego sądownictwa. I to się już dzieje, bo z sądów docierają informacje o kwestionowaniu legitymacji składów orzekających w prostych, wydawałoby się, sprawach rozwodowych czy majątkowych. Rozprawy zaczynają się przez to przeciągać jeszcze bardziej. W najgorszym scenariuszu mogę sobie wyobrazić nawet całkowity paraliż sądownictwa w Polsce.

Ci, którzy teraz grzebią w jego ustroju w nadziei na podporządkowanie, powinni więc pamiętać, że w systemie demokratycznym rządzący prędzej czy później stają się opozycją. Zmiany, które obecnie popierają, zaczną wówczas grać na ich niekorzyść.

Władza rzadko dobrowolnie rezygnuje z nabytych uprawnień, to jasne jak słońce. Jak w reżimie ustawy kagańcowej zachowają się sędziowie?

Myślę, że większość jednak pozostanie przy literze i duchu prawa i będzie interpretować nowe przepisy w szerokim kontekście polskiej konstytucji oraz prawa unijnego – nawet za cenę konsekwencji, którymi straszy ustawa kagańcowa. A już holenderskiego czy czeskiego sędziego reżim polskiej ustawy kompletnie nie obchodzi. Dopóki jesteśmy w Unii, funkcjonujemy też we wspólnym unijnym ekosystemie prawnym. Łączą nas z innymi krajami także powiązania inwestycyjne, umowy międzynarodowe. Nie da się z tego o tak wyjąć sądownictwa i położyć na nim łapy – chyba że za cenę opuszczenia Unii Europejskiej. Każdy, kto poczuje się poszkodowany przez polski wymiar sprawiedliwości, może poszukać jej przed sądami wspólnotowymi. A te po wejściu w życie ustawy kagańcowej po prostu będą musiały się zastanowić, czy w Polsce jeszcze funkcjonuje niezawisłe sądownictwo.

Niestety, ustawodawca nie wziął pod uwagę również tego, że uchwalenie przepisów tak głęboko sprzecznych z prawem unijnym może zostać wykorzystane czysto politycznie, na przykład jako pretekst do izolacji Polski czy ograniczenia jej praw w Unii. Wyobraźmy sobie jakiś poważny kryzys, choćby kolejną falę imigrantów szturmujących wschodnią granicę Unii. Skoro polskie sądy nie są niezawisłe i nie da się z nimi prowadzić międzynarodowej współpracy sądowej, to czy można też utrzymywać Polskę w strefie Schengen?

Chce Pan powiedzieć, że proponowane zmiany to kolejny bubel, z którego władza prędzej czy później będzie musiała się jakoś wycofać? Kilka miesięcy temu rozmawialiśmy o projekcie zmian w kodeksie karnym, na którym środowisko prawników-karnistów, w tym również Pan, nie zostawiło suchej nitki.

Całe szczęście, że te zmiany w prawie karnym zostały faktycznie wstrzymane. Czy podobny los spotka ustawę kagańcową? Nie wiem. Jestem za to przekonany, że jej wejście w życie nie usprawni funkcjonowania polskich sądów w żadnym aspekcie. Spotęguje jedynie chaos, jaki już mamy po poprzednich zmianach. Choć dla porządku warto wspomnieć, że ten projekt paradoksalnie niesie ze sobą również korzyści, uzmysławiając naszemu środowisku konieczność przeprowadzenia reform systemowych. Moim zdaniem wybór sędziów musi mieć dziś bardziej uspołeczniony charakter. Z ustroju sądów zniknąć powinny też takie anachronizmy jak możliwość delegowania sędziego przez ministra sprawiedliwości.

Minister mówi o Was: kasta.

Ustawa kagańcowa pokazuje sędziów jako kastę nadmiernie uprzywilejowanych, a może nawet zdemoralizowanych funkcjonariuszy publicznych, na których potrzebny jest legislacyjny bat. Takie działania pasują nie tylko do antyestablishmentowej retoryki polityków partii rządzącej, którzy świetnie się odnajdują w walce z rozmaitymi „układami". Powiedziałbym, że to coś więcej: to czysty przejaw populizmu, czyli zarządzania za pomocą emocji.

Sędziowie nie są w Polsce grupą nadmiernie uprzywilejowaną?

Jesteśmy uprzywilejowani, zgoda. Ale czy nadmiernie? Sędziowie mają immunitet, żeby na sali rozpraw nie obawiali się ↦

↦ prokuratora. Owszem, tylko o naszych zarobkach mówi konstytucja. Ale wysokie wynagrodzenie i pewność zatrudnienia ma na celu tylko to, żeby sędzia nie był zależny od miejscowego bogacza i nie przejmował się tym, co o jego wyrokach pomyśli ta czy inna władza albo prezes jakiejś partii. Mamy też kilkanaście dni urlopu więcej, z których – prawdę mówiąc – większość i tak spędzamy na nadrabianiu zaległości w czytaniu akt.

Nie płacicie również składek na ubezpieczenie społeczne.
To prawda.

Przed laty chodziłem na konwersacje z angielskiego z sędzią, która chwaliła się szalonymi nocnymi rajdami autem po mieście. A jeszcze bardziej tym, że ilekroć zatrzymuje ją policja, zawsze spławia ich immunitetem.
Ktoś taki nigdy nie powinien zostać sędzią!

Ale został i środowisko sędziowskie samo się tej Pani nie pozbyło.
Powtórzę: jako grupa zawodowa nie tworzymy monolitu i nie jesteśmy bez skazy. A co do mandatów, ta sprawa została już uregulowana i sędziowie przyłapani na wykroczeniu drogowym płacą dziś tak samo jak reszta obywateli.

Dodajmy dla porządku, że dokonano tej zmiany z inicjatywy PiS i przy oporze środowiska prawniczego. Idźmy jednak dalej: a co z argumentem o upolitycznieniu sędziów?

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

WŁODZIMIERZ WRÓBEL jest profesorem prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zasiada także w Izbie Karnej Sądu Najwyższego.

Powinniście mieć do tego prawo jak reszta obywateli, czy przeciwnie – coś za coś?
Uważam, że czynny sędzia nie może brać udziału w polityce, np. zasiadać w parlamencie, piastować funkcji w administracji centralnej ani angażować się w kampanie wyborcze. Jeśli jednak pyta mnie pan o to, czy sędziowie mogą zabierać głos w debacie publicznej, odpowiem szczerze: tak. W wielu przypadkach to wręcz nasz obowiązek. Sędzia nie powinien być zatem recenzentem polityki zagranicznej rządu, ale kiedy ten sam rząd zaczyna łamać prawa mniejszości lub reguły demokracji – po prostu nie wolno mu milczeć. Problemem nie jest to, że sędziowie zabierają głos w zbyt wielu sprawach, lecz to, że walka polityczna dotyka dziś sfer życia obywateli, od których powinna się trzymać z daleka.

Autorzy ustawy kagańcowej powołują się na przykłady zagraniczne, gdzie sędziom narzucono jednak większą wstrzemięźliwość w wypowiedziach publicznych.
Owszem. Tylko czy w krajach, na które się powołują ustawodawcy, zagrożona jest suwerenność wymiaru sprawiedliwości?

To nie jest odpowiedź na pytanie, czy sędziowie w Polsce są wolni od aspiracji politycznych.
Oczywiście, że nie. W tej chwili rozmawiamy jednak o tym, czy środowisko sędziowskie potrafi samodzielnie kontrolować te ciągotki, czy jednak potrzebuje kagańca.

Zapewniam pana, że nikt tego nie lekceważy. Przeciwnie, zdajemy sobie sprawę z tego, że obowiązkowe dla nas nawoływanie do przestrzegania konstytucji, reguł demokratycznej gry na długo zmieni postrzeganie sędziów w Polsce. Na niekorzyść, bo będziemy przez to postrzegani jako jeszcze bardziej upolitycznieni. Ale powtórzę: nie mamy wyjścia.

Kilka lat temu w miejscowości, w której mieszkam, zbierano podpisy pod petycją dotyczącą funkcjonowania lokalnej szkoły. Miałem wtedy wątpliwości, czy wolno mi się pod takim wnioskiem podpisać, bo zdawałem sobie sprawę, że nawet taka sprawa może być elementem lokalnej rozgrywki partyjnej. W końcu, po skonsultowaniu sprawy z kolegami w sądzie, swój podpis złożyłem.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!

OSTATNIE DNI W SPRZEDAŻY

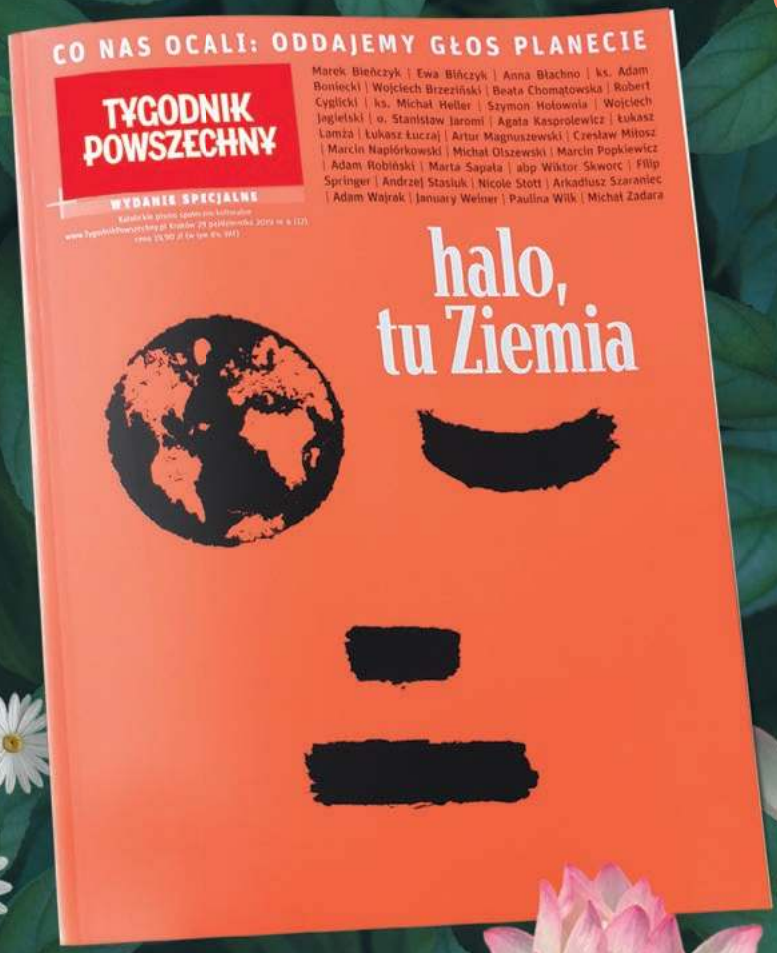

Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne w sklepach z dobrą prasą i na
powszech.net/ziemia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PAWEŁ

Śpiewak:
Rozumiejący rozum

Izrael nie posiada jednego słowa na określenie ludzkiego intelektu. Musimy o tym pamiętać, czytając księgi mądrościowe czy Koheleta. Coś, co w przybliżeniu nazywamy „rozumem", nie było dla Izraela naturalnym wyposażeniem każdego człowieka. Mądrość stanowiła charyzmatyczny dar nie wszystkim dostępny.

Mędrcom obcy był obraz władczego umysłu, który panuje nad martwą materią. Nie do pojęcia byłyby dla nich rojenia oświeceniowych filozofów, jak nie mogliby uwierzyć w rozum, w którym wszyscy obdarzeni podstawowym zdrowym rozsądkiem mogą uczestniczyć. Dla mędrców Izraela istniał rozumiejący rozum, który jest wyczuciem prawdy emanującej ze świata, a zwróconej ku człowiekowi. Był to rozum nastawiony na wsłuchiwanie się w otoczenie. Ale nie był to zmysł bierny, poddany biegowi świata. Przeciwnie, wymagał uwagi, ciekawości i daru opisania swego doświadczenia.

Mam jednak wrażenie, że coś ze starożytnego pojmowania intelektualnej wrażliwości, wsłuchiwania się w głosy świata, pozostało w potocznie używanym dzisiaj pojęciu „mądrości". Mówimy o człowieku mądrym, czyli o kimś, kto się posługuje rozumem w innym niż tylko technicznym celu, i w istocie nie stoi za nim żadna sprecyzowana metoda.

Nie wszyscy potrafią zrozumieć działanie rozumiejącego rozumu. Mogą z nim obcować jedynie ci, którzy potrafią, jak mędrcy, spojrzeć na swoje otoczenie w zapatrzeniu, w bierności ontologicznej. Wtedy docenia się mądrość i można jej wyniki porównywać, szukając owej złotej zasady, o której była mowa w poprzednim komentarzu. Mądrość budzi podziw. Narzuca się siłą swej charyzmy. Niesie dar poznania i dar słowa. Jedno jest nierozdzielne od drugiego. Wymaga porzucenia i wyjścia poza wszelkie mitologie. Tworzy obraz świata zdemitologizowanego (tak samo przedstawia się nasze podejście do rzeczywistości). Prowadzi to do radykalnego przekonania, że nasz świat jest zdominowany przez Boga, *jud hej waw hej*, i że został stworzony przez Wiekuistego. Tego naucza Kohelet. Zarazem powiadając, jak inni nauczyciele mądrości, że Jego obecność jest poza naszym poznaniem. To, że został świat stworzony i że jest naszym dobrem podstawowym, nie ulega wątpliwości. Jemu możemy tylko ufać, bo wszelkie inne formy i postaci ufności: we własną zapobiegliwość, majątek, radości – ostatecznie okazują się formą fałszywego zaufania i nie prowadzą do niczego innego poza samozniszczeniem oraz marnością. Głupota jest niczym innym niż zawierzeniem w coś zmiennego, co nie jest ostatecznie w naszych rękach, co nie rodzi się w akcie i dziele stworzenia.

Jedyną wiedzą godną poznawania jest właśnie stworzenie – największy dar Boga. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Chodźcie, zobaczcie

Prorok Izajasz działał w czasach upadku królestwa Izraela i Judy. Na Syjonie czci się obok Jahwe bogów asyryjskich, a król Achaz syna „przeprowadza przez ogień", czyli składa w ofierze Molochowi. Życie religijne wyczerpuje się w pełnych przepychu obrzędach. Sprawiedliwi Izraelici mają dość powodów do powątpiewania w Bożą opatrzność.

Tymczasem Izajasz w imieniu Boga mówi: „Ty jesteś moim sługą, Izraelu, przez ciebie objawię moją chwałę!". Po raz któryś z rzędu Bóg zapewnia swój lud, że wbrew jego niewierności On pozostaje wierny. I jeśli usłuchają Boga, przekonają się, że jest On prawdomówny. „To zbyt mało, że jesteś moim sługą, aby podźwignąć plemiona Jakuba, i z powrotem sprowadzić ocalonych spośród Izraela – mówi Bóg. – Ustanawiam cię światłością narodów, aby moje zbawienie dotarło aż po krańce ziemi". Na spełnienie tego proroctwa trzeba było jednak czekać kilka wieków. Tą zapowiadaną przez Izajasza „światłością narodów", dzięki której inne narody poznają Boga Izraela, okaże się Jezus Chrystus, który jako zmaterializowane Słowo Boże powie o sobie: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia". „Tych zaś, którzy [to wcielone Światło] przyjęli, obdarzyło mocą, aby się stali dziećmi Bożymi". To znaczy, w myśleniu i działaniu podobnymi do Boga. A dzisiaj gdzie powinien udać się człowiek, który poszukuje takiej światłości i takich dzieci Bożych? Gdzie oni mieszkają?

Kiedy dwaj uczniowie Jana zadali podobne pytanie Jezusowi, On odpowiedział: »Chodźcie, zobaczcie«. Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszkał. I w tym dniu pozostali u Niego". A dzisiaj jaką odpowiedź od nas, mieniących się dziećmi Boga, otrzymują ci, którzy u nas szukają ratunku, a których zredukowaliśmy do problemu? Najostrzejszym przykładem są uchodźcy. Franciszek wciąż musi przypominać: „Nie poprzez blokowanie statków rozwiąże się problem. Trzeba się zaangażować, aby oswobodzić zamkniętych w obozach w Libii, podejmując wszelkie możliwe rozwiązania. Trzeba ujawnić i powstrzymać przemytników, (...) należy bez obaw przerwać zmowę milczenia i opór instytucjonalny. Trzeba odłożyć na bok interesy ekonomiczne, aby postawić w centrum osobę, każdą osobę, której życie i godność są cenne w oczach Boga. (...) Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za życie naszego bliźniego, i właśnie o to zapyta nas Pan w momencie sądu". Przypomina też papież, że Kościół „jest powołany, aby dać świadectwo, że dla Boga nikt nie jest obcy ani wykluczony. Jest powołany do obudzenia sumień uśpionych w obojętności w obliczu rzeczywistości Morza Śródziemnego, które stało się dla wielu, nazbyt wielu cmentarzem". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wiara i miłość

Pod wieczór będziesz sądzony z miłości.
JAN OD KRZYŻA

Nie szukaj miłości. Znajdź i zniszcz bariery, które jej stawiasz.
RUMI

Wybrał PIOTR SIKORA

Ośmielę się zaryzykować tezę, że głównym naszym nauczycielem w okresie Bożego Narodzenia pozostaje w liturgii św. Jan Ewangelista. Co prawda to nie on, lecz Mateusz i Łukasz opowiadają nam fakty składające się na Ewangelię Dzieciństwa Jezusa, ale materiału do pogłębionej nad nimi refleksji dostarcza Jan. Właśnie dlatego – w tak krótkim przecież liturgicznym okresie – czytamy aż trzykrotnie Prolog Janowej Ewangelii (w samo Boże Narodzenie, w sylwestra oraz w II niedzielę Bożego Narodzenia); pierwsze czytanie mszalne tego okresu zaś w dużej mierze stanowi *lectio continua* Janowych Listów. To Jan nas prowadzi ku głębszemu zrozumieniu zarówno Bożego objawienia w Jezusie Chrystusie, jak i naszej nań odpowiedzi, którą nazywamy wiarą.

Oto czytany w ubiegłym tygodniu w liturgii fragment Pierwszego Listu św. Jana: „My poznaliśmy i uwierzyliśmy miłości, jaką Bóg ma ku nam. Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim" (1 J 4, 16). Św. Hieronim tłumaczy ów tekst odrobinę inaczej: „I my, którzy uwierzyliśmy, poznaliśmy miłość, jaką Bóg ma ku nam" (*Et nos, qui credidimus, novimus caritatem, quam habet Deus in nobis*).

Co to więc znaczy wierzyć? Wierzyć (w rozumieniu Jana) to stanowczo nie znaczy jedynie: być przekonanym, że Bóg istnieje. Wierzyć to znaczy: być przekonanym, że Bóg kocha. Nie ma wiary bez doświadczenia miłości.

Czytałem ten tekst dzień po długim wieczornym spotkaniu z łódzką wspólnotą osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Wspólnota liczy kilkadziesiąt osób, spotyka się od ośmiu lat; niektórych jej przedstawicieli udało się zaprosić do prac w Synodzie pastoralnym, jaki przeżywamy w łódzkiej archidiecezji. Na spotkaniu przeszło godzinę słuchałem wypowiadanych świadectw. Wszystkie dotyczyły ponownego (a czasami tak naprawdę pierwszego) odkrycia wiary i wszystkie jako punkt wyjścia miały właśnie to: doświadczenie miłości! Tego, że Bóg mnie kocha. Że mnie nie odrzuca. Że zaprasza i włącza aktywnie w Kościół: zleca mi jakąś w nim odpowiedzialność. I wyposaża ku niej w odpowiednie dary duchowe. To doświadczenie miłości każe dopiero szukać wszystkich możliwych miejsc spotkania z Nim. Nie pozwala już wracać do zwyczajowego minimum „praktyk". Chce więcej i więcej. Potęguje głód. Ale i cierpliwość...

Więcej: ono zwraca też realnie ku innym, zgodnie z pragnieniami samego Jezusa, który – deklarując nam miłość – nie domaga się skierowanej ku Niemu wzajemności, lecz raczej nakazuje nam z miłością (otrzymaną od Niego: *agápe*) zwrócić się ku siostrom i braciom. Nie mówi: „Miłujcie Mnie koniecznie"; mówi: „Miłujcie się wzajemnie, jak Ja was umiłowałem".

To właśnie jest wiara: przyjąć Jego miłość, i tą miłością kochać bliźnich. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 I)

2. niedziela zwykła: Iz 49, 3. 5-6; Ps 40; 1 Kor 1, 1-3; J 1, 29-34;
Poniedziałek: 1 Sm 15, 16-23; Ps 50; Mk 2, 18-22;
Wtorek: 1 Sm 16, 1-13; Ps 89; Mk 2, 23-28;
Środa: 1 Sm 17, 32-33. 37. 40-51; Ps 144; Mk 3, 1-6;
Czwartek: 1 Sm 18, 6-9; 19, 1-7; Ps 56; Mk 3, 7-12;
Piątek: 1 Sm 24, 3-21; Ps 57; Mk 3, 13-19;
Sobota: Dz 22, 3-16; Ps 117; Mk 16, 15-18;
3. niedziela zwykła: Iz 8, 23b – 9, 3; Ps 27; 1 Kor 1, 10-13. 17; Mt 4, 12-23.

DEKADA BELFEGORA

W ostatnich latach bezrobocie, inflacja, wojny handlowe i inne problemy spod znaku ekonomii pozwoliły nam o sobie zapomnieć. Wkrótce przypomną o swym istnieniu – na czele z pytaniem o sens wzrostu gospodarczego.

MAREK RABIJ

Zacznijmy jednak od dobrych wiadomości z Banku Światowego, który w najnowszej prognozie szacuje wartość zeszłorocznego globalnego produktu krajowego na 87,2 biliona dolarów – czyli o 2,98 proc. więcej niż rok wcześniej. W ciągu zaledwie dwunastu miesięcy ludzkość wzbogaciła się więc o 2,5 biliona dolarów.

W roku 2020 świat zwolni. Nic nie zapowiada jednak ostrego hamowania, nie mówiąc o jeździe na wstecznym – czyli recesji. Do końca grudnia globalny produkt krajowy dobije w okolice 90 bilionów dolarów. Polska, która również będzie się cieszyć wolniejszym, ale nadal imponującym na tle bardziej rozwiniętych sąsiadów wzrostem PKB na poziomie 3–3,6 proc., wzbogaci się dzięki temu o około 70 mld zł – czyli niemal o dwukrotność wartości programu 500 plus, który w tym roku pochłonie 41,2 mld zł.

Jego beneficjenci być może wygrzebią z internetu jeszcze jedną ciekawostkę statystyczną, której z pewnością nie zaprezentuje im ani telewizja publiczna, ani premier Morawiecki: że za każde wypłacone 500 zł można kupić dziś tyle, na ile na początku programu wystarczały 463 zł. W niespełna cztery lata inflacja odchudziła zatem 500 plus o blisko 40 zł. Jeśli rząd nie zdecyduje się na waloryzację świadczenia, a wzrost cen nie wyhamuje, w 2030 r. będziemy mieć w istocie do czynienia z programem 324 plus.

O ile za dziesięć lat ten program będzie w ogóle istnieć.

Kupuję, więc jestem

„Świat jest cywilizowany, lecz nie są cywilizowani jego mieszkańcy: nie zdają sobie nawet sprawy z istnienia cywilizacji, po prostu używają jej tak, jak gdyby to była przyroda" – pisał przed II wojną światową José Ortega y Gasset w „Buncie mas". W identyczny sposób funkcjonują dziś w gospodarce miliardy obywateli zamożnych państw rozwiniętych, zredukowani, zresztą na własne życzenie, do funkcji konsumentów. W świecie nadprodukcji i nadmiaru konsumpcja wydaje się równie naturalna jak potrzeba oddychania. To przez zakupy wyraża się dziś status społeczny, podkreśla światopogląd, a czasem pośrednio nawet głosuje w wyborach („nie kupuję w tej firmie, odkąd wiem, że wspierała w kampanii kandydata nie z mojej bajki").

Mało kto jednak pamięta, że nie byłoby tego globalnego cudu nad kasami, albo przynajmniej nie przybrałby on aż takiej skali, gdyby jesienią 2008 r. nie upadł amerykański bank Lehman Brothers. W panicznej próbie powstrzymania globalnego kryzysu, który mogło wywołać tamto bankructwo, banki centralne od Waszyngtonu przez Frankfurt nad Menem aż po Tokio przystąpiły do produkcji pieniądza na niespotykaną wcześniej skalę, by zasypać nimi deficyty innych banków „zbyt dużych, by upaść". Jeden Europejski Bank Centralny, strażnik wspólnej unijnej waluty, do 2018 r., kiedy zdecydował się ograniczyć dodruk, wpuścił do krwiobiegu europejskiej gospodarki aż 5,3 biliona euro. Lekko licząc – tyle, na ile cała niemiecka gospodarka musi pracować około półtora roku. Amerykanie do 2017 r. dodrukowali blisko 3,45 biliona pustych dolarów. Japonia – blisko 3 biliony. Epizody „luzowania ilościowego", jak ładnie nazwano druk pieniędzy, miały też banki centralne mniejszych krajów, choćby Wielkiej Brytanii czy Kanady. Masa łatwo dostępnego kapitału trafiła następnie na rynki finansowe, stymulując zgodnie z intencją szefów banków centralnych koniunkturę. A mówiąc prościej: kusząc bardzo tanim kredy-

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

tem. Krytycy luzowania ilościowego ostrzegali, że ta metoda gaszenia kryzysu w zarodku przypomina zalewanie pożaru benzyną i może się udać, ale równie łatwo może też doprowadzić do eksplozji inflacji. Przez lata, ku zdziwieniu sceptyków, obawy te nie znajdowały pokrycia w twardych danych: mimo że EBC drukował pieniądze w tempie dochodzącym nawet do 1,3 mln euro na sekundę, inflacja w strefie euro trzymała się uparcie minimów. Także w Polsce dało się o niej zapomnieć.

Do czasu.

Posmak stagflacji

Tuż po Nowym Roku GUS podał dane o wzroście cen w grudniu, który sięgnął aż 3,4 proc. Nagły skok inflacji z 2,6 proc. zaskoczył wszystkich obserwatorów polskiej gospodarki, włącznie z prezesem NBP Adamem Glapińskim, który próbował uspokajać, że nasz bank centralny wciąż ma ją pod kontrolą (to jego główny cel statutowy), a prognozy dalszego wzrostu cen aż do 4 proc. można włożyć między bajki. W rzeczywistości, czego prezes powiedzieć nie mógł, realizuje się właśnie scenariusz, którego prawdopodobieństwo wystąpienia jeszcze w 2017 r. NBP szacował najwyżej na 20 proc. W dodatku polski bank centralny znajduje się w bardzo trudnym położeniu: walcząc z inflacją powinien bowiem podnieść stopy procentowe, ale musi utrzymywać je na niskim poziomie, bo podwyżka mogłaby jeszcze bardziej nadwyrężyć i tak już słabnący wzrost gospodarczy. W efekcie prezes Glapiński zapewnia, że nie widzi potrzeby podwyżki stóp co najmniej do końca swojej kadencji w NBP, który nastąpi w 2022 r. A w tym samym czasie posiadacze lokat przecierali oczy ze zdumienia obserwując tempo, z jakim trzymane w polskich bankach pieniądze tracą na wartości. Średnie oprocentowanie depozytu w listopadzie wynosiło 1,4 proc. Przy inflacji na aktualnym poziomie oznacza to stratę rzędu 2 proc.

Niestety, na tym nie koniec złych wieści. Do tej pory wzrost inflacji łagodziły przecież podwyżki wynagrodzeń. Przy hamującej gospodarce będzie już o nie trudniej, co między wierszami przyznają badacze rynku pracy, przewidujący, że płace w 2020 r. ciągnąć będą w górę przede wszystkim urzędowe podwyżki wynagrodzenia minimalnego. Inflacja tymczasem nie odpuści. Od nowego roku wzrosły ceny energii elektrycznej. Najwięksi producenci, czyli PGE, Tauron, Enea i Energa już jesienią 2019 r. złożyli w Urzędzie Regulacji Energetyki wnioski o zaakceptowanie podwyżki taryf nawet do 40 proc. Pod naciskiem polityków prezes URE ostatecznie zgodził się na mniej i od stycznia przeciętna polska rodzina zapłaci za prąd średnio o 11–12 proc. więcej (w zależności od dostawcy). Dodatkowe 9–10 zł miesięcznie w rachunku może wydać się mało istotne, ale podwyżki uderzą przecież również w producentów (także żywności) i firmy usługowe, a te przerzucą je w dużej części na klientów.

Wielką niewiadomą są także ceny ropy naftowej, które ponownie mogą wystrzelić w górę, jeśli w rejonie Zatoki Perskiej, przez którą przechodzi około 60 proc. globalnych dostaw tego surowca, wybuchnie wojna. Konflikt innego rodzaju, bo handlowy, trwa za to już między ↦

USA i Chinami. Pozornie rzecz może wydawać się mało ważna z perspektywy polskiego podwórka, ale tak nie jest. Napięcie między największymi potęgami gospodarczymi świata bije rykoszetem w handel światowy, zwłaszcza w gospodarkę Unii Europejskiej, której PKB w aż 45 proc. składa się z eksportu. Wskaźnik WTU (World Trade Uncertainty) używany przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy wzrósł pod koniec ubiegłego roku do poziomu nienotowanego od 20 lat. Dla jednej z największych eksportowych fabryk Europy, jaką jest Polska, to bardzo zły znak. Od połowy 2018 r. dynamika polskiego PKB zwalniała w tempie 0,2 punktu procentowego kwartalnie. W III kwartale 2019 r. spadki jednak przyspieszyły do aż 0,7 punktu procentowego i pytanie o to, jak mocne będzie hamowanie, staje się kluczową kwestią. Jeśli zwolni ona poniżej 3 proc., Polskę czeka stagflacja, czyli kumulacja dwóch niekorzystnych czynników: szybkiego wzrostu cen i hamowania PKB. Konsumpcyjny mechanizm, który tak sprawnie nakręcał do tej pory gospodarkę, przestanie działać.

Część ekonomistów doda – nareszcie.

Komu rośnie, temu rośnie

Wróćmy na chwilę do wspomnianych na początku 70 mld zł, o które do końca roku ma się wzbogacić polska gospodarka. Większość tej kwoty zalegnie bezpiecznie na rachunkach bankowych wielkich firm lub zmieni się w aktywa jednostek inwestycyjnych najzamożniejszych Polaków. Sporo weźmie dla siebie także fiskus. Jedno jest pewne: w tym finansowym łańcuchu pokarmowym przeciętny Polak z pensją na poziomie 4–5 tys. zł znajdzie się na samym dole. Jak pokazują modne ostatnio badania nierówności ekonomicznych, nie będzie pod tym względem wyjątkiem na tle mieszkańców innych państw rozwiniętych. Model gospodarczy, w którym celem jest wzrost PKB, z punktu widzenia przeciętnego obywatela niesie ze sobą więcej kosztów niż korzyści. *Outsourcing* produkcji, dyscyplina budżetowa, automatyzacja – wszystko, co menedżerom zarządzającym dużymi firmami kojarzy się z rozbudową strony przychodowej, szeregowemu pracownikowi pachnie raczej niepewnością i kłopotami. W najlepszym razie – zaciskaniem pasa. A jednocześnie to on, szary podatnik, jest kluczową figurą na fiskalnej szachownicy każdego rozwiniętego państwa, które utrzymuje się głównie z podatków maluczkich i średniaków! Na jego barki spada lwia część kosztów zmiany polityki, która ma zatrzymać nadchodzącą katastrofę klimatyczną (Polacy odczuwają ją dziś najmocniej poprzez rosnące ceny prądu i wyższe koszty wywozu śmieci).

Nic więc dziwnego, że obywatele krajów rozwiniętych zaczynają mieć dość dyktatury PKB. O ograniczeniach modelu opartego na wzroście świat rozmawia nieprzerwanie od lat 70. XX w., kiedy na zlecenie Klubu Rzymskiego powstał raport zatytułowany „Granice wzrostu", ambitna multidyscyplinarna próba oszacowania perspektywy rozwojowej dla gospodarki wolnorynkowej ba-

Królestwo niezrównanego szczęścia

SHAROH / ADOBE.STOCK.COM

Mieszkanka Bhutanu w narodowym stroju kira

BHUTAN. Himalajskie państewko wielkości jednej trzeciej Polski, wtulone między Indie i Chiny. Wysokie góry, w tym najwyższy niezdobyty do dziś szczyt Gangkhar Puensum (7570 m n.p.m). Dziewicza przyroda i barwny lokalny folklor – wszystko to uczyniło Królestwo Smoka (tak nazywają kraj jego mieszkańcy) popularnym celem wycieczek turystów z krajów rozwiniętych, którym marzy się kawałek „prawdziwej Azji" nietkniętej jeszcze przez globalizację.

Ilekroć mowa o Bhutanie, listę ciekawostek dotyczących kraju obowiązkowo uzupełnia wzmianka o wskaźniku narodowego szczęścia, alternatywnej dla PKB metody szacowania tempa rozwoju kraju, którą w 1972 r. wprowadził ówczesny władca Jigme Singye Wangchuck. GNH, czyli Gross National Hapiness, w przeciwieństwie do wskaźnika PKB, który koncentruje się na płacach i produkcji, najwięcej uwagi poświęca zadowoleniu obywateli z życia w państwie, które wysiłek rozwojowy ogniskuje na dobrostanie mieszkańców. Brzmi obiecująco, prawda? Dlatego, że bhutański indeks zyskał ciepłe oceny za granicą, a nawet zainspirował twórców światowego indeksu szczęścia (HPI, Happy Planet Index), który co kilka lat publikuje New Economics Foundation (w jego ostatniej edycji sprzed ośmiu lat Polska uplasowała się dopiero na 71. miejscu, niemal o pięćdziesiąt oczek niżej niż w rankingach tworzonych na podstawie PKB).

Jak się żyje w kraju, w którym władze obchodzi szczęście obywateli, a nie wzrost produkcji przemysłowej? Na próżno szukać odpowiedzi na to pytanie w bhutańskim wskaźniku, który stał się dla władz nie tylko skutecznym narzędziem promocji zagranicznej, ale także zasłoną dla zgoła nieidyllicznej polityki wewnętrznej. Królestwo Smoka – o czym turyści przybywający do Bhutanu na tygodniowe *all inclusive* zazwyczaj nie wiedzą – notorycznie łamie bowiem prawa człowieka. Przedstawiciele władzy zgarniają większość zysków z turystyki, która przynosi krajowi niemal jedną piątą dochodów i tłamszą w zarodku każdą opozycję. Wolność słowa sprowadzono do sloganu w konstytucji; niedawno do więzienia trafiło dwóch dziennikarzy, którzy na swoich prywatnych kontach w mediach społecznościowych pozwolili sobie na krytykę rządu. Czarną kartą w historii kraju są także prześladowania ludu Lhotshampa, mniejszości pochodzenia nepalskiego, której Bhutan odmawia praw obywatelskich i zmusza do emigracji.

©℗ MR

zującej wówczas na produkcji przemysłowej i konsumpcji. Lektura tamtego dokumentu przywołuje na myśl figurę Belfegora, demona lenistwa i nienasycenia, który w europejskiej ikonografii często pojawia się z rozdziawioną paszczą. Tempo, z jakim coraz liczniejsza ludzkość będzie eksploatować zasoby naturalne planety, musi doprowadzić do katastrofy. I choć autorom „Granic wzrostu" chodziło raczej o wyczerpanie zasobów gazu i ropy naftowej niż pokrywy lodowcowej i wody pitnej, dziś ich obserwacje przeżywają drugą młodość.

Postwzrost. A nawet „zwój" – jako przeciwieństwo rozwoju – to nowe pomysły na urządzenie świata bez ustawicznej gonitwy za wyższym wzrostem gospodarczym. Ograniczenie konsumpcji np. poprzez umiejętnie prowadzoną politykę podatkową. Skrócenie łańcucha dostaw produktów rozciągniętego w nieskończoność przez globalizację. Wreszcie – większa dbałość o wykorzystanie dostępnych zasobów. Zamknięty, a przynajmniej uszczelniony obieg surowców w gospodarce w miejsce eksploatacji nowych złóż. Aktywna obecność państwa w gospodarce, które znów zacznie wyznaczać warunki brzegowe wolnemu rynkowi. Wszystko to ma sprawić, że wzrost gospodarczy mierzony w PKB być może spowolni, ale stanie się bardziej zharmonizowany i egalitarny. No i przyjaźniejszy dla środowiska.

Część ekonomistów zaczyna zresztą powątpiewać w solidność fundamentów samego wzrostu globalnego PKB. Dziennikarz „Financial Times" David Pilling opublikował w 2018 r. książkę pod znamiennym tytułem „Iluzja wzrostu. Bogactwo, bieda i dobrostan narodów", w której, wzorem poprzedników, nie tylko krytykuje fetyszyzowanie PKB w polityce ekonomicznej, ale idzie krok dalej – wątpiąc w istnienie samego wzrostu PKB w gospodarkach krajów rozwiniętych.

Szczególnie chorobliwe więzi zdaniem Pillinga łączą największą gospodarkę świata, jaką są Stany Zjednoczone, z szejkanatami naftowymi Zatoki Perskiej oraz z Chinami. Zagraniczni partnerzy USA swoje nadwyżki budżetowe i rezerwy walutowe inwestują w amerykańskie papiery dłużne po to, aby Waszyngton mógł relatywnie tanio obsługiwać rekordowy deficyt finansów publicznych bez konieczności podnoszenia podatków obywatelom – co z pewnością odbiłoby się fatalnie na konsumpcji wewnętrznej w USA, której i Chiny, i kraje Zatoki Perskiej zawdzięczają prosperity. Taką współpracę handlowo-fiskalną w gruncie rzeczy można nazwać symbiozą, skoro obu stronom przynosi korzyści. Pilling w tym kontekście stawia jednak ważne pytanie: czy bez całego tego kuglarstwa Chiny przez lata mogłyby się cieszyć wzrostem PKB oscylującym w przedziale 7–10 proc. rocznie? Czy hiperrozwinięta gospodarka USA, nękana szeregiem strukturalnych problemów na czele z odpływem miejsc pracy do krajów globalnego Południa, byłaby w stanie rozpędzić swoje PKB do 3 proc., a największe amerykańskie korporacje osiągnęłyby kapitalizację giełdową, sięgającą lub nawet wykraczającą poza niewyobrażalny do niedawna pułap biliona dolarów? Słowem, czy model ekonomiczny skoncentrowany na wzroście faktycznie działa i wskaźnik PKB oddaje tempo rozwoju gospodarczego, czy może jedynie wymusza na firmach i krajach kroki, które pozwalają taki wzrost wykazać w raportach?

Postwzrost. A nawet „zwój" – jako przeciwieństwo rozwoju – **to nowe pomysły na urządzenie świata** bez ustawicznej gonitwy za wyższym wzrostem gospodarczym.

Zabawki znudzonych bogaczy

Pytania o granice wzrostu gospodarczego i jego miary byłyby jedynie nudnym ćwiczeniem makroekonomicznym, gdyby nie fakt, że dziś towarzyszą im fundamentalne pytania o stabilność ziemskiego ekosystemu. Zwolennicy postwzrostu twierdzą, że to jedyna metoda na powstrzymanie katastrofy klimatycznej; wolnorynkowe półśrodki w rodzaju handlu certyfikatami emisji CO_2 czy dobrowolne porozumienia ograniczające eksploatacje surowców naturalnych ich zdaniem przypominają pudrowanie nieboszczyka. W tym postwzrostowym równaniu nie brak niewiadomych, jedna z nich wydaje się jednak najistotniejsza: jak pogodzić konieczność ograniczenia tempa wzrostu światowej gospodarki z gwałtownym wzrostem ziemskiej populacji?

Do 2050 r., jak szacują demografowie ONZ, liczba ludności świata wzrośnie do 9,5 mld. Nastąpi też wyraźne przesunięcie struktury globalnego społeczeństwa – jeszcze wyraźniej w stronę Azji i Afryki cieszących się najwyższymi wskaźnikami przyrostu naturalnego. W Europie co minutę na świat przychodzą dziś średnio trzy osoby. W Afryce – 63 osoby. W Azji – aż 69. Krajom globalnego Południa globalizacja dała sposobność do szybkiego nadrobienia cywilizacyjnych i infrastrukturalnych zaległości sięgających z reguły korzeniami epoki kolonialnej. Oprócz lepszych dróg i kolejnych sieciowych kawiarni wzrost przynosi tam także spadek śmiertelności noworodków czy analfabetyzmu. Koszty środowiskowe? Na tym etapie rozwoju bywają zwykle lekceważone. W Bangladeszu, który szybko i bezwzględnie bogaci się dziś na produkcji odzieży, popularne powiedzenie mówi, że najmodniejszy w przyszłym roku kolor już w tym można zaobserwować w wodach pobliskiej rzeki. Jak namówić ludzi, którym wolny rynek dał niewielką, ale jednak zauważalną poprawę jakości życia, do postawienia własnej przyszłości w klimatycznym zakładzie?

Pytanie o to, czy i jak zastąpić wzrost, dotyczy także Polski, oficjalnie już zaliczanej do grona państw rozwiniętych. Polską gospodarkę unosi dziś konsumpcja wewnętrzna – głównie zakupy indywidualne. Część ekonomistów wskazuje na niedoinwestowane dotychczas obszary, przede wszystkim edukację i ochronę zdrowia. Rozwiązaniem byłoby przekierowanie szerokiego strumienia gotówki, która wypływa dziś za granice poprzez sklepy zagranicznych sieci handlowych, na konsumpcję nauki, kultury oraz produktów i usług poprawiających jakość i długość życia.

Realne? Izrael, który od początków nowoczesnej państwowości boryka się z brakiem wody pitnej, przekuł to ograniczenie w swój atut i dziś jest głównym eksporterem technologii odsalania wody morskiej.

Belfegor to także demon pomysłowości.

©℗ MAREK RABIJ

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Tomasz Grodzki, Sejm, 12 listopada 2019 r.

Dorwać Grodzkiego

KALINA BŁAŻEJOWSKA

W aferze, którą od dwóch miesięcy karmią się prorządowe media, nastąpił gwałtowny zwrot akcji. Oskarżający stali się oskarżanymi, Samuel Pereira wyciągnął kwity, uaktywniły się CBA i prokuratura.

Tomasz Grodzki, senator Platformy Obywatelskiej, cieszył się poważaniem jako wybitny torakochirurg, specjalista od trudnych przypadków i przeszczepów płuc. W listopadzie – miesiąc po tym, jak przekazał mediom, że oferowano mu tekę ministra zdrowia za przejście na stronę PiS – wybrano go na marszałka Senatu. Stał się jedynym graczem opozycji, który może skutecznie utrudniać życie władzy. I czarnym charakterem powiązanych z rządem telewizji, portali, gazet i rozgłośni.

Oskarżono go już o wszystko – donoszenie na Polskę w Brukseli, spiskowanie z rosyjskim ambasadorem, realizację wizji Putina, łamanie konstytucji – ale koronnym zarzutem, powielanym w nieskończoność, pozostaje łapownictwo. Szczególną kreatywnością wykazał się – który to już raz! – naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz, ogłaszając akcję „Kopertówka dla Tomasza Grodzkiego". W ostatnim numerze tygodnika zamieszczono wzór koperty i banknotu studolarowego z wizerunkiem Grodzkiego. Z zachętą do wysyłania ich pod adresem kancelarii Senatu. „Tomasz Grodzki – przekonuje „Gazeta Polska" na swojej stronie internetowej – bez koperty jest jak Wałęsa bez kuponów totolotka, Kwaśniewski bez flaszki albo Tusk bez Angeli Merkel, jednym słowem czuje się nieswojo bez czegoś, co dotąd towarzyszyło mu w życiu". A naczelny dodaje: „Uważam, że wszyscy Polacy powinni wziąć udział w nakłanianiu Tomasza Grodzkiego, aby nie jeździł po świecie i nie szukał kopert. Niech dostanie od nas ich tyle, ile się da. Będzie mógł je sobie otwierać, oglądać do woli. Rzućmy mu coś tam, żeby nie musiał podróżować czy to do Berlina, czy do Moskwy i szukać innych kopert".

Jaguary i dolary

Ta sprawa rozwijała się w „Wiadomościach" telewizji publicznej – mniej finezyjnych, ale nie mniej zajadłych niż „Gazeta Polska", a docierających do szerszej grupy odbiorców (według badań Nielsena w grudniu 2019 r. wieczorne wydanie dziennika oglądało średnio prawie 3 miliony widzów, czyli więcej niż „Fakty" TVN). W ciągu 58 dni „Wiadomości" wyemitowały 35 negatywnych materiałów na temat Grodzkiego.

Pierwszy ukazał się 13 listopada – dzień po wyborze na marszałka. Za pointę służyła plansza z danymi z oświadczenia majątkowego senatora. Jeszcze bez komentarza, ale można było odnieść wrażenie, że skoro kogoś przedstawia się informacją o stanie posiadania, ten ktoś musi być podejrzany. W wyemitowa-

nym następnego dnia materiale „Kulisy majątku marszałka Grodzkiego” przypomniano, że posiada spore oszczędności w różnych walutach, trzy nieruchomości i jaguara (pokazano nawet fragment reklamy tego samochodu), a zaraz potem zacytowano internetowy wpis profesor Agnieszki Popieli, gorącej zwolenniczki rządu ze Szczecina. „Masakra. Pan profesor Grodzki kandydatem na Marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopisma medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę”. Rzecz pokazano tuż przed pierwszym telewizyjnym orędziem marszałka.

W następnych tygodniach zaczęto powtarzać rewelacje pracownika publicznego Radia Szczecin i „Gazety Polskiej” Tomasza Duklanowskiego, do którego nagle zaczęły się zgłaszać osoby twierdzące, że w przeszłości wręczyły Grodzkiemu gotówkę. W emitowanych dzień w dzień materiałach tytułowanych „Marszałek Grodzki brał łapówki?” (lub bez kurtuazyjnego pytajnika: „Świadkowie: Grodzki brał łapówki”) oskarżyciele występują bez nazwisk i twarzy. Często mają zmieniony głos, jakby bali się zemsty mafii lub odpowiedzialności karnej. Nie zawsze jest jasne, czy chodzi o łapówki, czy zapłatę za prywatnie przeprowadzony zabieg. A nawet: czy chodzi o Grodzkiego, czy innego lekarza z jego oddziału.

W wydaniu z 3 stycznia Danuta Holecka zaprezentowała druzgocące wyniki sondażu przeprowadzonego na zlecenie portalu wPolityce.pl: „Czy wierzy Pan/i, że Tomasz Grodzki przyjmował łapówki?”. Słupki pokazywały, że 51 proc. wierzy, 31 proc. nie wierzy, a 18 proc. nie wie, czy wierzy. Badanie przeprowadziła pracownia Social Changes – niezrzeszona w organizacji ośrodków badawczych, niepodlegająca zewnętrznej kontroli, założona przez prawicowego aktywistę Marka Grabowskiego. Wyniki jej sondaży są na ogół zbieżne z interesem rządu, po prostu.

Sondaż opublikowało wiele prawicowych portali. Michał Karnowski z „Sieci” tak omówił go w Radiu Szczecin: „Mamy do czynienia jednak z wiarygodnymi świadkami przedstawianymi przez Radio Szczecin. To nie jest tylko jedna osoba. To nie są też słowa, które byłyby jakoś sprzeczne z naszym doświadczeniem życiowym. Wszyscy raczej, jak patrzymy uważnie na świat wokół siebie, to wiemy, że w wielu miejscach tak niestety to działa i wygląda”. Tym samym Karnowski wyłożył obowiązującą na wspierającej PiS prawicy logikę całej „afery”: skoro wszyscy wiedzą, że lekarze biorą lub brali, a Grodzki jest lekarzem, to musiał brać.

Ryba głębinowa

A co na to marszałek Grodzki? Wiele razy zaprzeczał oskarżeniom i zapowiadał kroki prawne. Do stanowczego kontrataku przystąpił 7 stycznia. W wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” z właściwym sobie patosem przeprowadził analogię ze sprawą Jerzego Popiełuszki i wyraził obawy przed podzieleniem losu Pawła Adamowicza. Przewidywał: „jak się temat łapówek skończy, a skończy się zaraz, bo to jest wszystko ukręcona sprawa, to zacznie się montowanie na mnie jakichś spraw obyczajowych, potem zrobią ze mnie alkoholika, bo przecież wszyscy lekarze piją, a potem handlarza organami ludzkimi do Chin, bo przecież zajmowałem się transplantologią”. I dodał, że jest „jak ryba głębinowa – im większe ciśnienie, tym lepiej pływa”.

Tego samego dnia zwołał konferencję prasową, na której wystąpił w towarzystwie adwokata Jacka Dubois. Oświadczył, że składa prywatne akty oskarżenia wobec Popieli, Pereiry i Duklanowskiego. Nazwał ich działania „atakiem na Senat Rzeczypospolitej i na instytucję Marszałka Senatu” oraz zaapelował o pomoc do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wspomniał o dwóch osobach, które miały mu zgłosić, że próbowano je szantażem nakłonić do fałszywych oskarżeń. Odtworzył też nagranie z relacją byłego pacjenta, 90-letniego Tadeusza Staszczyka, którego 30 grudnia miał odwiedzić tajemniczy mężczyzna oferujący 5 tys. zł za donos na Grodzkiego.

Staszczyk powtórzył swoją historię w Radiu Zet, Onecie i TVN. Brzmiał sensownie, ale jego wiarygodność natychmiast podważono metodą teczkową. Samuel Pereira podał na Twitterze dane z publicznego katalogu IPN, w którym Tadeusz Staszczyk figuruje jako funkcjonariusz UB, a zaraz potem TVP Info pokazało akta. Szybkość tej kwerendy była imponująca, bo zazwyczaj na materiały z IPN dziennikarze czekają kilka tygodni. Zaczęła się medialna lustracja 90-latka, ze szczególnym naciskiem na sprawy rodzinne (pojawił się wątek „donoszenia na własną żonę”, obecnie – jak twierdzi Staszczyk – 91-letnią i obłożnie chorą). Pereira podsumował na antenie TVP ↦

POŻEGNANIE

Ś. † P.

Edward Pałłasz

1936 – 2019

zmarł 22 grudnia 2019 roku w Warszawie.
Kompozytor, pedagog, twórca muzyki teatralnej, a także filmowej, skomponował wiele popularnych piosenek, związany z kabaretem Olgi Lipińskiej, a także z teatrami Bim-Bom i STS.
Działacz środowiska artystycznego, przewodniczący Zarządu Funduszu Popierania Twórczości ZAiKS, członek honorowy ZAiKS-u, wieloletni członek Zarządu Głównego Związku Kompozytorów Polskich, współzałożyciel Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych oraz członek Rady Kultury przy Prezydencie RP Lechu Wałęsie.

Wieloletni i życzliwy czytelnik naszego pisma.

Wszystkim bliskim i przyjaciołom Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia

Tygodnik Powszechny
i Fundacja Tygodnika Powszechnego

Info: „Wszystko, co zostało powiedziane przez marszałka Grodzkiego, opiera się na jednym człowieku. Jest to 90-letni mężczyzna, który od 20. roku życia pracował w UB. Prawdopodobnie dotknęła go ustawa dezubekizacyjna, dlatego miał powody, żeby się zemścić".

Przypadek Staszczyka idealnie pasuje do prezentowanej w prawicowych mediach wizji świata: opozycję wspierają potężni byli ubecy, poświęcający ostatnie lata życia na planowanie wyrafinowanej zemsty lub próby odzyskania utraconych w wyniku rządów PiS wpływów. A co, jeśli oskarżyciele Grodzkiego też pracowali w bezpiece? Tego się nie dowiemy – w przeciwieństwie do Tadeusza Staszczyka pozostają anonimowi.

Jak pewien pan Henryk, który dzień po konferencji prasowej Grodzkiego opowiedział Radiu Szczecin kolejną zagadkową historię z 1996 r.: „Pojechałem do Szczecin-Zdunowo, znalazłem doktora Grodzkiego, podałem karteczkę, którą miałem wypisaną przez lekarza kierującego. Doktor Grodzki ją przeczytał i zaprosił na badanie, po wykonaniu zdjęć rentgenowskich i w swoim gabinecie dał mi jeszcze opis choroby i powiedział, że za tę usługę należy się 200 zł. Wyjąłem 200 zł i zapłaciłem, żadnego pokwitowania nie dostałem i tak się skończyła wizyta".

Oczywiście, w przypadku rzetelnych mediów anonimowość informatorów nie może być zarzutem. Podobnie jak fakt, że zgłaszają się do redakcji dopiero po wielu latach od zdarzenia. Ale Grodzkiego oskarżają redakcje, których wiarygodność nie jest nawet zerowa – jest rządowa.

Bo ta sprawa to kolejny przykład dobrze znanej strategii obozu władzy: krytyków przedstawić jako wrogów, a następnie skompromitować. Obrzydzić albo ośmieszyć – tak konkretnych ludzi, jak całe grupy społeczne. W podobny sposób prorządowe media w ostatnich latach traktowały już m.in. Pawła Adamowicza, Małgorzatę Gersdorf, Adama Bodnara, Waldemara Żurka, uchodźców, lekarzy rezydentów, nauczycieli, ekologów, osoby LGBT, sędziów.

Uwikłać w proceder

Oskarżenia wobec Grodzkiego od początku grudnia bada Centralne Biuro Antykorupcyjne i prokuratura (o czym regularnie informują TVP i Radio Szczecin). 8 stycznia posłanka PO Magdalena Kochan podała, że prokuratorzy zażądali od szpitala w Zdunowie danych wszystkich pacjentów operowanych przez Tomasza Grodzkiego od 1992 roku. Rzecznik Prokuratury Regionalnej w Szczecinie Marcin Lorenc nie zaprzeczył. „Prowadzący śledztwo zwrócił się do różnych instytucji o udostępnienie dokumentacji i informacji, które mogą mieć znaczenie dla rozstrzygnięcia postępowania" – powiedział Polskiej Agencji Prasowej, dodając, że „nie mają miejsca żadne spektakularne działania". Następnego dnia mówił już, że „ustalono cztery zdarzenia o charakterze korupcyjnym, w tym zakresie zostali przesłuchani świadkowie".

Z kolei Centralne Biuro Antykorupcyjne zaapelowało w internecie „do osób, które dały się uwikłać w korupcyjny proceder i wręczyły korzyść majątkową, o zgłaszanie się do szczecińskiej delegatury Biura". Czyli proceder był, nawet jeśli dowodów jeszcze nie ma.

Przypomina się zdanie otwierające „Proces" Franza Kafki: „Ktoś musiał złożyć doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany". Podległa Zbigniewowi Ziobrze prokuratura przy wsparciu kierowanych przez Mariusza Kamińskiego służb zapewne zrobi wszystko, żeby pewnego ranka Grodzki został po prostu aresztowany. Będzie trudno, bo chroni go immunitet (nie wolno pociągnąć go do odpowiedzialności karnej bez zgody Senatu, chyba że senator sam wyrazi na to zgodę). Poza tym – jak mówią cytowani przez „Gazetę Wyborczą" szczecińscy śledczy – „historie są bardzo słabe dowodowo". Nawet jeśli uda się sformułować akt oskarżenia, droga do prawomocnego wyroku jest jeszcze długa.

Na razie Tomasz Grodzki nie ma nawet statusu podejrzanego. Ale w świadomości wielu Polaków jest i pozostanie łapówkarzem, który dorobił się jaguara na cierpieniu śmiertelnie chorych. Inni zastanawiają się, czy to prawda. W ten sposób razem z Grodzkim podejrzane stają się wszystkie niewygodne dla rządu działania, jakie podejmuje w roli marszałka Senatu. I o to właśnie chodziło.

Okręgowa Izba Lekarska w Szczecinie wydała oświadczenie, w którym sprzeciwia się „szkalowaniu dobrego imienia Profesora Tomasza Grodzkiego" i podkreśla „brak jakichkolwiek skarg kierowanych do organów Okręgowej Izby Lekarskiej ze strony pacjentów i ich rodzin co do osoby Pana Profesora". Emitowane kilka godzin później w telewizji publicznej „Wiadomości" to oświadczenie przemilczały. Bo przecież nie o to im chodzi.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 141/19, z wniosku Władysława Żołnierczuka, toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Władysław Żołnierczuk i Janina Żołnierczuk z dniem 31 marca 2018 r. nabyli przez zasiedzenie nieruchomość nr 146, położoną w miejscowości Strupin Mały, pow. chełmski, o powierzchni 1,74 ha, dla której Sąd Rejonowy w Chełmie, Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą o nr. LU1C/00041840/1.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o zasiedzenie.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 342/19, toczy się sprawa z wniosku Pawła Stokfisza, z udziałem Adama Jaromina, Marka Jaromina, Marka Przewoźnika, Marcina Werpachowskiego, Ryszarda Jaromina, Grzegorza Stokfisza, Krzysztofa Stokfisza, Bogusława Stokfisza, Gabrieli Złośnik, Gabrieli Jaromin, Łucji Dobry, Alicji Rojek, Agnieszki Pokładnik i Elżbiety Tylek, o stwierdzenie nabycia spadku po Bartłomieju Jarominie, s. Marcina i Zofii, zm. 18 grudnia 1962 r. w Bieruniu, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Bieruń.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Na Oddziale Klinicznym Neonatologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, styczeń 2018 r.

Szanse liczone w gramach

MAŁGORZATA NOCUŃ

Nie byłoby polskiej neonatologii, gdyby nie lekarze-wizjonerzy. Ale lekarze nie mieliby szans bez nowoczesnej aparatury, czyli bez wsparcia Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Oddział Kliniczny Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie wygląda, jakby cały reklamował WOŚP. Na większości urządzeń widnieje czerwone serce. Jak było wcześniej?

Prof. Ryszard Lauterbach, kierownik oddziału: – To były straszne czasy, straszne, nie chcę ich wspominać. Brakowało wszystkiego: łóżeczek dla dzieci, respiratorów, aparatury medycznej, leków. Kiedy rodziło się kilogramowe dziecko, nie mieliśmy żadnych szans.

Dr hab. Dorota Pawlik, zastępczyni kierownika oddziału: – To prawda, często byliśmy zupełnie bezsilni. Ale zawsze cechowała nas kreatywność. Sami...

Prof. Lauterbach: – Muszę ci wejść w słowo. O kreatywności możemy mówić dopiero, od kiedy zaczęli pomagać nam Amerykanie, to była końcówka lat 70. ubiegłego stulecia. Wcześniej była tylko bezsilność.

Pani Ela

Czarno-biały wycinek z gazety. Na fotografii pielęgniarka o drobnej budowie ciała, ubrana w fartuch z podwiniętymi rękawami, w czepku i maseczce na twarzy. Kobieta pochyla się nad niemowlęcym łóżeczkiem, jedną ręką odkręca butlę z tlenem. Zdjęcie podpisano: „Wcześniak zużywa w ciągu doby butlę tlenu". W krótkiej notatce czytamy: „W 1950 roku dwie absolwentki Państwowej Szkoły Pielęgniarsko-Położniczej przy A.M. w Krakowie ukończyły specjalny 9-ciotygodniowy kurs opieki nad wcześniakami przy Państwowym Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie. W bieżącym roku przez oddział przeszło 21 wcześniaków. (...) W Krakowskiej Klinice A.M. najmniejszym wcześniakiem była Jasia G. ważąca po narodzinach 1300 g".

Zdjęcie wykonano w miejscu, gdzie dziś mieści się Oddział Kliniczny Neonatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Kobietą na fotografii jest Eliza Macioł, położna. To między innymi od niej krakowscy pediatrzy (nie było wtedy specjalizacji neonatologicznej) i położne uczyli się opieki nad wcześniakami. Panią Elizę często odwiedzała w pracy córka. Dziewczynka lubiła patrzeć, jak mama pielęgnuje niemowlęta. W latach 70. oddział mieścił się na trzecim piętrze Szpitala Uniwersyteckiego (tak jak dziś), ale wyglądał zupełnie inaczej. Był o wiele mniejszy, większość kondygnacji zajmowały mieszkania personelu medycznego. Wchodziło się przez drewniane drzwi z mosiężnymi ↦

klamkami. Na podłodze dębowy parkiet. Elizę Macioł obserwował w pracy prof. Lauterbach. Uczył się od niej.

– Pani Ela, bo tak zdrabnialiśmy jej imię, była spokojna i cicha, bardzo empatyczna. Pamiętam, jak wzruszyła się, kiedy udało mi się wykonać pierwszą w życiu punkcję lędźwiową – mówi prof. Lauterbach. – Od razu wkłułem się w odpowiednie miejsce i pobrałem płyn mózgowo-rdzeniowy do badania.

W latach 70. XX wieku lekarze ratowali dzieci ważące około 2000–2500 gramów. Niemowlę o wadze tysiąca gramów uznawano za żywo urodzone, dopiero gdy nie umarło w pierwszej dobie po przyjściu na świat. Oddział wyposażony był w jeden węgierski respirator, który nazywano „dusicielem". – Był to sprzęt, powiedzmy eufemistycznie, bardzo odbiegający pod względem technicznym od tego, którym dziś dysponujemy, przeznaczony *de facto* do wentylacji dzieci, nie noworodków, ale korzystaliśmy z niego, nie było innego wyjścia – mówi prof. Lauterbach.

Dziś rodzice, których dzieci są pacjentami Oddziału Intensywnej Terapii Noworodka, szybko uczą się, do czego służą urządzenia ustawione wokół inkubatora. Specjalny czujnik (przypięty najczęściej do brzucha dziecka) wskazuje temperaturę ciała (wcześniak nie potrafi sam jej utrzymywać). Inkubator wyposażony jest w system ogrzewania, by noworodek nie był narażony na zmianę temperatury. Inkubatora nie trzeba otwierać, chcąc wykonać czynności pielęgnacyjne (umożliwiają to otwory umieszczone po bokach). Monitor czynności serca i oddechu podaje liczbę uderzeń serca i oddechów na minutę. Pulsoksymetr (specjalna opaska przypięta do rączki bądź stopy) informuje, czy we krwi znajduje się odpowiednia ilość tlenu. W każdej chwili można wykonać gazometrię krwi.

Dorota Pawlik: – Wystarczy rzucić okiem na monitor, by wiedzieć, jaką nasi pacjenci mają saturację, utlenowanie krwi, temperaturę ciała. Wtedy nie było czujników, monitorów, to pielęgniarki i lekarze obserwowali dzieci. Po zabarwieniu skóry, zachowaniu wnioskowali, czy dzieje się coś niepokojącego. I niestety nie zawsze mieli możliwość, by interweniować.

Ryszard Lauterbach: – Pielęgniarki miały niezwykłą intuicję, często przeczuwały, że z którymś pacjentem będzie dziać się coś złego. Pani Ela mówiła mi: „Temu dziecku proszę się dziś przyglądać". Pytałem: „Dlaczego?". Odpowiadała, że od rana zachowuje się inaczej. Pytałem, co to znaczy „inaczej", nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale okazywało się, że dziecko rzeczywiście zaczynało chorować, wymagało badań i leczenia.

Piwnica

Pod koniec lat 70. oddział nawiązał współpracę ze Stanami Zjednoczonymi. Amerykanie – za pośrednictwem organizacji Home Project – wysłali do 17 szpitali w Polsce sprzęt medyczny.

– Wkrótce potem wprowadzono stan wojenny i w 11 placówkach tego sprzętu w ogóle nie otwarto. Bano się – mówi prof. Lauterbach. – A ja, moi koledzy i koleżanki przyszliśmy na oddział ze śrubokrętami i kluczami francuskimi. Od razu zaczęliśmy wszystko to montować. Każde z tych urządzeń posiadało licznik czasu pracy. Po kilku miesiącach Amerykanie przyjechali do nas z wizytą i nie mogli uwierzyć, że każde z tych urządzeń tak długo już pracuje.

Kilka dekad temu w Stanach Zjednoczonych i na Zachodzie opieka nad dzieckiem przedwcześnie urodzonym wyglądała zupełnie inaczej niż w Polsce. Prof. Lauterbach wyjechał na stypendium naukowe do USA już po przełomie, w 1990 r. – Byłem wściekły, że wyjechałem tak późno, ale odpowiedzialny był za to czynnik ludzki, pewien pan profesor postanowił mi zablokować karierę. Zdałem sobie sprawę, jak prosty dostęp do wiedzy mają Amerykanie. Student piątego roku w kwadrans zdobywał informacje, na których zdobycie ja musiałem poświęcić co najmniej kilka miesięcy – mówi prof. Lauterbach. – Mój opiekun naukowy w USA dał mi kartę do ksera. Po dwóch tygodniach przyszedłem do niego i powiedziałem, że wykorzystałem już limit. Przywiozłem stamtąd 35 kilogramów odbitek.

Dorota Pawlik rozpoczęła pracę na oddziale w 1983 r. Pierwsze skojarzenie, które przychodzi jej na myśl i wiąże się z tamtym czasem, to hałas. Na oddziale było bardzo głośno, pracował już nie jeden, lecz kilka węgierskich respiratorów, każdy musiał być wyposażony w sprężarkę. Pojawiały się pierwsze inkubatory – także węgierskie i także głośne. Dr Pawlik mówi, że dźwięki te przypominały trochę odgłosy zakładu produkcyjnego, a nie szpitala, w którym leczy się dzieci. Drugie skojarzenie to pan konserwator – ubrany w granatowy fartuch, z torbą narzędzi na ramieniu, sprawdzał, czy urządzenia pracują w prawidłowy sposób. – Nie bał się ich otwierać, zaglądać do wewnątrz, jeśli zachodziła taka konieczność, brał pod pachę jakąś pompę, wynosił i wracał, kiedy już ją naprawił. Coś skręcił, coś skleił plastrem. Zawsze wszystko dobrze funkcjonowało – opowiada dr hab. Pawlik.

Budka tlenowa

Amerykanie, widząc, że sprzęt jest wykorzystywany na oddziale, przekazywali kolejne dary.

– Przysłali nam lampy, takie promienniki cieplne do ogrzewania niemowląt. Umieszczone były na statywie i miały czujnik, który przypinało się do ciała pacjenta. Chyba przez pomyłkę nie przysłano nam łóżeczek, do których owe lampy pasowały – mówi prof. Lauterbach. – Okazało się, że Dorota jest bardzo dobrze zapowiadającym się inżynierem.

Dr Pawlik: – To ta kreatywność, o której wspominałam. Wyciągnęliśmy z piwnicy stary inkubator i odcięliśmy jego górną kabinę w połowie. W inkubatorze położyliśmy dziecko, nad nim umieściliśmy lampę. Działało.

– Sami robiliśmy też budki tlenowe – mówi prof. Lauterbach.

Budka tlenowa to konstrukcja z pleksi, którą umieszczało się nad głową dziecka, wraz z czujnikiem kontrolującym stężenie tlenu. Tułów i nogi pozostawały poza budką.

– Pocięliśmy stare cieplarki na kawałki, skleiliśmy jakoś te kanciaste, nierówne ścianki. Musiało to dość dramatycznie wyglądać. Przyjechali Amerykanie, pytają: „A co to jest?". Odpowiadam: „No jak to co? Budka tlenowa". „A skąd to macie? Gdzie to się produkuje?". „Tu, w piwnicy" – opowiada prof. Lauterbach. – Pochwalili nas i wkrótce po tym spotkaniu posłali nam dwanaście budek tlenowych.

Za murem procedur

Na ścianie, tuż obok dyżurki lekarskiej na oddziale wmurowano tablicę. „Pamięci pani Elizy Macioł, która uczyła nas, jak rozumieć cierpienie najmniejszych z najmniejszych. Pracownicy Kliniki Neonatologii".

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Jerzy Owsiak i prof. Ryszard Lauterbach, marzec 2017 r.

Córką, która odwiedzała panią Elizę w pracy, była Dorota Pawlik. – Myślałam, że zostanę pielęgniarką. Lubiłam opiekować się dziećmi, podobała mi się atmosfera oddziału – mówi dzisiaj. – Ale skończyłam medycynę i zrobiłam specjalizację z neonatologii. Kiedy rozpoczęłam pracę w klinice, moja mama odeszła już na emeryturę.

Oddział Intensywnej Terapii Noworodka w latach 70. XX wieku i obecnie to dwa różne światy. Nie ma już dębowego parkietu i mosiężnych drzwi. Sale, na których leżą wcześniaki, to nowoczesne, przytulne pomieszczenia, przypominają trochę wnętrze statku kosmicznego. Inkubatory, które rodzice mogą samodzielnie obniżać i podnosić, otoczone przez nowoczesną aparaturę. Na monitorach migają cyfry; kiedy dzieje się coś niepokojącego, włączają się alarmy. – Respirator cicho pyka, dzieci, które nie muszą pod nim leżeć, są wentylowane nieinwazyjnie, przy pomocy urządzenia zwanego CPAP – mówi dr Pawlik. Oddział, na którym odwiedzała mamę, i ten dzisiejszy dzieli epoka. To nie tylko urządzenia, to także zmiana procedur i etyki.

Dr Pawlik: – Jedna z naszych najstarszych-najmniejszych pacjentek (po urodzeniu nie ważyła kilograma) skończyła trzydzieści lat. Zapytałam jej mamę, jak wspomina oddział. Powiedziała, że miejsce to było wtenczas jakby otoczone murem. Panował ogromny dystans, nie była to wina personelu medycznego, takie były procedury. Dziś mamy mówią, że oddział jest ich drugim domem.

Matki i ojcowie przychodzą na oddział rano i wychodzą wieczorem. Nie mogą być przy swoich dzieciach tylko w czasie czynności pielęgnacyjnych oraz przyjęcia nowego pacjenta. Od pierwszych chwil (jeśli tylko pozwala na to stan niemowlęcia) rodzice je przytulają. Jeśli dziecka nie można przytulić, wkłada się rękę do inkubatora i otula nią ciało niemowlęcia.

Kroki milowe

Zmieniły się także możliwości diagnostyczne. Dziś na salę wwozi się nowoczesny sprzęt do wykonywania USG, lekarz otwiera inkubator, przystawia do badanej części ciała malutką głowicę. Sprawdza serce dziecka, mózg.

– Pamiętam pierwszy aparat USG. Otrzymali go położnicy, znajdował się w innym skrzydle budynku, badanie można było przeprowadzić jedynie u pacjentów, których stan pozwalał na przewiezienie. Urządzenie było duże, wyposażone w masywne głowice – mówi dr Pawlik.

Rentgen, np. płuc (to ich niedojrzałość jest jednym z największych problemów wcześniaków), wykonuje się w kilka sekund, także przy inkubatorze.

Wiele milowych kroków udało się wykonać dzięki pomocy WOŚP. „Na tym oddziale chyba tylko lekarze i pielęgniarki nie są z WOŚP" – napisała na swoim blogu matka przedwcześnie urodzonej dziewczynki, która przyszła na świat w krakowskiej klinice.

– To dzięki Orkiestrze oddział został wyposażony w CPAP Infant Flow, urządzenie służące do wentylacji noworodków. W 2003 roku poprosiłem Orkiestrę, by pomogli nam w wyposażeniu inkubatora, który nie będzie podłączony do prądu, ale będzie utrzymywał odpowiednią temperaturę i zostanie wyposażony w CPAP. Inkubator taki chcieliśmy wykorzystywać na sali porodowej i transportować nim dziecko na oddział, by nie narażać go na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Udało się. Dziś każdy oddział dla wcześniaków posiada taki sprzęt – mówi prof. Lauterbach.

Wraz z postępem techniki zmieniała się także wiedza. Kilkadziesiąt lat temu uważano, że wcześniak odczuwa ból w mniejszym stopniu niż dziecko urodzone o czasie. Jest zupełnie na odwrót. Lekarze i położne – dzięki lekom, ale też odpowiedniemu sposobowi pielęgnacji – robią wszystko, by dziecko cierpiało jak najmniej.

Pokora

Noworodek, który waży około 1000 gramów, to wciąż bardzo małe dziecko, którego rokowania nie są znane w chwili przyjścia na świat. Jego życie jest zagrożone, stan określa się jako „ciężki". Jednak dziś udaje się uratować dzieci o wadze mniej niż pół kilograma.

– Jeśli dziecko rodzi się w 23. tygodniu ciąży i waży nie mniej niż 500 gramów, podejmujemy akcję ratunkową. Przy wadze mniejszej niż 500 gramów nie mamy szans, nie ma tak drobnego sprzętu – rurek intubacyjnych, cewników – mówi prof. Lauterbach.

Praca z najmłodszymi i najbardziej kruchymi pacjentami wymaga pokory. Opinia publiczna chwali lekarzy, kiedy udaje się uratować kilkusetgramowe życie, ale niestety także wini za niepowodzenia. Stan pacjenta na intensywnej terapii może się pogorszyć z minuty na minutę, wpływa na to wiele czynników, a lekarze – choć robią wszystko, co w ich mocy – pozostają bezsilni. Niektóre skrajne wcześniaki (urodzone przed 29. tygodniem ciąży) pozostają na oddziale wiele miesięcy, niekiedy nawet rok. Także takich pacjentów, tyle że już kilkuletnich, możemy zobaczyć w kampanii reklamowej „Żyję dzięki WOŚP".

© MAŁGORZATA NOCUŃ

ANNA

Dziewit-Meller: *Heheszki*

A DZIŚ POBAWMY SIĘ W PROROCTWA: o czym będziemy dyskutować w nadchodzącej przyszłości?

Wiadomo, że tematy takie jak nadciągająca katastrofa klimatyczna, niepewna przyszłość systemów emerytalnych albo #MeToo otwierające się w kolejnych środowiskach – czyli sprawy już mocno debatowane – na pewno będą się miały dobrze. Ale wydaje mi się, że w eterze powoli zaczynają krążyć nowe fluidy. Warto się im przyjrzeć. Mam wrażenie, że w 2020 r. zaczniemy kolejny raz inaczej mówić o świecie.

W „Le Figaro" (a potem u nas w formie przedruku w „Gazecie Wyborczej") ukazał się wywiad z Frédérikiem Beigbederem, *enfant terrible* francuskiej literatury. Pisarz w swojej nowej książce, która ukazała się niedawno we Francji, oskarża wszechobecną kulturę szyderstwa. W wywiadzie przeprowadzonym z okazji premiery zastanawia się: „Nadmierny śmiech utorował drogę demagogom? Mogę się mylić, ale widzę, że nieustanny fun i szyderstwo ukazały swoją jałowość w tych krajach. Kiedy spędza się życie na niszczeniu wszystkiego, to nie powinno się być zaskoczonym, gdy w końcu nastaje zagłada".

Kilka lat temu ukazała się w Polsce powieść napisana w latach 60. przez urodzonego w Kairze francuskiego pisarza Alberta Cossery. „Szyderstwo i przemoc" to rzecz o grupce dość malowniczych ludzi, ponad wszystko ceniących sobie właśnie kpinę, szyderę i ciągłe podważanie za ich pomocą pozycji autorytarnej władzy. Akcja powieści dzieje się w nieokreślonym arabskim mieście, którego władzę żartownisie chcą obalić – jak byśmy to dziś ujęli – poprzez bekę. Gdyby żyli w styczniu 2020 r., pewnie tworzyliby memy w sieci, wtedy jednak prowadzili akcję plakatowania miasta rządzonego przez znienawidzonego burmistrza, niemiłosiernie z niego kpiąc, budząc zrozumiałą nienawiść rządzących, ale także niechęć „tradycyjnej" opozycji, której mieszali szyki. Ich kpiny i szyderstwa nie prowadziły jednak – jak w uczciwej greckiej komedii – do żadnego *katharsis* (oczyszczenia) ani nawet *plerosis* (napełnienia), bo też były po prostu celem samym w sobie. Jeśli coś ich martwiło, to lęk o to, z kogo będą się śmiać, gdy obiekt ich kpin przegra walkę.

W mojej banieczce szyderczych graczy jest na pęczki. Albert Cossery gdyby żył, zdumiałby się pewnie, jak duch stworzonych przez niego prześmiewców spektakularnie rozwinął skrzydła. Gdy patrzę na spadkobierców szajki z powieści Cossery'ego, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wszyscy oni – koronowani przez samych siebie błaznowie – najbardziej boją się, by nikt nie dojrzał, że za nadużywanymi przez nich emotikonami „umieram ze śmiechu" znajdują się jakieś emocje: strach, lęk, ból, zazdrość, smutek. Ciągły rechot pozwala im dobrze się ukryć.

Beigbeder mówi: „żartownisie (...) nie zdają sobie sprawy ze szkód, jakie wyrządzają żywym ludziom, nie wspominając już nawet o zasadzie domniemania niewinności, którą nie przejmują się komicy ani portale społecznościowe. Nie będziemy wymagać etyki od nieokiełznanych komików. Podkreślam, wiem to dlatego, że sam to robiłem. Byłem szydzącą hieną, taką jak inni". Refleksja nad królewską pozycją szyderstwa jest konieczna – zdaje się mówić nawrócony szyderca Beigbeder. Faktycznie, może pora się zacząć orientować, że rządzą nami już nie królowie, ale królewscy błaznowie: Boris Johnson w Wielkiej Brytanii, Donald Trump w Stanach, Wołodymyr Zełenski na Ukrainie, wcześniej Beppe Grillo we Włoszech, Marjan Šarec w Słowenii. Pisarz podrzuca kolejne nazwiska i mówi: „To sami zawodowi komicy". Można umrzeć ze śmiechu.

Jeśli chcecie nad czymś podumać, podrzucę wam jeszcze sprawę zasygnalizowaną przez Jacka Dukaja, który od lat stara się opisywać „jutro". Gdy zatem mówi on w wywiadzie dla „Wyborczej": „Już nie wystarczy postępować zgodnie ze współczesnymi normami. Jeśli chcesz robić karierę także za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat, musisz już teraz żyć w sposób, który obroni się przed normami, jakie będą obowiązywać za te pięć, dziesięć, dwadzieścia lat" – odczuwam fizyczny lęk. Jak antycypować normy, których jeszcze nie ma? Jak wychowywać dzieci wedle zasad, które dopiero przyjdą, by nas ściśle obowiązywać? Jak nie stać się ofiarą przyszłej *cancel culture*?

W 1898 r. na konferencji w Nowym Jorku spotkali się najlepsi urbaniści, by debatować nad najbardziej palącym problemem ówczesnych metropolii: ilością końskiego łajna. Przewidywano bowiem, że w Nowym Jorku w 1930 r. nawóz sięgnie drugiego piętra domów, a w Wielkiej Brytanii w ciągu kilku dekad niemal każda ulica większego miasta będzie zasłana gnojem na grubość trzech metrów. Konferencja zakończyła się fiaskiem – nie znaleziono remedium na cuchnący problem. W obliczu sygnalizowanych przez Dukaja pytań czuję się jak owi zabawni nieszczęśnicy, wracający do domów przez zafajdane ulice z poczuciem całkowitej klęski. ©

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Jerzy Michał Wąsik
poeta

zmarł 20 grudnia 2019 r. w wieku 80 lat
i pochowany został na cmentarzu Rakowickim
Był częścią naszego „Tygodnikowego" świata

Niech spoczywa w pokoju

TYGODNIK POWSZECHNY

Poznaj Credo abp. Grzegorza Rysia

RABAT -30% KOD: TP29

Moc słowa - ~~39,90 zł~~ - **27,93 zł**

Moc wiary - ~~36,90 zł~~ - **25,83 zł**

Moc nadziei - ~~39,90 zł~~ - **27,93 zł**

wydawnictwo WAM

DEON.PL

ŻYCIE DUCHOWE

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAMÓWIENIA WYDAWNICTWOWAM.PL

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP29**
Przy zakupie od **75 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

REKLAMA

WIARA

IDŹ Z BOGIEM

Dlaczego coraz więcej osób decyduje się formalnie wystąpić z Kościoła katolickiego?

KAROL WILCZYŃSKI

Najpierw googlują, jak to zrobić skutecznie, żeby nie powtarzać procedury, która bywa niemiła. Piszą uzasadnienie swojej decyzji. Udają się do parafii, gdzie byli chrzczeni. Stamtąd biorą wypis z księgi chrztów i idą do obecnej parafii, gdzie składają akt apostazji, czyli świadomego, dobrowolnego i publicznego wyrzeczenia się kontaktu z Kościołem rzymskokatolickim.

Procedura apostazji przestała być w ostatnich miesiącach tematem tabu. Prosty test w Google Trends pokazuje, że zainteresowanie tematem wzrosło, gdy na apostazję zdecydowała się Małgorzata Jamroży, piosenkarka występująca pod pseudonimem Margaret. W 2018 r. temat pojawił się wśród youtuberów – największą popularnością cieszyło się wideo zamieszczone na profilu Hani Es. Duży ruch spowodowała też apostazja publicznie ogłoszona przez pisarza Jacka Dehnela oraz film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu".

Prawdopodobnie coraz więcej osób będzie decydowało się na oficjalne rozstanie z Kościołem katolickim.

Formalni i nieformalni

Jedyne dostępne dane dotyczące Kościoła w Polsce pochodzą z 2010 r. i mówią o 459 aktach apostazji w całym kraju. Niewielka liczba wynika m.in. z faktu, że apostazja w Polsce nie ma konkretnego wpływu na życie materialne – nie wiąże się ze zmniejszeniem podatków czy ograniczeniem opłat. Jest formalnością, która oznacza adnotację o akcie apostazji w księdze chrztu w parafii, a w praktyce – brak możliwości bycia rodzicem chrzestnym, pogrzebu czy ślubu katolickiego.

Dla osób, które nie praktykują katolicyzmu i są niechętnie nastawione do Kościoła, nie ma to jednak znaczenia. Gdy w mediach społecznościowych zapytałem, kto w ostatnich miesiącach dokonał apostazji lub rozważa jej dokonanie, w ciągu jednego dnia odezwały się dziesiątki osób – w większości nieznajomych. Wielu tłumaczyło, że ma – z różnych powodów – dosyć Kościoła rzymskokatolickiego i dokonaliby apostazji, ale nie wiedzą, czy to ma sens poza samą symboliką.

Są też tacy, którzy nie chcą „wzmacniać" instytucji Kościoła produkowaniem kolejnych dokumentów. Reporterka „Wyborczej" Katarzyna Surmiak-Domańska w tekście „Dlaczego nie dokonam apostazji", opublikowanym po emisji filmu Sekielskich, napisała: „Nie będę grała w ich grę, nie będę podporządkowywać się absurdalnym procedurom, nie będę rzucać katolickiej legitymacji, bo nigdy o nią nie zabiegałam".

Nie chcę, by mama cierpiała

Innym powodem rezygnacji z apostazji jest chęć ochrony rodziny. Karolina z zachodniej Polski zawiesiła „nieuchronną" decyzję o apostazji ze względu na mamę: „Mama jest katechetką. Bardzo angażuje się w życie parafii. Wiem, że formalna realizacja mojego odejścia z KK byłaby dla niej niewyobrażalnie trudna i przysporzyłaby jej wrogów. Nie chcę, by przeze mnie cierpiała".

Wiele osób, które kontaktowały się ze mną, prosiło o anonimowość. Nie chciały, by ich rodzina czy bliscy dowiedzieli się o ich apostazji za pośrednictwem „Tygodnika Powszechnego". Zdecydowana większość rozumie, że temat apostazji nie jest łatwy.

Jedna z rozmówczyń przyznała, że nie chce decydować się na apostazję ze względu na „potężne tabu" w rodzinie męża, który jest synem księdza. – Jego ojciec prowadzi podwójne życie. Czuję, że nie mam prawa ujawniać tego tabu. Mąż jako dziecko księdza nigdy nie przepracował tego i nigdy nikomu o tym nie powiedział. To tabu jest tak silne, że od lat zmusza kilkanaście osób do dotrzymywania tajemnicy – mówi, dodając gorzko: – Nie mam już nic wspólnego z Kościołem. Chcę odłączyć się od systemu, który po wielu latach zmagań uznałam za dotknięty wewnętrzną niemocą. Na razie muszę jednak poczekać.

Klaudia Leśniak, studentka SGH, która niedawno rozstała się z Kościołem, przyznaje: – Mama i siostra były zdruzgotane. Mówiły, że nie przemyślałam tego, że popełniłam wielki błąd. Padło wiele przykrych słów i prosiły, żebym to odkręciła. Mama zagroziła odcięciem funduszy na wyjazd na studia.

A tata poparł decyzję córki.

Zbyt niedojrzała na apostazję

Nieodpowiednie zachowanie księży czy osób pracujących w kancelariach parafialnych również jest czynnikiem powodującym, że ludzie rezygnują z apostazji. – Chcę być *fair* wobec siebie i społeczności wiernych. Pomysł dojrzewał kilka lat. Na wizytę u proboszcza szykowałam się jak na uprzejmą rozmowę dwójki dorosłych ludzi. Nie chciałam urazić w żaden ↦

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

sposób jego uczuć i chęci do spełnienia swojej powinności, jaką jest próba przekonania mnie do zmiany decyzji – mówi Julia z południa Polski.

– Start mieliśmy wymowny. Na moje „dzień dobry" odpowiedział: „No i co chcesz tym udowodnić, co?". Śmiejąc się i kręcąc głową, zaczął czytać moje papiery. Okazało się, że nie należę do jego parafii, tylko do parafii na krakowskim Salwatorze. Chyba odsyłał mnie z ulgą, ale nie miałam mu tego za złe. Dopiero potem zaczęły się schody – mówi Julia.

Po wyjaśnieniu, po co przyszła, Julia usłyszała, że ksiądz „dziś nic nie załatwi". – Powiedział, że on „takich jak ja to już zna" i że „nie da mi apostazji" – mówi.

Julia poprosiła o wyjaśnienia. Ksiądz stwierdził, że jest „zbyt niedojrzała" i że „nie będzie potem robił obchodów na cześć nagłego powrotu", gdy dziewczyna „zechce brać ślub czy chrzcić dzieci". Zakazał jej również pojawiać się w kancelarii przez dwa miesiące, „bo i tak nici z tego".

– Wyszłam wkurzona jak rzadko. Nie miał prawa mi tego zabronić, ale to zrobił – mówi Julia. – Po dwóch miesiącach ponownie się już nie pojawiłam. Nie dlatego, że zmieniły się moje poglądy. Po prostu nie chciałam przeżywać kolejnego zawodu.

Maja z małej wioski na Śląsku Opolskim: – Moja pierwsza próba dokonania apostazji zakończyła się fiaskiem. Poszłam do proboszcza, który powitał mnie miło, powiedział, że dawno mnie nie widział i takie tam. I choć zna mnie całe życie – dawał ślub moim rodzicom, chrzcił mnie – to gdy usłyszał, po co przyszłam, wyrzucił mnie z kościoła. Próbowałam jeszcze po niedzielnej mszy, wiedząc na pewno, że jest jeszcze na terenie kościoła, gdzie też trzyma wszystkie papiery z danymi. Powiedział wtedy, że nie ma czasu, bo jedzie na obiad do gosposi. Wsiadł w samochód i odjechał.

Dominikanin o. Maciej Biskup, który był proboszczem parafii św. Dominika w Szczecinie przez sześć lat, podkreśla, że przede wszystkim należy przychodzących wysłuchać. – W ciągu tych sześciu lat zgłosiły się cztery osoby. To nie były osoby nastoletnie, a ich decyzje w stosunku do Kościoła nie były powodowane wyłącznie emocjami – mówi dominikanin. – One wynikały z uczciwości intelektualnej, a w ich uzasadnieniu nie wyczuwałem jakiejś szczególnej wrogości do Kościoła. Próbowałem przyjaźnie porozmawiać, zrozumieć, a nie oceniać.

O. Biskup przestrzega, żeby nie traktować apostazji jako najgorszego zła: – Przecież Chrystus nie jest związany sakramentami, tak jak Kościół, i ma moc dotrzeć swoją łaską na peryferia niewiary. Nikt nigdy nie jest całkowicie wykluczony z Kościoła. Dotyczy to również tych, którzy sami się z niego odłączają, gdyż pozostają w modlitwie Kościoła, a ta – jak pokazuje struktura modlitwy powszechnej w Wielki Piątek – nie ma w sobie nic wykluczającego.

Wpisana do Księgi Miłości

Czasem księża próbują rozładować napięcie humorem. Jak wspomina Anna z Wielkopolski, ksiądz powitał ją żartem: „Poważnie, papierowa teczka, czy mam się bać?".

– Odpowiedziałam, że nie ma czego, po prostu chcę wystąpić z Kościoła. Okazało się, że jestem pierwszą apostatką w jego karierze. Nie wiedział, co się robi w takiej sytuacji – mówi Anna. – Pożegnaliśmy się, życząc sobie miłego wieczoru. Wyszłam bardzo zadowolona, że w końcu ogarnęłam tę sprawę. Moja mama śmieje się, że jestem pierwszą czarownicą w miejscowości. Ot, cały proces.

Ponad połowa moich rozmówców mówiła jednak, że nie spotkała się z szacunkiem w kancelariach parafialnych. Marek, który dokonał apostazji na północy Polski, stwierdził, że najgorsza była reakcja siostry zakonnej, która po usłyszeniu od proboszcza, w jakim celu ma poszukać odpowiednich dokumentów, przestała się odzywać, a nawet patrzeć na niego.

Anna: – Gdybym miała mniej samozaparcia, pewnie znowu odpuściłabym temat. Dane cały czas będą w Księdze Chrztu i mimo mojego wyraźnego stanowiska, że nie chcę być częścią Kościoła, to w jego rozumieniu nadal jestem katoliczką. Wprawdzie po ekskomunice, ale przecież chrzest jest niezbywalny, wobec czego należę i nie należę do wspólnoty jednocześnie. I to jest ta trudność, dla mnie zahaczająca o przemoc symboliczną.

Klaudia opisała mi, jak bardzo zmieszani byli księża, których spotkała. – Proboszcz z lekko obrażoną miną próbował wzbudzić we mnie poczucie winy. W końcu jednak dokonał odpowiedniego wpisu w księdze parafialnej. Potem bez pytania wyjął kolejną księgę. Zapytałam, do czego mnie wpisuje. Usłyszałam, że zostałam wpisana do Księgi Miłości. Do dziś nie wiem, co to za księga, ani jaki cel miał ten wpis – wspomina Klaudia.

Coś społeczno-empatycznego

Najczęstszym z powodów apostazji był brak wiary w to, co głosi Kościół rzymskokatolicki. Apostaci mówili też o hipokryzji ludzi Kościoła oraz o etycznej nieodpowiedzialności. Sporo osób wymienia również problemy z doktryną dotyczącą seksualności. Godne uwagi jest to, że większość osób – choć pochodziła z mało praktykujących rodzin – sama w dzieciństwie była w jakimś stopniu związana z Kościołem.

Marek: – Byłem ministrantem przez 15 lat, chciałem zostać księdzem. Pamiętam moment z dzieciństwa, że idąc do kościoła czułem się szczęśliwy jak nigdy. Wiedziałem, że mogę liczyć na księdza i na Boga. Że nie muszę się niczego bać.

Klaudia: – Spędzałam dosyć dużo czasu w kościołach. Należałam do chóru młodzieżowego, głównie śpiewaliśmy dawne pieśni religijne. Występowaliśmy w kościołach, często tworzyliśmy oprawę muzyczną na ślubach i pogrzebach.

POŻEGNANIE

Zawiadamiamy, że 5 stycznia 2020 r., w wieku 77 lat, odeszła do Pana

Ś.† P.

Maria Motylińska

Msza święta pogrzebowa została odprawiona 14 stycznia 2020 r.
o godz. 8.30 w kościele pw. św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach,
po czym nastąpiło odprowadzenie na cmentarz Powązki Stare.

Rodzina i Przyjaciele

Anna: – Pamiętam, że zawsze denerwowałam się przed spowiedzią. Było to dla mnie głęboko zawstydzające przeżycie. Najbardziej lubiłam roraty i drogę krzyżową. Na roratach wrzucaliśmy serduszka z dobrymi uczynkami do koszyka i ksiądz losował, do kogo na dobę ma trafić plastikowa maryjka. Raz nawet trafiła do mnie! To było wydarzenie. Na pewno na tym etapie poszukiwałam poczucia wspólnoty i akceptacji, jak każde dziecko.

Sylwia Płucisz, lektorka angielskiego: – Do komunii przygotowywała mnie fantastyczna młodziutka zakonnica, siostra Rozalia. Była tak dobra, że choć religia nie była częścią mojego życia, sama chciałam zostać zakonnicą. Z perspektywy widzę, że było to coś społeczno-empatycznego, bez wymiaru duchowego. Potem, z empatii właśnie, działałam w nieformalnej licealnej wspólnocie Brata Alberta, zbierałam dary, pracowałam ze starszymi czy dziećmi z domów dziecka. Po jakimś czasie zobaczyłam jednak, że księdzu, który prowadził naszą grupę, wcale nie zależy na pomaganiu, ale na karierze. Spotkanie z nim było jak kubeł zimnej wody.

Już się nie wstydzę

– Myślę, że apostazja pozwala na domknięcie pewnego etapu życia – tłumaczy Marek, który przez dłuższą część rozmowy opowiada o swoich metafizycznych lękach.

– Bardzo długo myślałem o obietnicy życia wiecznego, której się bałem. Była dla mnie źródłem utrapienia i lęku. Myśl o apostazji była oświeceniem. Zrozumiałem, jak bardzo daleko jestem od Kościoła – mówi. – Do tej pory katolicyzm zapewniał w moim mniemaniu i szczęście, i pozbycie się, a może raczej oswajanie lęków. Dawał poczucie stabilizacji.

Do czasu studiów Marek był tak głęboko zanurzony w Kościele, że nie wyobrażał sobie życia bez tego. Łączył katolicyzm z wrażliwością na drugiego człowieka, byciem dobrym.

Dziś uważa, że Kościół jest niewiarygodny i etycznie nieodpowiedzialny. – Nie muszę już przyjmować katolicyzmu jako jedynej prawdziwej formy wiary. Myślę, patrząc z dystansu, że ułuda ciągłości teologii katolickiej jest jej największym balastem. Choć teza o ciągłości jest niemożliwa do udowodnienia, to przecież w jej imię potępia się ludzi. To ona sprawia, że katolicyzm ze swojej natury jest wykluczający. Dziś nie wstydzę się już za problemy, które nie są moje – podsumowuje.

Ponad połowa rozmówców **nie spotkała się z szacunkiem w kancelariach parafialnych**, gdy próbowała dokonać aktu apostazji.

Anna jednym tchem wymienia całą litanię: – Największym problemem jest dla mnie podejście do ludzkiej seksualności i ciągłe wzbudzanie wstydu na tym polu. Poza tym zarządzanie grupą przez poczucie winy lub strach przed śmiercią, wykluczanie osób nieheteronormatywnych ze wspólnoty, promowanie stereotypowego podziału ról kulturowych, w tym sprowadzanie kobiety do funkcji czułej matki-opiekunki, brak miejsca na wątpliwości, oderwanie instytucji od realiów współczesnego życia, ograniczanie wolności osobistej, brak kobiet w hierarchii, obrzydliwy mariaż z polityką... Mogłabym tak długo, dziś przychodzi mi to z łatwością, choć nie zawsze tak było – przyznaje Anna.

Problem z liczbami

– Ani sekretariat Konferencji Episkopatu Polski, ani żadna inna instytucja, nie zbiera danych na temat apostazji – mówi „Tygodnikowi" rzecznik KEP. Ks. Paweł Rytel-Andrianik dodaje, że nie wiadomo, czy to zjawisko się nasila.

Na wzrost zainteresowania apostazją wskazał Robert Prochowicz, administrator strony apostazja.info, na której znajdują się dokładne informacje na temat procedur wystąpienia ze wspólnoty Kościoła katolickiego. „W weekend, po ukazaniu się filmu »Tylko nie mów nikomu«, liczba odwiedzin strony wzrosła ponad dziesięć razy. Kilka osób dziennie pyta o procedurę wystąpienia. Wcześniej, przed dokumentem Sekielskich, zgłaszała się jedna osoba tygodniowo" – mówił w rozmowie z portalem wp.pl.

Tomasz Terlikowski napisał: „zróbmy, jak Niemcy, podatek od wiernych. Wtedy to dopiero skoczy liczba apostazji".

W 2017 r. w Niemczech zarejestrowano ok. 160 tysięcy aktów apostazji, w Austrii z Kościoła rzymskokatolickiego wystąpiło ponad 50 tysięcy osób. W obu przypadkach apostatami zostają również imigranci z Polski, którzy chcą ograniczyć wydatki. Problemy pojawiają się, gdy chcą ochrzcić dziecko, przy ślubie lub pogrzebie. Wielu podejmuje wtedy próbę powrotu do Kościoła. Inni określają to jednoznacznie: hipokryzja.

– Nie mówię za cały Kościół. Znam dobrze tylko katolików w Polsce. I jest tak, że *they don't do what they preach* (nie robią tego, co głoszą) – mówi Sylwia, która na co dzień mieszka w Irlandii. – Ochrzczą dziecko, pójdą do komunii, i to by było na tyle. Przecież gdyby biskupi, księża i świeccy żyli tak, jak głosi papież Franciszek, to w Polsce mielibyśmy zupełnie inny Kościół.

O. Maciej Biskup: – Jak mówił św. Augustyn, wielu jest tych, którzy myślą, że są wewnątrz, a są na zewnątrz. I wielu jest tych, którzy są na zewnątrz, a są w środku.

Apostazja budzi lęk

Samo pojęcie apostazji budzi niechęć i lęk. Starszym katolikom „apostata" kojarzyć się będzie nie z Margaret czy Jackiem Dehnelem, ale przede wszystkim z antyklerykałami, takimi jak Janusz Palikot.

Michał z Łodzi po kontakcie ze mną zadzwonił do swojej babci. – Powiedziała, że oczywiście apostazja jest moją decyzją, ale uważa, że jest ona niemądra. Podała formalne powody: bo ewentualny ślub, pogrzeb itp. Najbardziej boi się, że jeśli zdecyduję się na dziecko i go nie ochrzczę, będzie z tego powodu prześladowane w szkole. „I potem będzie trzeba do psychologa chodzić".

Gdy odpowiedział, że wiele osób już nie chrzci dzieci i nie jest to stygmatyzujące, babcia zasugerowała, że może będzie tak w przyszłości. – „Teraz tak jeszcze nie jest", stwierdziła. I powiedziała, że pewnie kiedyś w coś uwierzę, bo przecież „coś nie mogło powstać z niczego" – mówi Michał.

Klaudia, odchodząc z Kościoła, otrzymała ostrzeżenie od taty. Mimo że poparł jej decyzję, podkreślił, by uważała, ponieważ wiele osób słysząc o apostatach myśli od razu o „członkach jakiejś sekty". – Nie mylił się – mówi Klaudia. – Rzeczywiście usłyszałam takie stwierdzenie kilka razy!

Lęk przed apostazją mogą rodzić również skojarzenia, które pojawiają się ↦

↦ w wypowiedziach hierarchów. W ubiegłym roku ostrzegali przed nią bp Andrzej Czaja i abp Stanisław Gądecki. „Polsce zagraża cicha, milcząca apostazja” – mówił w marcu 2019 r. w wywiadzie dla KAI bp Czaja (z takim nagłówkiem rozmowę przedrukowało wiele polskich mediów). Abp Gądecki: „Obecnie potęguje się zmaganie światła z siłami ciemności (...). Ostatnio kard. Sarah wyraża przekonanie, że kryzys dotknął nawet urząd nauczycielski Kościoła. W nauczaniu pasterzy, biskupów, prezbiterów króluje istna kakofonia, nauki wydają się sobie przeczyć, każdy narzuca swoją własną opinię jako pewnik, a wynikiem tego jest zamęt, dwuznaczność i apostazja” (listopad 2019 r.). Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski zaznaczył jednocześnie, że nie chodzi mu o „sianie paniki”.

Marek: – Dziś nadal boję się tego, co będzie dalej, ale moja duchowość jest zupełnie inna. Kontempluję świat, ćwiczę jogę i medytuję. Nie brakuje mi katolicyzmu, choć czasem z sentymentem wspominam to, co zostawiłem. Ale to dzięki apostazji szukam Boga, a nie patrzę na to, czy przekraczam dogmat. To bardzo uwalnia. Dziś rozumiem, że religia to pewien stosunek do całości wszechświata. Myślę, że każdy z nas przyjmuje w pewnym sensie postawę religijną, nawet jeśli naszym rytuałem jest czytanie poezji czy literatury.

– Nigdy nie zachęcałbym do apostazji, ale do zluzowania toksycznej relacji z instytucją jak najbardziej. Mam na myśli na przykład wypisanie dzieci z katechezy, która w wielu przypadkach może odwodzić od rozwoju duchowego – twierdzi o. Maciej Biskup.

Były szczeciński proboszcz przywołuje również słowa Czesława Miłosza o tych, którzy „chodzą do kościoła, by ich nikt nie oskarżył o bezbożnictwo”: – Jeśli ktoś mówi mi, że chce odejść, to nie należy go zatrzymywać. Tego wymaga szacunek dla jego sumienia. Oczywiście, można też z własnych wątpliwości czy niechęci do Kościoła uczynić dogmat. Wtedy należy pomóc. © KAROL WILCZYŃSKI

Dziękuję Joli Szymańskiej za udostępnienie mojej prośby o kontakt z osobami rozważającymi apostazję.

Autor jest dziennikarzem, należy do katolickiej wspólnoty Hanna. Współtwórca islamistablog.pl.

Zamiast kapitalizmu

LUIGINO BRUNI, EKONOMISTA:

Franciszek nie mówi: „odsuńcie się, jestem papieżem, wiem, co zrobić z gospodarką”. Jego pomysł polega raczej na słuchaniu tych wszystkich, których głos był w ekonomii lekceważony.

RAFAŁ WOŚ: Papieża Franciszka przedstawia się często jako rewolucjonistę. Czy faktycznie proponuje światu coś nowego na polu ekonomicznym? Czy to tylko taki slogan?

LUIGINO BRUNI: Wydaje mi się, że proponuje.

Jak rozumiem: to, że w swojej nauce społecznej papież nie stoi na stanowisku „żeby było tak, jak było”, to już jest coś. Pytanie jednak: co dalej? Czy Franciszek powiada, że system kapitalistyczny działa dobrze, tylko należy go na powrót naoliwić smarem etyki? Czy mówi raczej o zastąpieniu obecnego systemu czymś innym i nowym? Jest reformistą czy rewolucjonistą?

Współczesny kapitalizm to nie jest sprawna maszyna, w której zwyczajnie zabrakło smaru i zaczęła się zacierać. W tym sensie ta pierwsza droga – dodanie etyki do tego, co mamy teraz – nie wydaje mi się realnym podejściem. Oczywiście Franciszek postuluje powrót do rozmowy o gospodarce w kategoriach etycznych. Ale jest chyba oczywiste, że gdyby taka zmiana nastąpiła, to etyka musiałaby wrócić do różnych gałęzi gospodarki: do finansów, do produkcji, do konsumpcji, do relacji pracowniczych. A wtedy kapitalizm przestałby być tym kapitalizmem, który znamy dziś. Nastąpiłaby faktyczna zmiana w myśleniu ekonomicznym.

Dlaczego więc oficjalnie tak rzadko używacie w ogóle pojęcia „kapitalizm”? Gdy jakiś czas temu prezentowaliście w Warszawie inicjatywę „Ekonomia Papieża Franciszka”, słowo „kapitalizm” nie padło ani razu. Kiedy zapytałem o to prezentującą Waszą inicjatywę siostrę Alessandrę Smerilli, ekonomistkę z Papieskiej Komisji Państwa Watykańskiego (instytucji pełniącej funkcję władzy ustawodawczej w Watykanie), odpowiedziała z rozbrajającą szczerością: że nie chcecie odstraszać tych, którzy wciąż wierzą w kapitalizm.

Rozpoczynanie rozmowy o kryzysie kapitalizmu na zbyt ogólnym poziomie nie jest moim zdaniem bardzo dobrym rozwiązaniem. Wikła nas bowiem w spory teoretyczne i odsuwa od praktyki. Czyli od tego, o czym chcemy rozmawiać w ramach naszej inicjatywy z młodymi przedsiębiorcami, aktywistami i ekonomistami.

Ale jak rozmawiać o potrzebie zmiany kapitalizmu, bojąc się krytykowania kapitalizmu? To nie przypomina trochę jedzenia zupy widelcem?

My uważamy, że rozmowę o nowej ekonomii trzeba zacząć od dołu. Czyli od pytania o etykę ekonomii.

Co to jest etyka ekonomii?

Etyka nie jest żadnym abstrakcyjnym wzorem postępowania. To ludzkie zachowania i preferencje. To one sprawiają, że kapitalizm jest taki, jaki jest. Tu widać wielkie pole do zmiany. Na przykład ekologia jeszcze niedawno była tematem pobocznym, niszowym. Teraz jest w centrum zainteresowania ludzi. Zwłaszcza młodych. To oznacza, że zmieniają się ich preferencje. Te preferencje, wchodząc w spór z kapitalistycznym systemem produkcji „byle taniej i byle więcej”, mają szansę realnie zmienić kapitalizm.

Ale kapitalizm to nie tylko ludzkie preferencje i postawy. To także nieubłagana logika systemu. To producenci mówiący: „Ja bym chętnie produkował czyściej albo płacił

BARRY LEWIS / CORBIS / GETTY IMAGES

Grand Boulevard w Detroit, 2014 r.

ludziom lepiej, ale nie mogę. Bo jak to zrobię, to mój produkt będzie droższy. I wypadnę z rynku. A moje miejsce zajmą tacy, co nie mają podobnych etycznych skrupułów". Tak kapitalizm zamyka jednostki w pułapce, ograniczając ich faktyczną wolność wyboru.

Faktycznie do zmiany nie wystarczy przekonać ludzi. Trzeba jeszcze zmienić sposób działania instytucji. Papież Franciszek robi to przy pomocy tych środków, które posiada. Nie ma mocy uchwalania praw gospodarczych w świeckich państwach ani zmieniania postanowień zgromadzeń akcjonariuszy dużych korporacji. Ale może próbować wzmacniać te argumenty debaty publicznej, na których mu zależy. To dlatego od kilku lat papież tak wiele mówi o środowisku naturalnym. Dlatego pisze tak wiele o złu płynącym z nierówności ekonomicznych.

Proszę się nie gniewać, ale w jaki sposób Franciszek chce uniknąć roli sympatycznego starszego pana, który mówi bardzo słuszne rzeczy i pisze mądre listy, ale niewiele z tego wynika? Koncerny jak działały, tak działają wedle żelaznej logiki maksymalizacji zysku, a degradacja przyrody jest traktowana jako koszt zewnętrzny działalności gospodarczej. Przykry, lecz konieczny.

Oczywiście, że ma pan rację. Chyba nie sądzi pan, że Franciszek uważa, iż jego listy mają moc zmiany postaw w świecie finansów albo produkcji. Nawet gdyby jeden procent gospodarczych decydentów brał pod uwagę to, co mówią przywódcy religijni, to i tak pozostałe 99 proc. będzie się kierować czystą logiką zysku.

No to na co liczycie?

Na zmianę, która przyjdzie od ludzi. Chcemy tej zmianie towarzyszyć. Nagłaśniać jej potrzebę. Franciszek nie mówi: „odsuńcie się, jestem papieżem, wiem, co zrobić z gospodarką". Jego pomysł polega raczej na słuchaniu tych wszystkich, których głos był lekceważony. Również w ekonomii. To perspektywa krajów tzw. Globalnego Południa, biednych, a ostatnio również obrońców środowiska naturalnego. To jest ekonomia Franciszka w praktyce. Ten ostatni temat wydaje się najbardziej perspektywiczny.

Dlaczego?

Temat dotyka każdego. Ma większą siłę niż nierówności.

Przykro to słyszeć, że ekologia musi być ważniejsza od nierówności.

Mówię tylko o percepcji. Nie o hierarchii ważności spraw.

A jakie miejsce w ekonomii Franciszka zajmuje bogactwo? Kiedyś sprawa zdawała się prosta: „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego". A teraz?

Z bogactwem jest w chrześcijaństwie spory problem. To chyba oczywiste dla każdego. Już nawet samo słowo „bogactwo" niesie ze sobą kłopot. Wielu powie przecież: „Ja bogaty? Przecież to mnie nie dotyczy!". Ale zastąpmy „bogactwo" pojęciem „dobrobytu", by ten problem bardziej unaocznić.

Gdyby papież – albo którykolwiek inny przywódca religijny – domagał się od wiernych radykalnego wyrzeczenia się dobrobytu, ryzykowałby kompletną marginalizacją. Zyski byłyby mniejsze od strat. Franciszek podchodzi do tego inaczej. Sednem jego nauczania jest relacja bogactwa do biedy. Czyli, mówiąc językiem ekonomicznym, dystrybucja zasobów ekonomicznych. Wtedy widzimy dwa problemy współczesnego kapitalizmu. Dojmujący niedostatek bogactwa u jednych i nadmiar bogactwa u innych.

Czyli wracamy do tematu nierówności majątkowych. Co z nimi robić? Czy Franciszek jest za wyższymi podatkami?

↦

W szczegółach oczywiście się tym nie zajmuje, bo nie jest decydentem ekonomicznym.

No ale przecież przed chwilą ustaliliśmy, że jako przywódca Kościoła może swoim autorytetem wspierać jedne inicjatywy ponad inne.

Co do zasady argumentacja głosząca potrzebę mocniejszego proporcjonalnego opodatkowania bogactwa wydaje się zgodna z nauczaniem Franciszka.

Znając jego pochodzenie i historię, nie jest tajemnicą, że ekonomiczna krytyka polityk neoliberalnych – w tym niskiego opodatkowania najbogatszych – jest w zgodzie z jego światopoglądem.

A takie pomysły jak bezwarunkowy dochód podstawowy? Wielu widzi w tym rozwiązaniu szansę na zahamowanie nierówności i godne warunki życia dla najsłabszych pracowników.

Szczerze mówiąc, nie znam wypowiedzi Franciszka na ten temat. Możemy tylko spekulować. Wydaje mi się, że może się tu pojawić problem.

Dlaczego?

Gdyby ten mechanizm zaczął rozwijać się w kierunku zjawiska rentierstwa powszechnego.

Czy Franciszek ma coś przeciwko rencie powszechnej?

SYBRIG ANDRINGA / LUMSA

LUIGINO BRUNI jest włoskim ekonomistą z Uniwersytetu Bicocca w Mediolanie, autorem wielu publikacji na temat wpływu wewnętrznych motywacji człowieka na procesy ekonomiczne. Dyrektor naukowy inicjatywy „Ekonomia Papieża Franciszka".

Nie chodzi o konkretne pisma obecnego papieża, bo takich nie ma. Raczej o napięcie między „zyskiem" a „rentą" znane od czasu powstania tzw. społecznej nauki Kościoła.

Przypomnijmy, że mowa o encyklice Leona XIII „Rerum novarum" z 1891 r., która była przełomem w myśleniu Kościoła katolickiego o ekonomii. Chodziło o to, by nie oddać całego pola do krytykowania kapitalizmu rosnącemu w siłę marksizmowi.

Kościół zawsze krytykował kapitalizm trochę inaczej niż socjaliści czy komuniści. Oni skupiali się na zysku, w którym widzieli źródło dysfunkcjonalności systemu kapitalistycznego. Społeczna nauka Kościoła stawiała problem renty.

Renty, czyli dochodu osiąganego nie z pracy, tylko z kapitału.

Renta jest problemem, bo polega na wykorzystaniu swojej pozycji z przeszłości do tego, żeby czerpać zyski dziś. Ale bez świadczenia bieżącej pracy. Rentierstwo zawsze będzie się wiązało ze społecznym konserwatyzmem. Z niechęcią do innej dystrybucji bogactwa niż ta, która jest dla nas korzystna. Nadmierna rola rentierstwa zaciemnia również istotę problemu wyzysku.

W jakim sensie?

Klasyczni marksiści widzą oś sporu i wyzysku pomiędzy pracownikiem a pracodawcą. Jeden pracuje, drugi wyzyskuje. Tymczasem w tym układzie nie widać problemu wyzysku pracodawców – przedsiębiorców – przez podmioty żyjące z renty – różnego typu fundusze, działające często w skali międzynarodowej. W tym modelu pracownicy i ogromna część pracodawców jedzie na tym samym wózku. Ma podobne problemy.

Istnieje wiele nurtów we współczesnej ekonomii, które zwracają na to uwagę.

Przecież mówiłem panu, że ekonomia Franciszka nie jest anachronicznym banałem.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Ekonomia Franciszka w Asyżu

PANUJE PRZEKONANIE, że papieże nie znają się na ekonomii. A skoro tak, to nie powinni się do niej w ogóle mieszać. Zgodnie z takim rozumowaniem szczytem gospodarczego wymiaru nauki Kościoła są tzw. encykliki społeczne. Zazwyczaj pozostają jednak na uboczu papieskiej działalności. Może poza kilkoma wyjątkami w rodzaju choćby „Rerum novarum" (1891) Leona XIII. Dobrze to widać na przykładzie Jana Pawła II, którego ważne encykliki społeczne „Laborem exercens" (1981) czy „Centesimus annus" (1991) nie zdołały się przebić do szerszej społecznej świadomości.

Kryzys 2008 roku wiele jednak zmienił. Przypomniał bogatym krajom kapitalistycznym, że nie są impregnowane na takie zjawiska ekonomiczne jak kryzys, bezrobocie czy nierówności. Od tamtej pory ekonomia powróciła do polityki. Było tylko kwestią czasu, zanim wróci do nauki Kościoła. Wybór na papieża Jorgego Bergoglia przyspieszył ten proces.

Inicjatywa „Ekonomia Papieża Franciszka" jest najnowszym pomysłem na praktyczną realizację tego zadania. Chodzi o wyjście poza retorykę mocno teoretycznych i filozoficznych encyklik jak „Laudato si" (2015).

Koncept polega na tym, by pod koniec marca w Asyżu na zaproszenie papieża spotkali się młodzi ekonomiści, przedsiębiorcy i aktywiści społeczni. Miasto św. Franciszka wybrano oczywiście nieprzypadkowo. Symbolizuje ono przecież w chrześcijańskiej tradycji ducha braterstwa i humanizmu. Właśnie w Asyżu mają się odbyć dyskusje oraz warsztaty na temat nowej ekonomii. Ta ekonomia powinna z jednej strony wyjść naprzeciw zagrożeniom i wyzwaniom XXI wieku – głównie kryzysowi klimatycznemu oraz rosnącym nierównościom społecznym. Z drugiej zaś będzie utrzymana w duchu społecznej nauki Kościoła katolickiego. W ubiegłorocznym liście przewodnim wysłanym do uczestników spotkania Franciszek zapowiedział w nim swój udział. List był datowany na 1 maja, czyli dzień międzynarodowego święta pracy, gdy Kościół katolicki czci św. Józefa, patrona robotników.

©℗ RAFAŁ WOŚ

KIERAN DODDS / PANOS PICTURES / FORUM

Korony drzew chronią modlitwy

DOROTA BIDZIŃSKA

W Etiopii ekolodzy i duchowni połączyli siły. Stawką jest przetrwanie tutejszych lasów, unikatowych w skali świata ekosystemów.

Jeśli wybrać ten największy, to w Białowieskim Parku Narodowym zmieściłoby się ich sto. Jeśli najmniejszy – 10 tysięcy. Z amazońskimi lasami deszczowymi nawet nie ma co ich porównywać – jeden etiopski las to, w zależności od rozmiaru, jedna 2-milionowa lub nawet jedna 200-milionowa powierzchni zielonych płuc Ziemi.

A jednak – jak opowiada „Tygodnikowi Powszechnemu" Meg Lowman – kiedy w ciemnej sali wyświetla je na ekranie, widziane z lotu ptaka na satelitarnych zdjęciach, zgromadzeni mężczyźni są pod wrażeniem. Drobne plamy bujnej, intensywnej zieleni wybijają się na tle brunatno-szarego, jałowego krajobrazu. Mój las – mógłby pomyśleć z dumą każdy z nich. Bo gdyby nie oni, prawdopodobnie tych skrawków zieleni już dawno by nie było. Jeszcze sto lat temu 45 proc. powierzchni Etiopii porastały gęste lasy. Dziś zostało zaledwie 5 proc.

Obszar Gonder Południowy w północno-zachodnim regionie Amhara to jedno z tych miejsc, które od lat przykuwa uwagę organizacji międzynarodowych i instytucji działających na rzecz rozwoju. Gęsto zaludniony, z rosnącą populacją. Tylko czterech na stu mieszkańców ma dostęp do prądu. Większość mieszka na wsi, utrzymuje się z rolnictwa. W kraju, który jeszcze kilka dekad temu zmagał się ze straszliwą plagą głodu, presja jest ogromna. To dlatego w Gonderze Południowym, tak jak w całej Etiopii, lasy znikają w zastraszającym tempie. Zastępują je pola i pastwiska. Im więcej ziemi oddanej pod uprawę, tym mniejsze ryzyko, że zabraknie jedzenia. Ale w tym podejściu kryje się pułapka.

– Etiopia przeżywa dziś prawdziwy boom ekonomiczny – opowiada Kieran Dodds, fotograf, autor fotoreportażu o tamtejszych lasach. – Z doświadczenia jednak wiem, że rozwój przemysłowy często wiąże się z ogromnymi kosztami środowiskowymi. Trochę czasu spędziłem w Chinach, gdzie dokumentowałem wpływ industrializacji na delikatne góry Tybetu. W Etiopii spodziewałem się czegoś podobnego.

Według raportu Banku Światowego z 2004 r., zawierającego charakterystykę etiopskich regionów, wylesianie dużych obszarów powoduje szybszą erozję gleby i większe zagrożenie suszą. ↦

↦ Deszcze, jeśli się pojawią, nie tyle nawadniają pola, co wypłukują ziemię. Skutek? Coraz trudniejsze warunki życia dla rolników, hodowców bydła i ich rodzin.

Zielona szata

Alemayehu Wassie dobrze pamięta to uczucie, kiedy jako dziecko wędrował po suchych, piaszczystych drogach i nagle wstępował do innego, lepszego świata. Las witał go łagodnym cieniem, wilgotnym powietrzem, bogactwem zapachów, szumem drzew i śpiewem ptaków. Po kilku minutach marszu osiągał cel swojej wędrówki – okrągły budynek kościoła z tajemniczymi, barwnymi malowidłami na ścianach. Już jednak sam spacer wśród wiekowych drzew wprawiał go w podniosły, religijny nastrój.

Jeśli spojrzeć na etiopskie lasy z góry, da się zauważyć w centrum każdego wyraźny, jasny punkt – to kopuła świątyni Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego (Tewahedo), dominującej religii Etiopii (w całym kraju wyznaje ją 43,5 proc. obywateli, w Gonderze Południowym – 95,5 proc.).

Według tradycyjnych przekazów chrześcijaństwo przybyło do Etiopii w IV wieku, razem z Syryjczykiem Frumencjuszem, zwanym później Aba Salama – Ojcem Pokoju. Statek, którym podróżował, rozbił się u wybrzeży ówczesnego Królestwa Aksum, na terenie dzisiejszej Etiopii. Ocalali pasażerowie trafili do niewoli. W tym i Frumencjusz, który przekonał władcę Aksum, króla Ezanę, do przyjęcia nowej wiary.

Kościół etiopski, podobnie jak koptyjski czy ormiański, oderwał się od Rzymu w 451 r., nie przyjmując postanowień Soboru Chalcedońskiego. Przetrwał okres dominacji islamu w XV i XVI wieku oraz czasy silnych wpływów katolicyzmu w wieku kolejnym. Zachował swoją specyfikę: język liturgiczny (*gyyz*), odrębny kalendarz, własny kanon Pisma Świętego, obrzędy i tradycje.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego jest kult, jakim otacza się Arkę Przymierza. Etiopscy chrześcijanie wierzą, że za sprawą biblijnej królowej Saby Arka znalazła się na terenie ich kraju i do dziś przechowywana jest z ogromną czcią w jednym z kościołów. W pozostałych, w centralnej części, w specjalnym pomieszczeniu wzorowanym na Świętym Świętych z jerozolimskiej świątyni, znajduje się replika tablic z przykazaniami – *tabot*.

Las jest szatą kościoła
– mówią miejscowi – otula go, ochrania i zdobi.
To strefa na styku sacrum i profanum.

Las jest szatą kościoła – mówią miejscowi – otula go, ochrania i zdobi. Mówi się też, że gęste korony drzew chronią wypowiadane modlitwy. Gdyby nie one, słowa uleciałyby z wiatrem.

– To strefa na styku *sacrum* i *profanum* – tłumaczy prof. Elżbieta Przybył-Sadowska, religioznawczyni z Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalistka w zakresie historii Kościołów chrześcijańskich. – Dlatego nabiera cech przestrzeni sakralnej. Proszę zobaczyć – pokazuje zdjęcie słynnego kościoła Świętej Marii z Syjonu w Aksum. To tu według etiopskich wierzeń znajduje się Arka Przymierza. Prosta kamienna bryła zlokalizowana jest na płaskiej polanie, otoczonej nielicznymi drzewami. – To najważniejsza świątynia w Kościele Etiopskim, a przecież nie otacza jej „szata" z gęstego lasu. Wydaje się więc, że interpretacja lasu jako uświęconej strefy chroniącej *tabot* jest wtórna.

Głos sumienia

Alemayehu Wassie od dziecka kochał przyrodę. Co do jednego więc nie było wątpliwości: po szkole zdecydował się na studia biologiczne. To właśnie wtedy, obok piękna i różnorodności rodzimych lasów, zaczął zauważać, jak szybko się kurczą i znikają. Nie wszystkie widziane z lotu ptaka wyglądają tak samo imponująco. Obok bujnej zieleni otaczającej kopułę kościoła grubym pierścieniem są też miejsca mocno przerzedzone, z malutkimi skupiskami drzew i rozległymi łysinami polan. Wassie przemierzał je, badając lokalną florę i faunę. Opisywał endemiczne gatunki, liczył zawartość ziaren w glebie, sprawdzał żywotność sadzonek młodych drzew. Coraz mocniej czuł, że lasy nie poradzą sobie same i że w pojedynkę niewiele może zrobić dla poprawy ich losu.

Największym problemem etiopskich lasów są ich niewielkie powierzchnie – twierdzi w artykule „Human disturbance impacts the integrity of sacred church forests, Ethiopia" Catherine L. Cardelús, ekolożka z Colgate University w Hamilton (USA). Im mniejszy las, tym większą procentowo część stanowi jego strefa brzegowa, najbardziej narażona na zniszczenia. Dodatkowo w ich otoczeniu brakuje sfer buforowych: pojedynczych drzew, krzaków, zarośli. Gwałtowne wiatry, ulewy i susze uderzają bezpośrednio w las, niszcząc jego obrzeża. Obok zagrożeń naturalnych są też te powodowane przez człowieka. Pasące się w okolicy bydło nieraz zbacza w kierunku soczystych sadzonek młodych drzewek, a pasterze przymykają na to oko. Zdarza się też, że mimo zakazów ktoś uda się do lasu w poszukiwaniu cennego drewna.

Drugim zagrożeniem są plantacje eukaliptusów. Sprowadzane z Australii drzewa rosną dużo szybciej od rodzimych gatunków, rozwiązują więc problem zapotrzebowania na opał i materiał budowlany. Ale jest też druga strona medalu: inwazyjny gatunek coraz bardziej panoszy się w etiopskim krajobrazie. Lokalne drzewa nie wytrzymują konkurencji, znikają, a wraz z nimi zależne od nich zwierzęta. Strata jednego gatunku to zachwianie równowagi całego ekosystemu.

W 2007 r. Alemayehu Wassie ukończył doktorat. W tym samym roku pojechał na międzynarodową konferencję do Meksyku, gdzie opowiadał o swoich badaniach nad bioróżnorodnością etiopskich lasów i o ich alarmującym stanie. Wśród słuchaczy była Meg Lowman z Californian Academy of Science.

– Zdawał się bardzo przygnębiony tym, że nikt poza nim nie przejmuje się ochroną tych obszarów – wspomina. – Zrobiłam w głowie szybki rachunek sumienia i postanowiłam, że do niego dołączę. Wesprę go w tych działaniach. Dziś postrzegam to wydarzenie jako mój prywatny moment olśnienia.

Meg Lowman zajęła się przecieraniem szlaków na świecie. Szukała fundatorów, stypendiów i wsparcia instytucji naukowych. Alemayehu Wassie otwierał drogi dojścia na miejscu. Rozmawiał z duchownymi etiopskimi, prosił ich, by wpuścili do swoich lasów zespoły ekologów, zapraszał na warsztaty, które organizowali wspólnie z Lowman.

– Zawsze zaczynamy od prezentacji zdjęć satelitarnych – tłumaczy biolożka.

– Widok lasów z lotu ptaka działa na wyobraźnię – potwierdza Kieran Dodds.

Zanim pojechał do Etiopii realizować swój fotograficzny projekt, studiował opracowania naukowe, w których natknął się na zdjęcia z Google Earth. – Od momentu, kiedy zobaczyłem ten archipelag zielonych wysp na morzu terenów rolniczych, wiedziałem, że podobne zdjęcia, tylko lepszej jakości, muszą być włączone do mojego projektu.

Użył dronów, co podniosło koszty przedsięwzięcia i wymagało specjalnych pozwoleń. Dodd musiał uważać na drapieżne ptaki, które atakowały drogocenny sprzęt, myląc latające maszyny z gołębiami. Ale – jak mówi – efekt wart był tych wszystkich wysiłków.

Tymczasem na warsztatach uwaga duchownych nie ogranicza się tylko do podziwiania zdjęć.

– Wygłaszam krótki wykład, w którym mówię między innymi o tym, jak las wpływa na jakość gleb, klimat i gospodarkę wodną – opowiada Lowman. – Alemayehu tłumaczy moje słowa na amharski. Zgromadzeni na warsztatach duchowni wpatrują się we mnie uważnie. Nie wiem, czy z powodu moich słów, czy dlatego, że jestem jedyną kobietą na sali i jedyną białą osobą.

Potem wspólnie, w dyskusji, szukają rozwiązań, które pomogą chronić poszczególne lasy. Okazuje się, że najlepsze są te najprostsze.

Kamienie i książka

Przykościelne lasy są miejscem modlitwy, celebracji świąt i pochówku zmarłych.

– Las staje się jak gdyby częścią kościelnego budynku, jest częścią świętej przestrzeni – mówi Kieran Dodds, któremu udało się sfotografować m.in. ceremonię chrztu pod koronami drzew.

Ale lokalne społeczności czerpią z lasów też bardzo konkretne korzyści: drewno wykorzystywane jest do budowy kościelnych budynków, owoce i zioła są pożywieniem, wiele wspólnot zbiera i sprzedaje miód leśnych pszczół, a naturalne barwniki pozyskiwane z różnych roślin i minerałów zdobią ściany świątyń gęsto pokryte malowidłami. W każdej ze społeczności obowiązuje zbiór zasad regulujących korzystanie z zasobów lasu w umiarkowany sposób, tak by człowiek mógł czerpać zyski, nie naruszając równowagi leśnego środowiska.

Jednak wraz z rosnącą populacją i coraz większym zapotrzebowaniem na drewno, pokarm dla ludzi i hodowlanych zwierząt – coraz trudniej było kontrolować korzystanie z bogactwa lasu.

– Przed naszymi warsztatami wielu duchownych czuło rozczarowanie, że z powodu naturalnych zniszczeń i dewastacji przez bydło tracą cenne lasy. Wydawało im się, że niewiele mogą z tym zrobić – mówi Lowman. – Teraz, uzbrojeni w wiedzę, przyjęli rolę liderów, a ich społeczności mocno ich w tym wspierają.

O wsparciu, bardziej niż słowa, świadczą czyny – udokumentowane na zdjęciach i filmach na stronie internetowej założonej przez Lowman i Wassiego „Tree Foundation". Mieszkańcy okolicznych wiosek wykopują na swoich polach duże kamienie, chwytają je w obie ręce lub przytraczają do grzbietów osłów. Mozolnie przenoszą na brzeg przykościelnych lasów. Tam układają je jeden na drugim, tworząc niski murek otaczający bujną zieleń. Myśl, żeby stworzyć fizyczną barierę odgradzającą las, okazała się genialna w swej prostocie. To wystarczająca bariera, żeby powstrzymać krowy przed wyjadaniem poszycia. Ludzie też wchodzą teraz do lasu w wyznaczonych miejscach, chodzą wytyczonymi ścieżkami i nie depczą delikatnych młodych sadzonek. Kamienna zapora chroni przed wiatrem i wypłukiwaniem gleby w czasie ulewnych deszczy. W wilgotnych zakamarkach między głazami znajdują schronienie liczne żaby, jaszczurki i węże – podstawa wyżywienia większości tutejszych drapieżników.

Druga strategia ochrony to edukacja najmłodszych: – Napisałam książkę dla dzieci – opowiada Meg Lowman. „Beza Who Saved the Forests of Ethiopia, One Church at a Time" to opowieść o etiopskiej dziewczynce, która wraz ze swoją rodziną i sąsiadami włącza się w ochronę lasu otaczającego jej parafię. Książkę po angielsku można kupić na Amazonie, a każdy sprzedany egzemplarz pokrywa koszty wydruku wersji w języku amharskim. Te rozdawane są za darmo w etiopskich wioskach.

– Dla wielu dzieci to pierwsza książka, którą mają na własność. Jest dla nich bardzo cenna – mówi Lowman.

Pieśń stworzenia

W ekologicznej encyklice „Laudato si" papież Franciszek przypomniał postać św. Franciszka z Asyżu, który „żądał, aby w klasztorze zawsze zostawiano część ogrodu nieuprawianą, aby rosły w niej dzikie zioła, tak aby ci, którzy je podziwiają, mogli wznieść myśl do Boga, twórcy tak wielkiego piękna".

Na całym świecie żyje 2,2 mld chrześcijan, to jedna trzecia światowej populacji. Być może gdyby każdy z nich, motywowany troską o stworzenie i miłością do Stwórcy, zaangażował się w ochronę naturalnego środowiska, udałoby się ochronić nie tylko etiopskie lasy, ale też inne obszary, cenne ze względu na swą bioróżnorodność? Tylko czy ta „troska o wspólny dom", o której mówi i Franciszek, i prawosławny patriarcha Bartłomiej, może stać się głosem całej społeczności wierzących? Czy tylko nielicznych „wołających na puszczy"?

W wywiadzie dla nowojorskiego portalu „Religion Unplugged" Kieran Dodds tak opisał swoje wrażenia z wizyty w etiopskich lasach: „Szedłem drogą wzdłuż drzew – miały mocne pnie – i czułem się jak w katedrze. Na końcu ścieżki był kościół, gdzie wszyscy ludzie śpiewali, a małpy, ptaki i owady w lesie również – na swój sposób – śpiewały tę samą pieśń. Zgromadzeni nie śpiewali do drzew i ptaków, ale do Tego, który, jak wierzą, stworzył drzewa i ptaki. Zdawało się, że ptaki robią to samo".

© DOROTA BIDZIŃSKA

Informacje dotyczące biografii Alemayehu Wassiego pochodzą z relacji jego współpracownicy Meg Lowman oraz artykułu Alejandry Borundy „Ethiopia's »church forests« are incredible oases of green" opublikowanego w „National Geographic".

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Słubicach, Wydział I Cywilny, w sprawie I Ns 410/18, wzywa spadkobierców Tomasza Damiana Naumowicza, s. Eugeniusza i Ewy, zm. 7 października 2017 r. w Kostrzynie nad Odrą, ostatnio stale zamieszkałego w Kostrzynie nad Odrą, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i wykazali swoje prawa do spadku, w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sąd nie posiada informacji na temat majątku wchodzącego w skład spadku.

WOJNA CZTERDZIESTOLETNIA

Choć konflikt z Amerykanami trwa od chwili powstania Islamskiej Republiki Iranu, jedni i drudzy do siebie nie strzelali, przynajmniej nie pod własną flagą. Aż do tej pory.

KRZYSZTOF STRACHOTA

Nie jest to rzecz codzienna: zabić wysoko postawionego wojskowego i polityka z państwa, z którym nie prowadzi się otwartej wojny, przeprowadzając taką operację na terenie państwa trzeciego (przy wszystkich nierozstrzygniętych wątpliwościach, czy spełnione zostały procedury w Stanach). A irański generał Kasem Sulejmani, który zginął 3 stycznia na bagdadzkim lotnisku w ataku amerykańskiego drona, był postacią nie tylko wysoko postawioną w hierarchii Islamskiej Republiki, lecz także wyjątkową.

Od dobrego ćwierćwiecza był głównym pomysłodawcą i wykonawcą irańskiej polityki bezpieczeństwa – głównie na Bliskim Wschodzie, ale nie tylko tam.

ATTA KENARE / AFP / EAST NEWS

Kasem Sulejmani jako męczennik na tiszertach i chustach: antyamerykańska demonstracja w Teheranie, 3 stycznia 2020 r.

Liczący 22 lata w chwili, gdy w Teheranie wybuchła rewolucja, przeszedł wszystkie stopnie kariery w Korpusie Strażników Rewolucji Islamskiej (to wojskowy, polityczny, gospodarczy i ideologiczny filar Iranu). Był wreszcie niekwestionowanym bohaterem narodowym i najbardziej popularną osobą w elicie rządzącej – czarnym koniem wszelkich spekulacji, kto może być przyszłym liderem. I to właśnie jego kazał zabić prezydent Trump.

Tamten piątek, 3 stycznia, upłynął w światowych mediach w minorowym odliczaniu godzin do trzeciej wojny światowej. Jak dotąd nie wybuchła: Iran ukontentował się symbolicznym ostrzałem baz USA w Iraku (bez ofiar; zapewne Amerykanie zostali uprzedzeni o mającym nastąpić ostrzale), Trump zaś – podczas konferencji w środę 8 stycznia, która zaaranżowana była tak, jakby miał wypowiedzieć wojnę Iranowi, światu i połowie galaktyki – zagroził wprawdzie Teheranowi nieograniczonymi konsekwencjami w przypadku kontynuowania obecnej polityki, ale zasugerował też gotowość do rozmów.

Sukces założycielski

Aż do zabicia Sulejmaniego Amerykanie i Irańczycy zasadniczo do siebie – pod własną flagą – nie strzelali. Jednocześnie jednak od ponad 40 lat, od narodzin Islamskiej Republiki, między Iranem a Stanami trwa stan faktycznej wojny. Wojny, która w ogromnym stopniu określa całokształt polityki regionalnej, bez mała globalnej, w przypadku zaś Iranu kształtuje też fundamenty tożsamości tego państwa.

Wtedy, w 1979 r., rewolucja imama Chomejniego wybuchła w najbardziej proamerykańskim państwie Bliskiego Wschodu.

Obok stworzenia bezprecedensowej wówczas republiki islamskiej, obok zerwania z cesarską przeszłością i rozpoczęcia specyficznego islamskiego projektu modernizacyjnego, to właśnie zerwanie ze Stanami (a szerzej: z wszelkimi formami podporządkowania mocarstwom zachodnim) było gwarancją ochrony przed powrotem „starego".

Przełomowym momentem rewolucji było zajęcie przez radykałów związanych z Chomejnim ambasady USA w listopadzie 1979 r. i przetrzymywanie 52 amerykańskich zakładników przez 444 dni. Zerwano tym samym kanały dialogu między USA a częścią umiarkowanej irańskiej opozycji, upokorzono mocarstwo (które bezskutecznie próbowało odbić zakładników), Islamska Republika zaś zyskała założycielski sukces, który wyznaczył jej drogę na przyszłość.

Od tej pory Iran rozpoczął eksport swojej rewolucji na Bliski Wschód, wspierając zmarginalizowane (zazwyczaj szyickie) społeczności, zwalczając spuściznę postkolonialną oraz kwestionując oparty na zasadach zachodnich i firmowany przez USA porządek regionalny, którego ucieleśnieniem dla Iranu jest państwo Izrael – ten (jak słyszymy stale z Teheranu) brutalny zachodni implant, terroryzujący muzułmański Bliski Wschód.

Na kursie kolizyjnym

Taki rodowód irańskiej polityki zagranicznej stoi również u podstaw egzystencjalnego strachu przed Stanami – i jest niesłabnącym impulsem w poszukiwaniu trwałego (oraz taniego) zabezpieczenia.

Głównym orężem Teheranu są tu od lat proirańskie ugrupowania w regionie i gotowość do prowadzenia przez nie działalności terrorystycznej. Klasyczny przykład to libański Hezbollah, stworzony i zbrojony przez Iran, któremu (obok działalności politycznej i społecznej w lokalnym kontekście) przypisuje się m.in. wysadzenie koszar amerykańskich *marines* w Bejrucie (rok 1983, 305 ofiar), zamach na centrum żydowskie w Buenos Aires (rok 1994, 85 ofiar) czy zdolność do udziału w niemal równorzędnych konflikcie z Izraelem.

Podobny schemat – polegający na tworzeniu zbrojnych organizacji i prowadzeniu ich rękoma *proxy war* [wojny zastępczej – red.] – stosowano w Iraku po 2003 r., a także w Syrii czy Jemenie. Celem mogli być Amerykanie (czy Polacy w Iraku), ale częściej amerykańscy sojusznicy i klienci w regionie (Izrael, Arabia Saudyjska). Wybuchały bomby, podejmowano protesty i próby przewrotów, a z czasem zaczęły spadać rakiety produkcji irańskiej. Dość, że strach przed irańskim odwetem oraz zdolność Teheranu do utrzymywania konfliktów z dala od swego terytorium odstraszały Amerykanów – i zarazem wikłały ich w niewdzięczne działania na peryferiach.

Iran odstraszał też możliwością sparaliżowania szlaków morskich z Zatoki Perskiej (ponieważ to główna droga eksportu ropy, oznaczałoby to w dłuższej perspektywie paraliż światowej gospodarki – choć dziś już nie gospodarki USA, o czym więcej za chwilę) – i korzystał z tej możliwości: ostatnia odsłona, z zajmowaniem tankowców i rakietowym ostrzałem saudyjskich rafinerii, to rok 2019.

Najmocniejszą formą odstraszania i polisą na życie miał się stać jednak program nuklearny i rakietowy Iranu, który miał zostać zainicjowany w 2003 r., tj. wraz z zajęciem Iraku przez siły USA.

Uniwersalistyczne idee eksportu rewolucji (tyleż islamskiej i szyickiej, co „antykolonialnej" i modernizującej), a z czasem neoimperialne sny (już pod sztandarem perskiej/irańskiej cywilizacji), przemieszane z atawistycznym strachem przed potęgą USA i Zachodu, strachem ↦

o przetrwanie reżimu – wszystko to ustawiło władze w Teheranie na bezalternatywnym kursie kolizyjnym ze Stanami. I ten kurs trwał, mimo przełomowego porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego z 2015 r., którego jednym z sygnatariuszy był prezydent USA Barack Obama.

Jeżeli ktoś całym sobą wyrażał ducha Islamskiej Republiki, to bez wątpienia był nim Kasem Sulejmani. Zginął, jak żył – i szturmem wdarł się w najwyższe kręgi panteonu tejże Republiki.

Przelana czara wyrozumiałości

Amerykanie nie chcieli zajmować się tożsamościowymi problemami Iranu. Obalenie nacjonalistycznego rządu w Teheranie i przejęcie po Brytyjczykach „pieczy" nad krajem (rok 1953) czy pomoc dla bezpieki szacha gotowi byli uznać za grzechy lekkie supermocarstwa w czasie zimnej wojny. Z Chomejnim gotowi się byli dogadać, „swojemu" szachowi odmówili gościny na wygnaniu... Zajęcie ambasady było potężną zadrą na uczuciach Amerykanów i autorytecie państwa, ale gniew skierował się na ówczesnego prezydenta Cartera, który sobie ze sprawą nie poradził. Potem, za rządów Reagana, Busha seniora czy nawet Clintona, były poważniejsze problemy (Związek Sowiecki, Irak Saddama Husajna, terroryzm libijski i palestyński), więc Iran – choć piętnowany – nie był wysoko na liście priorytetów.

Problem jednak narastał, a i USA ewoluowały. Czasy „końca historii", ekspansji błogosławionego *pax americana*, umacniania się zarówno mesjańskiego ducha wśród postmarksistowskich neokonserwatystów, jak też ewangelicznego entuzjazmu na amerykańskiej prowincji (podnoszenie relacji z Izraelem z poziomu politycznego na eschatologiczny) – szeroko otworzyły Amerykanom oczy na Iran.

George W. Bush nazwał Islamską Republikę państwem bandyckim i osią zła. Amerykańscy wojskowi w Iraku i Afganistanie mieli podstawy sądzić, że miny, na których wylatują w powietrze (obraz, który przywoływał ostatnio Trump), produkowane są w Iranie. Widzieli wreszcie, jak Irańczycy po prostu przejmują owoce ich ciężkiej walki – np. z Irakiem. Patrzyli na tych, którzy im jakoś zaufali, a teraz byli zostawiani sami wobec Irańczyków (jak np. iraccy sunnici, w końcu przekonani do Amerykanów, po ich wycofaniu z Iraku zduszeni przez szyitów i uwiedzeni przez tzw. Państwo Islamskie). Wszyscy najważniejsi wojskowi amerykańscy byli kilkanaście lat temu młodszymi oficerami w Iraku czy w Afganistanie – i taki Iran pozostał im w pamięci.

Zabijając Sulejmaniego, Trump odczarował Iran, wyrwał z imposybilizmu wojny asymetrycznej, pozbawił poczucia nietykalności. Inna sprawa, na ile trwale i skutecznie.

Jednak tym, co przelało czarę pewnej wyrozumiałości Waszyngtonu wobec Teheranu, było sięgnięcie po regalia mocarstwowe, tj. program nuklearny i balistyczny. Jakkolwiek Iran był już wcześniej objęty amerykańskimi sankcjami, w 2006 r. Waszyngtonowi udało się zainicjować serię antyirańskich sankcji nakładanych przez Radę Bezpieczeństwa ONZ – i to one docisnęły kraj (gospodarkę, społeczeństwo, elity) do ściany i wymusiły kompromis, jakim miało być zawieszenie obu programów i stopniowe znoszenie sankcji. Na tym polegała umowa z 2015 r.

Obama triumfował: Iran zaczął współpracować, a nadto okazał się sojusznikiem w walce z Państwem Islamskim. Rząd irański oraz zachodnie firmy (głównie unijne) liczyły przyszłe zyski. Ale... Najwyższe przywództwo Iranu nie dowierzało Amerykanom, nie otworzyło gospodarki na wielkie inwestycje (bo zagrażało to całemu systemowi gospodarczo-politycznemu) i po staremu realizowało swoją politykę na Bliskim Wschodzie.

Nadchodzi Donald Trump

Tymczasem w Stanach do władzy doszedł Trump, który zgodnie z zapowiedziami zerwał umowę z 2015 r., zaostrzył antyirańską retorykę (przy jednoczesnym wyniesieniu relacji z Izraelem na bezprecedensowe wyżyny) i tym samym... niejako potwierdził kalkulacje Teheranu.

Niezwykle wyrafinowana i wrażliwa na subtelności irańska tradycja myślenia okazała się jednak bezradna wobec swoistej prostoty (w Europie często mówi się: prostactwa) Donalda Trumpa. Owszem, mówił on, że Bliski Wschód go nie interesuje, że szkoda mu pieniędzy i żołnierzy (tj. głosów wyborców), i że całą tę „piaskownicę" (jak wyraził się o Syrii) chętnie komuś przekaże. Stany odwróciły się od irackich Kurdów, gdy zabiegali o niepodległość (rok 2017) i od Kurdów syryjskich (rok 2019); nie zareagowały na zajmowane tankowce i bombardowane rafinerie saudyjskie; wzbudziły nawet frustrację w Izraelu, który postanowił zastąpić je swoistą „protezą", czyli Rosją.

Tę część strategii Trumpa Irańczycy zrozumieli – i konsekwentnie oraz dużym nakładem środków przejmowali próżnię po USA. Nie usłyszeli lub nie zrozumieli, że Trump równolegle zabiega o przywrócenie wielkości Ameryce w oczach samych Amerykanów – i nie ma tu skrupułów. Jeśli problem widział w Chinach, to gotów był rozpętać wojnę handlową. Jeśli widział problem w Rosji, był gotów bombardować rosyjskie lotnisko w Syrii i strzelać tam do rosyjskich najemników.

I jeśli teraz, w roku wyborczym, akurat Iran przypomina się z pomysłem zajmowania ambasady USA – a to właśnie próbowały zrobić szyickie bojówki 2 stycznia w Bagdadzie – to Trump dzień później gotów jest domniemanego pomysłodawcę (tj. Sulejmaniego) spektakularnie zabić.

Odnotujmy tu jeszcze jedną okoliczność, która znacząco powiększa pole manewru Trumpa: w odróżnieniu od swych poprzedników np. z lat 80., którzy musieli drżeć o swobodę żeglugi tankowców w cieśninie Ormuz, Trump ma ten komfort, że Stany są dziś samowystarczalne energetycznie – czyli niezależne od ropy z Zatoki Perskiej.

Odczarowany i zredukowany

Przynajmniej w odniesieniu do Iranu, Trump dokonał więc zdecydowanej redefinicji polityki USA: nie jest zainteresowany budową żadnego wielkiego projektu politycznego, nie myśli o zdobywaniu i naprawianiu Iranu (i chyba niczego na Bliskim Wschodzie), tnie koszta i zwija potencjalne cele ataków, ale nie zawaha się uderzyć z nadzwyczajną siłą, aby przeciwnika usadzić, a skalp pokazać wyborcom.

Paradoksalnie, Trump przejął i doskonali politykę Rosji oraz samego Iranu. W czasie zimnej wojny (a w przypadku USA także później) działaniom militarnym towarzyszyły ogromne nakłady na budowę nowego porządku i zjednywania poparcia. Tymczasem Rosja w Syrii i na Ukrainie, Iran zaś w Iraku czy Jemenie pokazały, że wojna może się żywić sama,

a wojsko ponosi mniejsze straty, gdy nie ma do obrony własnych cywilów, lokalnej administracji czy szkół.

Likwidacja Sulejmaniego i wielkopańska wyrozumiałość Trumpa po odwetowym ostrzale baz USA w Iraku to sygnał, że nie ma on nic do stracenia, że gotów i chętny jest na wymianę ciosów, że programu nuklearnego i ataków na Amerykanów Irańczykom nie odpuści... Ale że wolałby się zajmować innymi rzeczami.

Tym samym Trump zdegradował Teheran w polityce USA do dosyć technicznego problemu – poniekąd odczarował Iran, wyrwał z imposybilizmu wojny asymetrycznej, ciężaru odpowiedzialności za „wielką wojnę" i koszmaru powojennej stabilizacji. Inna sprawa, na ile trwale i skutecznie.

Koniec i początek

Dziś to Iran musi się na nowo wymyśleć. Śmierć Sulejmaniego (*spiritus movens* irańskiej polityki bezpieczeństwa), koniec iluzji nietykalności, granice wytyczone przez Trumpa w czasie kampanii prezydenckiej (a więc spodziewana stanowczość), poderwanie autorytetu w regionie (można spodziewać się testowania „nowego" Iranu i przez jego regionalnych rywali, i przez jego klientów), osamotnienie w świecie, wewnętrzne problemy społeczno-gospodarcze (jesienna fala protestów, które miały kosztować 1500 zabitych)...

To wszystko znacząco utrudnia Iranowi kontynuację dotychczasowej polityki. A jeśli potwierdzą się doniesienia medialne z minionego piątku, że ukraiński samolot pasażerski nie uległ awarii, lecz został omyłkowo zestrzelony przez irańską obronę przeciwlotniczą, byłby to kolejny czynnik utrudniający międzynarodową pozycję Teheranu [o dramacie ukraińskiego boeinga piszemy na Obrazie Tygodnia – red.].

Czy Iran mógłby stanąć jednak do bezpośredniej konfrontacji z USA? Czy może gotów byłby – jak wiele razy w ostatnich dekadach – zamknąć się w skorupie i czekać lepszych czasów? Czy też może spróbuje istotnie skorygować swój system i politykę (z myślą o sobie, nie o Amerykanach)?

Na pewno śmierć Sulejmaniego zakończyła pewną epokę w najnowszej historii Iranu.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Turcja w Maghrebie

MARCIN ŻYŁA

Decyzja Erdoğana o wysłaniu żołnierzy do Libii zmienia wewnętrzny konflikt w kolejną wojnę zastępczą, w której rywalami Turków stają się Rosjanie.

Chodzi o to, aby uniknąć drugiej Syrii – powtarzają dyplomaci z Europy i północnej Afryki, którzy w ostatnich dniach próbują zapobiec eskalacji libijskiej wojny. Jednak nawet zakończone apelem o rozejm rozmowy prezydentów Recepa Tayyipa Erdoğana i Władimira Putina – ich kraje popierają przeciwne strony tego konfliktu – nie odniosły skutku. Mimo sankcji do Libii trafia zaawansowana technologicznie broń, w tym chińskie systemy przeciwlotnicze i rosyjskie pociski przeciwczołgowe. A obecność żołnierzy tureckich – pierwsza ich grupa dotarła tu w minionym tygodniu – skomplikuje i przedłuży walki.

Z Tobruku na Trypolis

Konflikt trwa w Libii w gruncie rzeczy od 2011 r. – od powstania przeciw Kaddafiemu, ekscentrycznemu despocie, który rządził cztery dekady. Kaddafi zginął, a powstanie przerodziło się w bój o kontrolę nad krajem. Od 2014 r. funkcjonują tu dwa rządy. Na czele oficjalnego, uznawanego przez ONZ, stoi Fajiz as-Sarradż. Próbuje zdobyć poparcie lokalnych milicji i ośrodków władzy, ale z mizernym efektem – dziś kontroluje on niewielkie terytorium w okolicy stołecznego Trypolisu.

W Tobruku, położonym tysiąc kilometrów na wschód (i także na wybrzeżu), działa rząd konkurencyjny. To w jego imieniu od kwietnia 2019 r. ofensywę prowadzi 76-letni Chalifa Haftar – charyzmatyczny generał, kiedyś towarzysz broni Kaddafiego, który zyskał popularność po przepędzeniu dżihadystów z Bengazi, drugiego co do wielkości miasta kraju. Haftar ma poparcie Rosji i grup zbrojnych na pustynnym południu; wielu Libijczyków, zmęczonych wojną i chaosem, widzi w nim przyszłego przywódcę.

Podległa Haftarowi Libijska Armia Narodowa w ciągu roku 2019 zdobyła duże terytoria – jednak dopiero uzyskanie kontroli nad Syrtą (w środkowej części wybrzeża), gdzie 6 stycznia Haftar przekonał obrońców do przejścia na jego stronę, zaalarmowało zagranicę. Teraz na drodze Haftara do Trypolisu stoi już tylko jedno duże miasto: Misurata (która w 2011 r. wytrzymała wielomiesięczne oblężenie przez siły Kaddafiego).

Wojna nie tylko Libijczyków

Właśnie w Misuracie mieli wylądować pierwsi żołnierze tureccy. Mają wspierać, głównie w planowaniu i logistyce, armię podległą rządowi w Trypolisie.

Ale decyzja Erdoğana (którą zapowiadał już na początku grudnia) to także część regionalnej rozgrywki i być może początek jeszcze jednej wojny zastępczej. Wojny – podobnie jak w Syrii – toczonej przez graczy z zewnątrz. Rywalami Turków są tutaj popierające Haftara Egipt, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska – ale także Rosja, którą zachodnie wywiady podejrzewają o utrzymywanie w Libii misji wojskowo-szkoleniowej i żołnierzy-najemników z tzw. Grupy Wagnera.

Sytuację komplikują podziały w Unii Europejskiej: Włochy, zainteresowane powstrzymaniem migrantów z Afryki Subsaharyjskiej, rozwijają współpracę z Trypolisem, podczas gdy Francja, prowadząca własną operację wojskową na Sahelu, udzielała już dyskretnie wsparcia Haftarowi (m.in. prowadząc naloty na walczące z nim oddziały z Czadu).

Dla rządu w Trypolisie Erdoğan awansuje do roli najważniejszego sojusznika. Od zaangażowania Turcji mogą zależeć jego losy. A także dalszy ruch uchodźców i migrantów przekraczających Morze Śródziemne, na co z obawą patrzą unijni politycy. ©℗

ALEXEY PAVLISHAK / REUTERS / FORUM

Dworzec w Sewastopolu na okupowanym Krymie: w oczekiwaniu na przybycie Putina. Prezydent pojechał pierwszym pociągiem na trasie Petersburg–Krym przez nowo zbudowany most kolejowy, łączący Półwysep Krymski z Rosją przez Cieśninę Kerczeńską. 25 grudnia 2019 r.

Słowa Stalina w ustach Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

„Rosja to kraj o nieprzewidywalnej przeszłości": ten stary aforyzm satyryka Michaiła Zadornowa nabiera aktualności w świetle historycznej batalii prowadzonej dziś przez rosyjskiego prezydenta.

Cel historyczno-politycznej ofensywy Władimira Putina wydaje się jasny: chodzi nie tylko o podyktowanie światu kremlowskiej narracji o genezie II wojny światowej (narracji wybielającej Stalina), lecz także o uświadomienie własnym obywatelom i Zachodowi, że Rosja – mocarstwo z ambicjami do mieszania w kotle światowej polityki – nie pozwoli krytykować swoich postępków. Ani tych z teraźniejszości, ani tych z przeszłości. I że ma prawo dochodzić swych racji, stosując wszelkie dostępne metody, w tym militarne. Oraz że uzasadnienie dla użycia siły i pogwałcenia prawa międzynarodowego zawsze się znajdzie – czy chodzi o pakt Hitler–Stalin, czy o interwencję w 1968 r. w Czechosłowacji, czy o aneksję Krymu.

Historyczne wykłady

Integracyjne projekty na obszarze postsowieckim nie bardzo się Kremlowi udają. Co rusz okazuje się, że poszczególni członkowie wymuszonej wspólnoty mają inne niż metropolia pomysły na współpracę. Ale rytualne zjazdy przywódców Wspólnoty Niepodległych Państw – powstałej w 1991 r. na gruzach Związku Sowieckiego i zrzeszającej dziś dziesięć krajów – odbywają się regularnie, a uczestnicy zapewniają przed kamerami, że są zgodni co do kierunków rozwoju i zamierzają się jeszcze bardziej integrować.

Podczas ostatniego zlotu prezydentów, 20 grudnia w Petersburgu, gospodarz wszystkich zaskoczył. Zamiast tradycyjnych mdłych dań o negocjowaniu ceł na stół wjechała nowa potrawa: go-

dzinny wykład o przyczynach II wojny światowej. „Dotyczy to poniekąd nas wszystkich" – zaznaczył na wstępie Putin, odcinając drogę ucieczki tym, którzy chcieliby zapomnieć o wspólnej sowieckiej przeszłości. Po czym przedstawił swoją wizję, która w gruncie rzeczy była polemiką z rezolucją Parlamentu Europejskiego z września 2019 r. „w sprawie znaczenia europejskiej pamięci historycznej dla przyszłości Europy" (w rezolucji mowa była o sprzeciwie wobec fałszowania historii i o tym, że II wojnę wywołały dwa totalitaryzmy: nazizm i stalinizm).

Kilka dni później, na poszerzonym kolegium ministerstwa obrony, Putin kontynuował temat: ogłosił, że winę za rozpętanie tamtej wojny ponosi bratający się z Hitlerem tchórzliwy Zachód, a zwłaszcza antysemicka Polska, która sprzyjała niemieckim planom pozbycia się Żydów z Europy. Zaznaczył też, że niemiecko-sowiecki pakt z 23 sierpnia 1939 r. był tylko prostą konsekwencją przymilnej wobec Hitlera polityki reżimów antykomunistycznych i antysemickich, a Stalin jako jedyny przywódca nie splamił się osobistymi kontaktami z Führerem. Oraz że po 17 września 1939 r. Armia Czerwona nie zagarnęła polskiego terytorium, lecz po prostu weszła i wzięła to, co było ustalone z Niemcami.

Moskwa, 9 maja 2020 roku

Wybór audytorium dla obu kuriozalnych wykładów nie był przypadkowy. Putin chciał przypomnieć, że Rosja uważa obszar WNP za swoje „kanoniczne" terytorium (wyłączną strefę wpływów) i wymaga od przywódców postsowieckich państw, aby włączyli się w walkę na froncie informacyjnym. Zwłaszcza przed kluczowym wydarzeniem tego roku: 75. rocznicą zwycięstwa w II wojnie światowej. Na 9 maja planowana jest w Moskwie na placu Czerwonym wielka defilada, z mocnym komponentem wojskowym. Rosyjska dyplomacja, a także osobiście Putin, zabiega o obecność na niej najważniejszych światowych polityków.

15 lat temu do Rosji zjechało wielu znakomitych gości, by uczcić 60. rocznicę: prezydenci USA i Francji, kanclerz Niemiec, przewodniczący ChRL, premierzy Włoch i Japonii. Było hucznie i przyjaźnie. To był rok 2005: jeszcze przed wojną w Gruzji, aneksją Krymu, agresją na Donbas, przed sankcjami, Syrią, rosyjskimi żołnierzami z Grupy Wagnera w Afryce, przed powrotem Putina na Kreml w wyniku manipulacji z konstytucją, przed otruciem Skripalów, przed zestrzeleniem malezyjskiego samolotu pasażerskiego itd.

Pusta trybuna honorowa 9 maja 2020 r.? To byłaby porażka wizerunkowa, na którą Putin nie może sobie pozwolić – szczególnie w obliczu spadającego poparcia w samej Rosji.

Putinowskie dogmaty wiary

Rosjanie nadal pozytywnie reagują na podawane im codziennie w mediach (głównie w telewizji) mity o wielkomocarstwowym statusie Związku Sowieckiego i Rosji jako jego spadkobierczyni. Na tym przekazie trzyma się legitymacja władzy Putina. Gdy coraz trudniej jest przekonać ludzi, że jest im lepiej (a nie jest), rekompensatą ma być poczucie, że byli – i zapewne będą, jak się uda – wielcy, że przed ich potęgą drżał cały świat.

Fundamentem trwania reżimu stał się w ostatnich latach „dogmat o niepokalanym poczęciu" Pobiedy – zwycięstwa nad Niemcami. Zastosowanie nomenklatury religijnej do opisu tego zjawiska jest zasadne, kremlowscy ideolodzy umieszczają bowiem Pobiedę w sferze *sacrum*. Ci, którzy dogmat podważają – wskazując na omyłki, zbrodnie, agresywny charakter wojny Stalina, pragnącego podbić część Europy – narażają się na klątwę. W ujęciu propagandy czerwonoarmiści są bez grzechu, wszak nieśli pokój i wyzwolenie. Kto demontuje dziś ich pomniki, mówi o sowieckiej okupacji – ten zasługuje na potępienie. No i jest rusofobem, a więc kimś niewiarygodnym, bo zaślepionym nienawiścią do Rosji. Przyklejanie krytykom łatki rusofoba jest ulubionym chwytem putinowskiej propagandy.

Ale jest na tej *quasi*-historycznej konstrukcji rysa: bo jak tu świętować „niepokalaną Pobiedę", skoro jest skażona „grzechem pierworodnym" paktu Hitler–Stalin? Zatem i paktu trzeba bronić, i samego Stalina. W Rosji od lat obserwujemy zabiegi o jego wybielenie: podkreślanie jego zasług jako „zdolnego menedżera" i wojennego zwycięzcy – oraz umniejszanie bezmiaru zbrodni na własnych obywatelach i na obywatelach krajów podbitych. Rosyjskie władze wprost sięgają po tezy stalinowskiej propagandy, uzasadniając konieczność paktu z sierpnia 1939 r. i stosując przy tym sprawdzoną metodę wybiórczego traktowania faktów i naginania ich dla potrzeb aktualnej linii politycznej.

Także Putin uznaje dziś pakt z 1939 r. za konieczność dziejową („Związek Sowiecki jako ostatnie państwo w Europie zawarł z Niemcami pakt o nieagresji. A co mieliśmy zrobić? Zostać sam na sam [z Hitlerem]?"). Odnotujmy, że kiedyś widział to inaczej: w tekście opublikowanym w 2009 r. w „Gazecie Wyborczej" Putin potępiał pakt, podkreślając, że z moralnego i politycznego punktu widzenia był on nie do zaakceptowania. Obecnie rosyjska machina propagandowa odgrzewa stalinowskie tezy: otrzepane z naftaliny, mają wyglądać jak nowe. Ale nie wyglądają. I podobnie jak ich starsze historyczne siostry, z przełomu lat 30. i 40. XX w., zalatują fałszem.

Tylko to się liczy

Usprawiedliwiając dziś pakt z 1939 r. Putin nie wspomniał o jego konsekwencjach: rozbiorze Polski, napaści na Finlandię (wojnę zimową, rozpoczętą 30 listopada 1939 r., Stalin przegrał: za agresję kraj wykluczono z Ligi Narodów, Finlandia nie utraciła niepodległości, a kłamstwa ministra Mołotowa, że Sowieci zrzucają na Helsinki worki z żywnością, a nie bomby, nikogo nie przekonały), okupacji i aneksji trzech państw bałtyckich, oderwaniu Besarabii i Bukowiny od Rumunii, zbrodni katyńskiej.

Nic dziwnego, że nie wspomniał: te owoce sojuszu dwóch totalitaryzmów obalają tezy jego propagandy. Putin próbuje narzucić wobec tego taki tok myślenia: w rozpętaniu tamtej wojny współwinę ponoszą zachodni Europejczycy (również Polska), sowiecka dyplomacja dążyła do pokoju, a zresztą i tak ma to drugorzędne znaczenie wobec bezmiaru poświęcenia Sowietów w dziele rozgromienia III Rzeszy. I tylko to powinno się dziś liczyć.

Mark Sołonin, rosyjski publicysta od lat polemizujący z tezami putinowsko-stalinowskiej wersji dziejów, tak zauważał w rozmowie z dziennikarzem gazety „Nowyje Izwiestia": „Pakt stanowił o rozbiorze Polski i innych państw Europy Wschodniej. 28 września 1939 r. – już po pokonaniu Polski – minister spraw zagranicznych Niemiec Joachim von Ribbentrop ponownie przyleciał do Moskwy i podpisał traktat o przyjaźni i granicy, również z tajnymi protokołami. Te ↦

umowy faktycznie określiły sowiecką politykę, co odegrało kluczową rolę w rozpętaniu wojny". I dalej: „Stalinowskie imperium wiarołomnie naruszyło podpisany [w 1932 r.] pakt z Polską o nieagresji i wkroczyło na polskie terytorium, zabiło wielu polskich obywateli i okupowało połowę kraju".

Jednak takie polemiczne głosy należą w rosyjskiej przestrzeni medialnej do rzadkości. Natomiast „kremladź" – takim mianem krytycy Putina określają zastępy dziennikarzy i liczne „gadające głowy", obsługujące w mediach linię Kremla – wtóruje prezydentowi, rozwijając zapodane tezy. I to właśnie takie przesłanie, gloryfikujące Stalina i jego politykę, dociera do ogółu telewidzów i czytelników gazet. O znakomicie rozwijającej się współpracy sowiecko-niemieckiej w latach 1939-41 (jej efektem było i to, że w bitwie o Anglię samoloty Luftwaffe latały na sowieckim paliwie), o ciepłych słowach pod adresem Hitlera obecnych na co dzień w sowieckiej prasie, o wymienianych na linii Berlin–Moskwa depeszach z życzeniami z okazji świąt i rocznic – o tym propaganda nie wspomina.

Kwestia żydowska

W drugim z grudniowych wystąpień Putin ostro zaatakował Józefa Lipskiego, w latach 30. ambasadora Polski w Niemczech. Nazwał go „bydlakiem (ros. *swołocz*) i antysemicką świnią". Wątek rozwinął przewodniczący komisji Dumy ds. międzynarodowych Leonid Słucki, przerzucając pomost między przedwojennym polskim antysemityzmem a współczesnym demontażem pomników „wyzwolicieli": „Potomkowie takich ambasadorów dziś bezczeszczą groby czerwonoarmistów, wysławiają nazistów i fałszują historię".

Niektórzy rosyjscy komentatorzy spekulują, że Kreml zaatakował właśnie Polskę, gdyż uważa ją za inicjatora wrześniowej rezolucji Parlamentu Europejskiego – miałby to być w domyśle odwet Putina. Ale zamysł wykorzystania narracji historycznej do współczesnych rozgrywek ma szerszy kontekst i kilka innych celów. Historia jest od lat jednym z narzędzi używanych przez Rosję do podważenia zwartości NATO, zakłócenia współpracy transatlantyckiej, rozbicia jedności Unii. Te cele nie zmieniają się, Moskwa dostosowuje jedynie metody do potrzeby chwili.

Dlaczego historyczna krucjata rusza teraz?

27 stycznia Putin jedzie do Izraela, by obchodzić Dzień Pamięci Ofiar Holokaustu. W tym kontekście sięga po argument o antysemityzmie Polaków i rzekomym poparciu II RP dla planów Hitlera.

A dlaczego ta krucjata historyczna ruszyła akurat teraz? Prócz wyżej wymienionych celów (rzec można: stałych) Rosja ma dziś do upieczenia kilka pieczeni. Wkrótce, 27 stycznia, przypada 75. rocznica wyzwolenia więźniów Auschwitz. Putin zamierza udać się do Jerozolimy, aby tam obchodzić tę rocznicę – na uroczystościach, które współorganizuje i współfinansuje Wiaczesław Kantor, bliski mu rosyjsko-żydowski oligarcha (i właściciel prywatnej fundacji o dumnej nazwie Światowe Forum Holokaustu). W tym właśnie kontekście Putin używa argumentu o antysemityzmie Polaków i rzekomym poparciu II Rzeczypospolitej dla planów Hitlera.

Publicysta Igor Ejdman zwraca uwagę w artykule na portalu M.News, że perorując o polskim i europejskim przedwojennym antysemityzmie Putin „zapomina" o antysemityzmie Stalina. Z kolei opozycyjna „Nowaja Gazieta" w tekście Pawła Polana przypomina o wydarzeniu, które było jednym z aspektów współpracy sowiecko-niemieckiej z lat 1939-41: chodzi o prośbę Niemców, aby możliwe było przesiedlenie – do Birobidżanu na Dalekim Wschodzie lub na zachodnią Ukrainę – dwóch milionów Żydów z Generalnego Gubernatorstwa oraz z Niemiec. Było to jeszcze przed rozpoczęciem mordowania Żydów na masową skalę. Kreml prośbę odrzucił. Dziś można już tylko spekulować, czy jej zaakceptowanie uratowałoby tych ludzi.

Określanie granic

W wykładzie dla prezydentów z WNP Putin poruszył jeszcze jeden ciekawy wątek: formułując przyczyny II wojny, wskazał też na „niesprawiedliwy pokój wersalski", w wyniku którego Niemcy czuły się zmarginalizowane i szukały możliwości zmiany statusu pokrzywdzonego.

Socjolog Kiriłł Rogow tak to skomentował: „II wojna światowa była projektem Hitlera, Stalin marzył o innej wojnie. Jednak w latach 1939–1941 stalinowski Związek Sowiecki był agresorem wobec [państw] Europy Wschodniej, działającym w sojuszu z Hitlerem. I to jest fundamentalny fakt historii Europy. Dlaczego Putin wkłada tyle emocji w tę polemikę? Warto zwrócić uwagę, z jakim współczuciem mówi o niesprawiedliwości traktatu wersalskiego i dążeniu Niemiec do przełamania tej sytuacji. Oto silne, ale upokorzone państwo, starające się przywrócić historyczne/narodowe granice, jest pokrzywdzonym bohaterem putinowskich wynurzeń, natomiast faryzejski Zachód, sam sobie przyznający prawo do określania tych granic, jest [w oczach Putina] antybohaterem. Główna idea Putina polega na negowaniu prawa Zachodu do określania, gdzie owo pokrzywdzone państwo ma granice".

Aneksja Krymu, agresja na Donbas – Rosja sama określa tam dzisiaj swoje granice. A Putin widzi się w roli lidera antyzachodniej koalicji – nie tylko w Europie, także w Syrii czy Afryce.

Jeżeli przez powtarzanie kłamstw uda się kogoś przekonać do kremlowskich wersji historii, jeżeli uda się zasiać wątpliwości, wyjąć jedną cegiełkę z muru, przyprawić krytykom gębę rusofobów – to już będzie zysk. A jeżeli jeszcze przy tym uda się wprowadzić chaos, niestabilność, zatrzeć czytelne granice i zasady prawa międzynarodowego – to zysk będzie jeszcze większy.

Łowienie ryb w mętnej wodzie to specjalność kremlowskiej kuchni dyplomatycznej.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ANNA ŁABUSZEWSKA będzie gościć u Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w piątek 17 stycznia o godzinie 18.00.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

PRESIDENTIAL OFFICE OF UKRAINE / CC 4.0

Spotkanie Wołodymyra Zełenskiego z mieszkańcami Równego na Wołyniu, wrzesień 2019 r.

Szósty prezydent

WOJCIECH KONOŃCZUK Z KIJOWA

Wołodymyr Zełenski, słynny z ekscentrycznego stylu, w roli przywódcy Ukrainy radzi sobie całkiem nieźle. Wciąż jednak otwarte jest pytanie, jaka to będzie prezydentura – oraz jak zmieni kraj.

Był ostatni dzień roku 2018, gdy znany ukraiński aktor komediowy Wołodymyr Zełenski ogłosił swój start w wyborach prezydenckich, zaplanowanych na wiosnę 2019 r. Już po kilkunastu dniach sondaże po raz pierwszy pokazały, że może zostać zwycięzcą. Wkrótce, trzy miesiące później, przyszedł triumf wyborczy. Człowiek niebędący wcześniej politykiem, który nie przedstawił programu wyborczego, otrzymał najwyższe poparcie (73,2 proc. w drugiej turze) w historii ukraińskich wyborów prezydenckich.

Minęły kolejne trzy miesiące i stworzona naprędce przez Zełenskiego partia o nazwie Sługa Narodu – będącej zarazem tytułem jego popularnego serialu telewizyjnego – wygrała przyspieszone wybory parlamentarne. Uzyskała przy tym samodzielną większość w Radzie Najwyższej, co nigdy wcześniej nie udało się żadnemu ugrupowaniu.

Na Ukrainie, która ma zakorzenioną tradycję rewolucyjną, to podwójne zwycięstwo nazywane jest rewolucją elektoralną. Niezależnie od tego, jak zdefiniujemy to, co się wydarzyło, w Kijowie powstała sytuacja bez precedensu: jeden ośrodek otrzymał wszystkie instrumenty władzy.

Osiem miesięcy, które właśnie minęły od objęcia władzy przez Zełenskiego, dają możliwość pierwszych ocen i prognoz.

Elity przeciw prezydentowi

Zełenski zawdzięcza zwycięstwo nie tylko charyzmie, ale przede wszystkim ogromnemu rozczarowaniu społeczeństwa prezydenturą jego poprzednika Petra Poroszenki. Jednak choć w drugiej turze wygrał zdecydowanie we wszystkich regionach – poza obwodem lwowskim, gdzie dwie trzecie głosujących poparło Poroszenkę – efektem zmiany władzy było i jest powstanie silnego podziału wśród Ukraińców.

Większość elit intelektualnych i wielkomiejskiej klasy średniej nie pogodziła się z wyborem Zełenskiego i od samego początku snuła złowieszcze wizje. Kilka głównych zarzutów sprowadzało się do tego, że nowy prezydent jest jakoby „marionetką" oligarchy Ihora Kołomojskiego, że tak naprawdę ma poglądy prorosyjskie, że zrewiduje integrację Ukrainy z Zachodem, i że jego niekompetencja doprowadzi kraj do katastrofy.

Szybko okazało się, że żadna z tych – od początku irracjonalnych – obaw się nie potwierdziła. Jednak rozdźwięk między tym, co o władzy myślą elity, a z drugiej strony „zwykli" obywatele, nigdy na Ukrainie nie był tak duży. Tylko czy obecnie nie jest to coraz bardziej typowa postawa dla społeczeństw państw demokratycznych? By daleko nie szukać – przykłady mocnych podziałów widoczne są od Stanów Zjednoczonych przez Wielką Brytanię czy Francję aż po Polskę.

Na froncie (jednak) bez zmian

Od początku było widać, że Wołodymyr Zełenski będzie miał dwa priorytety swoich rządów. Pierwszym jest zakończenie wojny w Donbasie, co wielokrotnie obiecywał i bez czego trudniej jest zrealizować ten drugi – czyli sprawić, aby gospodarka rozwijała się szybciej.

Początek był obiecujący: w krótkim czasie Kijowowi udało się wznowić rozmowy z Rosją, czego pierwszym efektem było uwolnienie we wrześniu 2019 r. – z więzień rosyjskich i tych prowadzonych w Donbasie przez rosyjskie siły hybrydowe – 24 ukraińskich jeńców i politycznych więźniów. W tym najbardziej znanego: reżysera Ołeha Sencowa, więzionego w Rosji od 2015 r.

Było to preludium do zorganizowania w grudniu pierwszego od ponad trzech lat spotkania tzw. formatu normandzkiego, czyli przywódców Ukrainy, Rosji, ↦

Niemiec i Francji. Choć nie przyniosło przełomu w uregulowaniu konfliktu, to Zełenski, wbrew licznym obawom, nie poszedł na niekorzystne ustępstwa. Nawet część jego przeciwników uznała, że dobrze zdał swój pierwszy poważny test w polityce zagranicznej.

Mimo że prezydent nadał nową dynamikę procesowi pokojowemu, trudno jest jednak liczyć, że uda mu się odzyskać kontrolę nad Donbasem. Różnice interesów między Ukrainą a Rosją, która kontroluje oba tamtejsze parapaństwa (tzw. republiki ludowe, doniecką i ługańską), są tak duże, że bez daleko idących ustępstw Kijowa nie ma mowy, aby Kreml poszedł mu na rękę. Z kolei Zełenski szybko zdał sobie sprawę, że zgoda na jakiekolwiek warunki pokojowe, które naruszałyby ukraińską rację stanu (np. faktyczna autonomia obu „republik" pozostających jednak w ramach Ukrainy), byłaby prostą drogą do zdestabilizowania kraju – i politycznym samobójstwem.

Aktywna część społeczeństwa, w tym liczne grono weteranów wojennych (status uczestnika działań bojowych ma dziś ponad 300 tys. Ukraińców) nie zaakceptowałyby takiego porozumienia. W tej sytuacji nawet plan minimum Zełenskiego, czyli zamrożenie konfliktu, będzie trudny do zrealizowania, gdyż z rosyjskiego punktu widzenia byłby to zbyt hojny prezent. Już teraz widać, że postanowienie szczytu normandzkiego o pełnym wstrzymaniu ognia nie jest przestrzegane – na donieckim froncie niemal codziennie są ofiary.

„Kraj pełen okropnych ludzi"

Z pierwszą wizytą zagraniczną Zełenski poleciał do Brukseli, co miało być sygnałem, że integracja europejska będzie kontynuowana. Kolejne miesiące tylko potwierdziły, że do żadnego zwrotu w polityce zagranicznej Ukrainy nie doszło. Widoczna jest natomiast chęć poprawy relacji z sąsiadami, w tym z Polską – o czym świadczy udana wizyta nowego prezydenta w Warszawie na przełomie sierpnia i września. Trzeba jednak realistycznie zauważyć, że w hierarchii priorytetów Zełenskiego tematy polskie znajdują się na dalszych miejscach.

Najgorzej wypada bilans stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, które tradycyjnie są jednym z głównych sojuszników Kijowa. Jednak nie z winy Zełenskiego: niespodziewanie Ukraina znalazła się w samym środku amerykańskiego konfliktu wewnętrznego – i skandalu związanego z walką między Donaldem Trumpem a Joe Bidenem, który może być jego głównym kontrkandydatem w wyborach prezydenckich jesienią 2020 r.

Kluczowa jest reforma zarządzania państwem. Tymczasem pewien były dyrektor polityczny jednego z ministerstw powiedział mi, że instytucje centralne zajmują się głównie tym, by stary system się nie zawalił.

Przypomnijmy: otoczenie Trumpa próbowało skłonić władze ukraińskie do przekazania materiałów kompromitujących Bidena, którego syn przez kilka lat zasiadał w zarządzie ukraińskiej firmy energetycznej Burisma, znanej z szeregu spraw korupcyjnych. Kijów odmówił współpracy, a Trump w odpowiedzi zawiesił pomoc wojskową dla – jak to ujął – „skorumpowanego kraju pełnego okropnych ludzi". Efektem jest ochłodzenie relacji amerykańsko-ukraińskich i widoczny spadek zainteresowania kwestią ukraińską Waszyngtonu, gdzie trwa procedura impeachmentu Trumpa.

Ustawodawczy „turbo reżim"

Zełenski rozumie, że jeśli ma odnieść sukces, musi uniknąć losu swego poprzednika, z którego obietnic niewiele pozostało, a wysokie początkowo poparcie szybko spadło. Stąd w jego retoryce tak wiele miejsca zajmuje przyspieszenie wzrostu gospodarczego. Powołany w sierpniu rząd – na czele z 35-letnim Ołeksijem Honczarukiem, najmłodszym premierem w ukraińskiej historii – składa się głównie z ekspertów, a nie polityków. Dostali oni znaczny zakres samodzielności i ambitne zadania. Program rządu zakłada m.in., że do 2024 r. PKB wzrośnie o 40 proc., powstanie milion nowych miejsc pracy, a zagraniczni przedsiębiorcy zainwestują w kraju 50 mld dolarów. Cele to jednak mocno optymistyczne.

Z kolei pierwsze tygodnie nowego parlamentu pokazały, że Zełenski oczekuje szybkich wyników. Udało się przegłosować m.in. kilka ustaw deregulacyjnych i liberalizujących działalność gospodarczą, uproszczono szereg przepisów, zwiększono transparentność finansów publicznych, skasowano immunitet deputowanych. Później doszło też do ważnej zmiany ordynacji, wprowadzającej system proporcjonalny – co od dawna postulowali przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego. Zaczęła się reforma Prokuratury Generalnej, która w ukraińskich warunkach była ważnym instrumentem władzy każdego prezydenta. Szybkość działania nowej Rady Najwyższej została nawet nazwana „turbo reżimem".

Jednak, wbrew zapowiedziom, wciąż nie udało się przyjąć ustawy o zniesieniu moratorium na obrót ziemią rolną. To jedna z najbardziej oczekiwanych i odkładanych od dwóch dekad reform. Kształt prawa o rynku ziemi na dziesięciolecia określi rozwój tej strategicznej gałęzi gospodarki. Choć dwie trzecie społeczeństwa opowiada się przeciw wprowadzeniu wolnego handlu gruntami, Zełenski prze do tego rozwiązania. Wśród ekspertów panuje w zasadzie konsens, że przyczyni się to do szybszego rozwoju sektora rolnego i całej gospodarki.

Kluczowa reforma

Jeśli w kolejnych tygodniach uda się doprowadzić tę sprawę do końca, będzie to duży sukces prezydenta. Jest to o tyle ważne, że „okno możliwości" dla niepopularnych reform wkrótce się zamknie i ich wprowadzanie będzie trudniejsze. Jak na razie widać, że rynki finansowe wierzą w Zełenskiego: w 2019 r. hrywna umocniła się o 16 proc. wobec dolara.

Ostatnie miesiące przyniosły kilka innych sukcesów. Udało się uzgodnić nowe warunki porozumienia z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Uproszczono przepisy dotyczące prywatyzacji i można liczyć, że po kilku latach odkładania uda się ją rozpocząć. W końcu grudnia podpisano nowy pięcioletni kontrakt na tranzyt rosyjskiego gazu przez Ukrainę – i udało się zmusić Rosję do zapłacenia wreszcie 2,9 mld dolarów kary, zasądzonej ponad rok temu przez Trybunał Arbitrażowy w Sztokholmie.

Choć z nutką optymizmu można sądzić, że na Ukrainie coś się ruszyło, to naj-

trudniejsze sprawy wciąż czekają na załatwienie. Kluczowa z nich to zreformowanie dysfunkcjonalnego systemu zarządzania państwem. Niedawno były dyrektor polityczny jednego z ukraińskich ministerstw powiedział mi, że instytucje centralne zajmują się nie tyle reformami i zmianą rzeczywistości, co przede wszystkim dążą do tego, aby stary i zmurszały system się nie zawalił.

Słudzy narodu i oligarchowie

Wprawdzie ugrupowanie Zełenskiego ma największą frakcję parlamentarną, ale nie oznacz to, że jej członkowie zawsze głosują za ustawami zgłaszanymi przez ośrodek prezydencki. Sługa Narodu nie jest bowiem normalną partią, gdyż na Ukrainie system partyjny w klasycznym tego słowa znaczeniu nie istnieje, lecz zlepkiem różnych grup interesów, na które próbują wpływać oligarchowie.

Nadal jest to więc partia proprezydencka, ale pozbawiona jednoczącej ją idei, i w jej szeregi coraz bardziej wdziera się chaos. Plany Biura Prezydenta posługiwania się Sługą Narodu jak sprawną „maszynką do głosowania" okazały się złudne. Prezydent regularnie dyscyplinuje swoich deputowanych – grożąc, że „jak będzie trzeba", to rozwiąże Radę Najwyższą – jednak możliwość, że frakcja wcześniej lub później się rozpadnie, pozostaje realna.

Kolejne wyzwanie dla Zełenskiego to oligarchowie, którzy od ponad dwóch dekad są niezwykle istotnymi (choć nieformalnymi) graczami w ukraińskiej polityce. Ich kontrola nad wieloma aktywami gospodarczymi (w tym kluczowymi mediami) i możliwości finansowe sprawiają, że dotychczas każda władza musiała się liczyć z ich interesami. A te najczęściej stały w sprzeczności z działaniami reformatorskimi.

Wśród nich największym zagrożeniem jest wspomniany Ihor Kołomojski, który uchodził za patrona Zełenskiego, i którego media wspierały jego kampanię. Mimo że adwokat oligarchy, Andrij Bohdan, został szefem Biura Prezydenta, to drogi Zełenskiego i oligarchy zaczęły się rozchodzić. Kołomojski dąży do odzyskania Prywatbanku – największej instytucji finansowej w kraju, znacjonalizowanej w 2016 r. – lub przynajmniej otrzymania 2 mld dolarów odszkodowania. Zełenski formalnie się sprzeciwia, ale zarazem nie chce iść na wojnę z potężnym oligarchą. Sprawa banku będzie w najbliższych miesiącach testem intencji prezydenta, a zarazem zdecyduje o jego relacjach z Kołomojskim.

Dyrygent i orkiestra

Zełenski wszedł do polityki bez kompetentnego zaplecza i musiał opierać się na ludziach, których spotkał na różnych etapach swojej kariery sceniczno-biznesowej. Rzadko mają oni jednak odpowiednie kwalifikacje. Dla przykładu, Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy rządzi Iwan Bakanow, były szef firmy kabaretowej Zełenskiego, a głównym doradcą prezydenta ds. Donbasu jest Andrij Jermak, do niedawna producent filmowy. Choć dotąd udało się uniknąć poważniejszych błędów, problem jakości kadr pozostaje. Zagrożeniem może być też wspomniany Andrij Bohdan, wpływowy szef administracji Zełenskiego o zapędach dyktatorskich, który *de facto* ma pozycję drugiej osoby w państwie. Czasami może powstawać wrażenie, że nie tyle dyrygent Zełenski kieruje swoim otoczeniem, co orkiestra dyrygentem.

Prezydent, który przecież nie miał wcześniej polityczno-administracyjnego doświadczenia, szybko się jednak uczy. Widać też, że posmakował władzy i realizuje autorski pomysł na swoją prezydenturę. Jego znakiem rozpoznawczym jest regularna komunikacja ze społeczeństwem za pomocą sieci społecznościowych i wideobloga.

Wydaje się, że w swojej proreformatorskiej retoryce Zełenski jest szczery – i rzeczywiście chciałby dokonać głębokich zmian w państwie. Ale zarazem jest zapatrzony w sondaże, bo chce się podobać wyborcom. Tylko czy da się to pogodzić? I czy na dłuższą metę nie oznacza to zablokowania reform? Tym bardziej że pokazał już, iż jest w stanie wycofać się z decyzji niepopularnych, choć potrzebnych. Na razie jego słupki poparcia utrzymują się na wysokim poziomie: 62 proc. wyraża zadowolenie z działalności prezydenta, 25 proc. jest zdania przeciwnego.

Co dalej? Coraz bardziej złożony obraz ukraińskiej polityki sprawia, że prognozowanie stało się teraz trudniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. A to oznacza, że na ostateczną odpowiedź na pytanie, jaka to będzie prezydentura, jest zdecydowanie zbyt wcześnie. © WOJCIECH KONOŃCZUK

POŻEGNANIE

W śmierci nie ma miejsca na sprawiedliwość...

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego Przyjaciela, kompozytora,
przewodniczącego Rady Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

Edwarda Pałłasza

22 grudnia 2019 odszedł od nas Człowiek niezwykły,
oddany sprawom twórców,
adwokat w sprawach trudnych i złożonych.

Jest mnóstwo powodów,
dla których będzie nam Go ogromnie brakować.

Rodzinie i Bliskim wyrazy współczucia
składają

PREZES, ZARZĄD, RADA I DYREKCJA
STOWARZYSZENIA AUTORÓW ZAiKS

Cypr: kto jest winny w sprawie gwałtu

PATRYCJA BUKALSKA

19-letnia Brytyjka, oskarżona o kłamstwo w sprawie zbiorowego gwałtu, przez pół roku nie mogła opuścić śródziemnomorskiej wyspy. Choć jest już w domu, to nie koniec historii, w której domniemana ofiara stała się domniemaną oskarżoną.

Oskarżono ją o fałszywe zeznania i wprowadzenie w błąd policji. 7 stycznia sąd w Paralimni skazał ją na kilka miesięcy więzienia w zawieszeniu. Gdy przed budynkiem sądu demonstrowały aktywistki organizacji kobiecych, sędzia Michalis Papathanasiou wyjaśniał, że biorąc pod uwagę wiek i zły stan psychiczny oskarżonej, postanowił dać jej „drugą szansę". Pytanie tylko, czy w ogóle miała ona kiedykolwiek szansę na przejrzysty proces i na sprawiedliwość.

Ale – po kolei.

„Parodia sprawiedliwości"

Sprawa Brytyjki (nawet jej imienia nie podano do wiadomości publicznej) wywołała poruszenie na Cyprze i poza jego granicami. W ostatnich dniach zaangażował się w nią szef brytyjskiej dyplomacji, a na Wyspach pojawiły się apele o turystyczny bojkot Cypru (na tę wyspę przyjeżdża co roku ponad milion Brytyjczyków).

Wyrok w zawieszeniu pozwolił dziewczynie na natychmiastowy powrót do domu, a Cypryjczykom dał zapewne nadzieję, że sprawa przycichnie. Jednak obrońcy zapowiadają apelację i walkę o uchylenie skazującego wyroku. Bo choć dziewczyna jest wolna, to wyrok będzie już miała wpisany w życiorys.

Minionej jesieni miała zacząć studia. Tymczasem przez pół roku nie mogła opuścić wyspy, a w więzieniu spędziła znacznie więcej czasu niż mężczyźni, których oskarżyła o napaść i gwałt. Cierpi na zespół stresu pourazowego, lęki i nadmierną senność (jej matka twierdzi, że córka sypia po 20 godzin na dobę).

„Uważamy, że to parodia sprawiedliwości. Ta sprawa była strasznie prowadzona od pierwszego dnia. Bez względu na to, co się stało tamtego wieczora w lipcu 2019 r., ta kobieta jest ofiarą" – komentowała wyrok Susana Elisa Pavlou, szefowa Śródziemnomorskiego Instytutu Gender Studies (Mediterranean Institute of Gender Studies), organizacji pozarządowej zajmującej się prawami kobiet.

Co się stało w Ayia Napa

W tamten lipcowy wieczór ubiegłego roku na komisariat policji w popularnym cypryjskim kurorcie Ayia Napa zgłosiła się młoda dziewczyna. Twierdziła, że została zgwałcona w hotelowym pokoju przez grupę młodych Izraelczyków. Policjanci szybko zatrzymali 12 obywateli Izraela, w wieku od 15 do 22 lat. Potem – po sprawdzeniu m.in. materiału genetycznego z pokoju – pięciu z nich zwolniono.

Z relacji kobiety wynikało, że wcześniej spotykała się z jednym z Izraelczyków; mieli wakacyjny romans. Tamtego dnia, gdy byli we dwoje, do pokoju mieli wpaść jego koledzy. Twierdziła, że kazała im wyjść, ale nie posłuchali: mieli ją siłą przytrzymać na materacu i wielokrotnie zgwałcić. Wszystko to mieli nagrywać telefonami. Natomiast zatrzymani mężczyźni nie zaprzeczali, że doszło do kontaktu seksualnego, lecz twierdzili, że wszystko odbyło się za zgodą dziewczyny – miałby to być zatem seks grupowy.

Dziesięć dni po tym, jak Brytyjka zgłosiła gwałt, poproszono ją o ponowne przyjście na posterunek policji, aby wyjaśnić kilka szczegółów. Poszła sama, sądząc, że chodzi tylko o jakąś formalność. Tymczasem przez osiem godzin była przesłuchiwana przez dwóch policjantów – bez obecności prawnika czy kogoś bliskiego. Wreszcie, w środku nocy, podpisała – jak potem powiedziała, pod presją – oświadczenie, w którym odwołała wcześniejsze zeznania.

Lingwista, który analizował potem tekst tego oświadczenia, uznał, że – sądząc po błędach językowych – nie napisała go osoba posługująca się angielskim jako ojczystym językiem. Czy zostało jej podyktowane? Sąd się tym nie zajmował. Jest tu zatem słowo przeciwko słowu – przesłuchanie nie było nagrywane.

Wycofanie zeznań niczego jednak nie zakończyło, lecz dopiero rozpoczęło: w jednej chwili Brytyjka nie była już ofiarą, lecz oskarżoną o składanie fałszywych zeznań – i w takiej roli trafiła na kilka tygodni do więzienia. Wprawdzie wyszła z niego pod koniec sierpnia, ale musiała oddać paszport i pozostać na wyspie.

Natomiast jej domniemani gwałciciele wyszli na wolność natychmiast – i już następnego dnia byli w domach, w Izraelu. Na lotnisku witano ich jak bohaterów. „To dziwka" – wołali triumfalnie o dziewczynie, która została na wyspie. Nigdy nie zostali już przesłuchani, ich życie zwyczajnie potoczyło się dalej.

PETROS KARADJIAS / AP / EAST NEWS

19-letnia Brytyjka oskarżona o składanie fałszywych zeznań, wraz z matką, w drodze do sądu w Paralimni. Cypr, 7 stycznia 2020 r.

Wyspiarskie klimaty

„Już wtedy w lipcu wiedzieliśmy, że system zawiedzie tę młodą kobietę – mówiła mediom Zelia Gregoriou, założycielka Sieci Przeciwko Przemocy Wobec Kobiet (Network Against Violence Against Women). – Każde zgłoszenie gwałtu jest prewencyjnie traktowane jako zgłoszenie fałszywe. To nie jest wyjątkowa sytuacja". Zelia Gregoriou twierdzi, że wyjątkowe nie jest też zastraszanie kobiet przez tutejszą policję.

Cypr, kraj członkowski Unii Europejskiej, ratyfikował w 2017 r. Konwencję o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet. Ma najwyższy w Europie poziom zgłaszania przypadków przemocy seksualnej na policję (choć nie zwiększa to wcale liczby spraw, które znalazły finał w sądzie; podobny trend widać też zresztą w innych krajach).

Jak to jednak często bywa, problem leży nie w przepisach, lecz w ich egzekwowaniu oraz w zmianie mentalności.

W 2016 r. cypryjski Sąd Najwyższy obniżył karę więzienia dla dwóch gwałcicieli – z 12 do 10 lat pozbawienia wolności – bo uznał, że podczas gwałtu „nie użyto nadmiernej przemocy wobec ofiary, a jedynie gróźb i uderzenia w twarz".

W ubiegłym zaś roku Cyprem wstrząsnęła sprawa seryjnego mordercy – zawodowy oficer zabił w ciągu trzech lat pięć kobiet i dwie dziewczynki (pochodziły z Filipin, Nepalu i Rumunii). Być może ofiar byłoby mniej, gdyby cypryjska policja poważnie potraktowała zgłoszenia o zaginięciu kobiet. Tymczasem miała je lekceważyć, bo chodziło o imigrantki. Koniec końców, do dymisji podał się minister sprawiedliwości. To jednak tylko gest – system zostaje ten sam.

Narodziny kultury protestu

Historia brytyjskiej nastolatki okazuje się więc kolejną kontrowersyjną sprawą. I być może ostatnią kroplą przelewającą czarę goryczy.

Nie chodzi o przesądzanie z góry o winie lub niewinności – fałszywe oskarżenia o gwałt przecież się zdarzają – ale tu znaków zapytania jest wyjątkowo dużo. Przykładowo o nocne przesłuchanie, któremu była poddana straumatyzowana dziewczyna. Czemu było prowadzone tylko przez mężczyzn? Czemu nie zapewniono jej wsparcia psychologa, nie mówiąc już o obecności prawnika? Dlaczego nie wzięto pod uwagę opinii lekarza kryminologa, który uważał, że obrażenia młodej kobiety są zgodne z jej wersją wydarzeń?

Zdaniem cypryjskich aktywistek sprawa 19-letniej Brytyjki pokazuje, że seksizm, mizoginia, stereotypy i mity dotyczące gwałtu nadal są na Cyprze problemem, a kobiety zgłaszające się na policję zbyt często nie są traktowane poważnie. Stąd także demonstracje przed sądem i wyrazy solidarności. Wyrok w zawieszeniu tutejsze aktywistki uznały za „powierzchowne zwycięstwo", bo dziewczyna została przecież uznana za winną. To rezultat „specyficznego sposobu, w jaki policja zajęła się skargą dziewczyny – mówiła prawniczka Argentoula Ioannou, jedna z organizatorek protestów. – Zamiast przeprowadzić dochodzenie, zebrać istotne dowody, zdecydowali się jej nie uwierzyć i skoncentrować wszystkie wysiłki na udowodnieniu, że nie jest uczciwa".

„Sprzeciwiamy się przemocy wobec tej brytyjskiej kobiety i wobec każdej kobiety – podkreślała z kolei Zelia Gregoriou. – Nie mamy na Cyprze kultury protestu, ale widzimy, że w ostatnich miesiącach to się zmienia. Nie będziemy już cicho, kobiety będą głośno".

W dniu ogłoszenia wyroku pod sądem manifestowały nie tylko Cypryjki – przyjechały także kobiety z Izraela. Oraz mężczyźni. Wszyscy wołali: „Nie jesteś sama".

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

KRAKÓW
▪ **niedziela, 19 stycznia, godz. 18**
„Mów całą prawdę, ale nie mów wprost". Gośćmi będą Krystyna Lenkowska, Teresa Bela oraz Zygmunt Mazur. Miejsce: Herbewo, ul. Lubelska 29.

LUBLIN
▪ **sobota, 18 stycznia, godz. 18**
Kawiarenka z Piotrem Sikorą. Miejsce: klasztor oo. dominikanów (ul. Złota 9).
▪ **poniedziałek, 20 stycznia, godz. 18**
„Podwójne życie emigranta". Gośćmi będą Paweł Ziętara oraz Andrzej Szadkowski. Miejsce: Dom Kultury LSM (ul. Wallenroda 4).

WARSZAWA
▪ **sobota, 18 stycznia, godz. 16**
Kawiarenka „Jak być w Kościele i nie zwariować". Gościem będzie Marta Titaniec. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO / EAST NEWS

Pratulińscy grekokatolicy giną w obronie swojej świątyni: reprodukcja obrazu Walerego Eljasza Radzikowskiego z ok. 1875 r.

TRZYNASTU Z PRATULINA

Półtora wieku temu w wiosce nad Bugiem od rosyjskich kul zginęli niepiśmienni chłopi. Przetrwali jednak w sercach i pamięci. Jakim cudem?

ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA

Długo leżeli we wspólnej mogile, do której tamtego styczniowego dnia wrzucili ich carscy żołnierze. Ekshumacje przeprowadzono dopiero 18 maja 1990 r.

Wspomina mieszkaniec wsi Woroblin: – Na ochotnika się zgłosiłem. Pół gapiów przyszło, pół robotników. Ksiądz kazał, żeby po mocnym śniadaniu być, bo bakterie jakieś i nie można jeść podczas kopania. Ale jak wytrzymać cały dzień bez jedzenia?! Nakryli mnie z kanapką, chociaż odszedłem kawałek. Tych kości dużo było i nawalone byle jak. Prawie dwa metry głęboko leżały. Dopóki do nich nie doszliśmy, myślałem, że na darmo kopiemy. I paciorki od różańców znaleźliśmy. Całego nie, tylko paciorki czerwone. Stoły długie poustawiali, białym płótnem przykryte. Lekarze w maskach i rękawiczkach. Pani stomatolog rozpoznała tego najmłodszego. Miał na imię Anicet. Z Zaczopek chłopak był.

Mieszkanka Pratulina: – Sprawnie szło. Kości były świetnie zachowane, bo te 116 lat w biednej piaszczystej ziemi przeleżały. Ludzie ten piach brali do woreczków i torebek. Na lekarstwo. Załatwiłam konia i wóz, a wcześniej, w kilka kobiet, przygotowałyśmy w parafialnym kościele miejsce na skrzynię. Dębowa była, potężna. W środku mniejsza, ocynkowana, i do niej te kości włożyli. A między skrzynie węgiel nasypali. Taki z pieca chlebowego. Jak się piecze i się gasi, i wygarnia się. Bo węgiel wilgoć pochłania. Gdzieś zdjęcie mam z uroczystości: tłum w kościele, otwarte wieko, każdy podchodzi i rękę kładzie. Na skrzyni, nie na kościach.

Półtora wieku temu

Jest 24 stycznia 1874 r. Wyobrażam to sobie tak: wydeptana w śniegu ścieżka biegnie skarpą wzdłuż rzeki. Popod Bugiem, jak mówią tutejsi. Z Zaczopek do Pratulina szybkim marszem można dojść w pół godziny.

Anicet się śpieszy. Niesie ojcu jedzenie. Placki pieczone na kuchennej płycie albo pierogi, albo kartofle ze skwarkami. I okowitę na rozgrzewkę. W stężałym od mrozu powietrzu słyszy dzwony. Wie, co stało się tydzień wcześniej w Drelowie. To ponad 60 kilometrów stąd, ale szeptana wiadomość przebiegła już od wsi do wsi, od chaty do chaty. Unici nie wpuścili do cerkwi urzędowo mianowanego prawosławnego księdza. Było wojsko, była bójka. Żołnierze strzelali. Byli ranni. I nie wiadomo, dokąd zabrali ciała zabitych.

Tu, w Pratulinie, od kilku tygodni nie ma greckokatolickiego proboszcza. Nie ugiął się, jak tylu innych księży, nie przyjął prawosławia. Ale z obawy, że w końcu go złamią, że da zły przykład i złe świadectwo wiary, uszedł do austriackiej Galicji. Zniknął. A może został aresztowany?

Parafianie mają klucze do cerkwi, pilnują jej na zmianę. Mają też kije. Wiedzą, że wojsko carskie wyruszyło już z Brześcia. Boją się, ale postanowili. „Nie chcemy carosławia – powtarzają. – Ten kościół zbudowali nasi ojcowie. Jest nasz. I my go nie oddamy".

Ale są bez szans: naprzeciw nich stoi imperium. To, co rozgrywa się właśnie na Podlasiu, jest jednym z ostatnich aktów dramatu: likwidacji Cerkwi greckokatolickiej w Rosji carskiej, gdzie religią państwową jest prawosławie, a katolicy obrządku wschodniego uznawani są za odszczepieńców.

Tymczasem większość mieszkańców Pratulina to właśnie oni – unici. Nazywani tak od czasu unii brzeskiej z 1569 r., po której część duchownych i wiernych Cerkwi prawosławnej w ówczesnej Rzeczypospolitej połączyła się z Kościołem łacińskim i uznała zwierzchność papieża. Podbijając później kolejne ziemie Rzeczypospolitej, Rosja likwidowała Kościół unicki, wcielając – jeśli trzeba, siłą – duchownych i wiernych do rosyjskiej Cerkwi. Teraz przyszła kolej na unicką diecezję chełmską, liczącą ćwierć miliona wiernych. Do niej należy parafia w Pratulinie.

Krew na śniegu

Anicet przyśpiesza kroku. Z daleka widzi świerki rosnące przy cerkwi. I tłum ludzi. Padną potem różne liczby: jedni powiedzą, że stało 500, a inni, że 800 osób. W siermiężnych kapotach, szubach, baranich kożuchach. W drewnianych sabotach albo plecionych z łyka i słomy łapciach, wsuwanych na filcowe walonki. Wśród futrzanych czapek jest pewnie kilka wełnianych chust.

Świadkowie powiedzą potem, że ludzie mogli odejść. Naczelnik powiatu chciał się podobno dogadać. Pertraktacje trwają od wielu godzin, ale chłopi nie ustępują. Naczelnik posyła po szanowanego przez wszystkich Pawła Pikułę z Derła. Może on przemówi ludziom do rozsądku? To błąd. Unita Pikuła pada na kolana i woła: „Jak pragnę oglądać Boga na skonaniu, tak proszę was, zostańcie przy swojej wierze!".

„Kto się w opiekę odda Panu swemu..." – ktoś zaczyna śpiewać. Ktoś krzyczy: „Zabijajcie! Jesteśmy gotowi!". Ktoś klęka. Słychać strzał.

Pierwszy pada Wincenty Lewoniuk, potem Daniel Karmasz. Cerkiewny krzyż, który trzymał w dłoni, podnosi Ignacy Frańczuk. I jego też trafia carska kula. Wśród sześciu kolejnych zabitych jest Anicet Hryciuk. Raniony w głowę umiera na rękach ojca.

Wyobrażam to sobie tak: jęki, płacz, krzyk. Przekleństwa. Krew na ubitym śniegu, poorane kulami deski świątyni. Ludzie zabierają do chałup 180 rannych. Dziewięć ciał będzie leżeć na ziemi jeszcze przez wiele godzin. Dwa kilometry dalej, w lesie, żołnierze wykopią dół. Wrzucą do niego zesztywniałe zwłoki. Bez pochówku, bez modlitwy, bez krzyża. Przeszukają chałupy i dowiozą ciała kolejnych czterech unitów zmarłych od ran. Końskimi kopytami zrównają mogiłę z ziemią, aby zatrzeć ślady. Zakażą przez kilka dni wychodzić z domów.

Potem unicką cerkiew rozbiorą do fundamentów. Do rzymskokatolickiego kościoła w Pratulinie wprowadzą prawosławnego księdza. Dla jego ochrony zostawią na utrzymaniu parafian trzy roty piechoty. Obłożą kontrybucją okoliczne wsie. Za nieposłuszeństwo wobec cara aresztują wielu unitów; wielu trafi potem na zesłanie, na Sybir.

Na styku

Dziś nie ma już tamtych świerków. Na miejscu tamtej cerkwi stoi przeniesiony skądś XVIII-wieczny kościół. To jest Martyrium, miejsce pamięci i dokumentacji męczeństwa unitów w Pratulinie. W środku półmrok, pachnie trochę drewnem, trochę kurzem. Przez szkło wpuszczone w deski podłogi widać ceglane fundamenty.

Jest tutaj tamten krzyż i tamta dębowa skrzynia. Teraz pusta, bo kości złożono w sarkofagu w kościele parafialnym. Na skrzyni ktoś postawił Akt Zawierzenia Męczennikom. I zdjęcie dziecka, wymodlonego za ich pośrednictwem. Obok leżą karteczki, na których można zapisać prośby, intencje, podziękowania.

Historię unitów przedstawiają plansze pełne dat, nazwisk i reprodukcji dokumentów. Ale ciekawiej opowiada Maria Nitychoruk, przewodniczka: – Czy ja bym przyszła bronić mojego kościoła? – zastanawia się. – Czy wyszłabym z domu, wzywana przez dźwięk dzwonów? Czy stałabym na mrozie, czekając na wojsko? Wiedząc, że może strzelać? Nie wiem.

Nitychoruk tłumaczy: – Tu, nad Bugiem, był środek Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tu od zawsze spotykały się dwa odłamy chrześcijaństwa, które rozpadło się w 1054 r. w Konstantynopolu. Rozłam na Kościół katolicki i prawosławny to rana, która jątrzy się do dziś. Ale w XVI w. właśnie tu próbowano ją uleczyć. W Brześciu Litewskim [dziś Brześć nad Bugiem – red.] sześć diecezji prawosławnych przyłącza się do Kościoła łacińskiego.

Po rozbiorach Rzeczypospolitej w zaborze austriackim Kościół unicki funkcjonuje swobodnie. Natomiast rosyjscy carowie chcą, by unici pozostający pod ich panowaniem „oczyścili" swoją wiarę z łacińskich naleciałości i znów byli prawosławnymi. Po powstaniu styczniowym nacisk staje się mocniejszy. Aż jesienią 1873 r. Aleksander II wydaje ukaz: uniccy księża muszą podpisać dokument lojalności prawosławiu.

– Ta ziemia to katakumby – mówi ks. Jacek Guz, kustosz Martyrium i proboszcz parafii w Pratulinie. – Prześladowania unitów trwały tu prawie 40 lat. Dramaty takie jak u nas rozegrały się w przynajmniej 80 miejscach. Do dziś kopiąc fundamenty czy studnie ludzie natrafiają na kości pomordowanych.

Unici z Podlasia i Chełmszczyzny nie chcą chrztów, ślubów ani pogrzebów w prawosławnej Cerkwi. Wolą uciekać do lasu, chować dzieci po piecach chlebowych czy kurnikach. Wolą zbierać baty od kozaków, którzy plądrują wsie i siłą wprowadzają nowy ład. Wolą miesiącami czekać na jezuitów, którzy – przebrani za kupców czy rzemieślników – w konspiracji przedzierają się z Galicji. Zaszczuci, wysyłani na katorgi, wtrącani ↦

ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA x2

Po lewej: ekshumacja w maju 1990 r. Powyżej: kościół w Pratulinie w miejscu rozebranej przez władze carskie cerkwi, której bronili mieszkańcy (w latach 2009-2012 przeniesiono tu XVIII-wieczny kościół ze Stanina; pełni on dziś funkcję ośrodka dokumentacji i Muzeum Męczenników Podlaskich).

↦ do więzień – unici wolą ginąć, niż przejść na prawosławie.

Wiara

Takich świadectw jest wiele. Weźmy kilka.

Pierwsze: „Od dziecka tam chodziłam, bo moja ciotka opiekowała się tym miejscem. Zrobiła 13 rabatek, dla każdego osobną. Kwiaty sadziła i letnie, i zimowe. Po wojnie ksiądz ogrodził te kilkanaście metrów, a ciotka wszystkim opowiadała, że to miejsce święte. Mówiła, że oni, męczennicy, będą wyniesieni na ołtarze, i że do Pratulina będą przyjeżdżać pielgrzymki z całej Polski. Brała tę ziemię, roznosiła chorym, modliła się. I prosiła, żeby prosić ich o zdrowie. I dużo osób otrzymało tę łaskę, i zgłaszali to do księdza".

Drugie: „Nasz kościelny konający był, coś z żołądkiem miał. Żona już chciała palić gromnicę, ale przyszło jej na myśl, żeby ziemię z tego grobu mu przykładać. I on ozdrowiał".

Trzecie: „W Zaczopkach jedna kobieta była, raka piersi miała. Przykładała tę ziemię. A potem lekarze badanie robią i okropne zdziwienie, że czysto jest i dobrze".

Czwarte: „Od szkolnych lat tę chorobę miałam, szyję taką grubą. Wole tarczycowe. Pretensji nie czułam do Pana Boga, ale jak dorosłam, bardzo chciałam być jak inne. Chodziłam na ten pochówek, modliłam się. I tę ziemię jadłam. Leczyłam się, prawda. Jodyny ze dwa litry wypiłam za rok czasu. Aż lekarz powiedział, że operację trzeba mieć. Myślę: na operację nie zgodzę się. Pielgrzymka jedzie od nas do Częstochowy, pojadę. Dwa tygodnie potem mam sen. Matka Boska przyszła do mnie, bialutka taka, jasna, podotykała moją szyję i leciutko poszła. Pełnia jest – pomyślałam – to przez księżyc tak mi się wydaje. Ale rano patrzę w lustro i nie mam nic. Jak słup 10 minut stałam. A potem w krzyk: mamo, zobacz moją szyję!".

Takich świadectw są setki. Dawnych i całkiem współczesnych. Ludzie mówią, piszą. Pęcznieje segregator, w którym zbierane są wszystkie relacje. Ale bez dokumentacji medycznej żadne świadectwo nie może być uznane za cud.

– Beatyfikacji dokonał Jan Paweł II w Rzymie, 6 października 1996 r. – mówi ks. Guz. – Ale przygotowania do procesu beatyfikacyjnego zaczęły się jeszcze przed I wojną światową. Podstawą było powszechne przekonanie, że 13 unitów zabitych w Pratulinie to byli ludzie sprawiedliwi i religijni, którzy odrzucili przemoc i świadomie oddali życie za wiarę. I że leżą w miejscu, które od pokoleń otaczano czcią. Ale przeszły dwie wojny, potem długie rządy komunistów... Temat wrócił dopiero po 1989 r. W otwartych przez Jelcyna archiwach znalazły się raporty carskich urzędników i żołnierzy. Potwierdziły to, co z dziada pradziada opowiadali tutejsi. Potem trzeba było jeszcze przeprowadzić ekshumacje i sprawdzić, czy ciała unitów naprawdę tam są. I w ten sposób potwierdzić męczeństwo, heroiczność cnót oraz kult szerzący się od samego początku, od chwili ich śmierci.

Woreczki

Ciągnie ludzi do Pratulina. Przybywają w pojedynkę, rodzinami, całymi pielgrzymkami. Na styczniową nowennę, na litanię, na rekolekcje. W Domu Pielgrzyma można kupić biały woreczek z ziemią z miejsca pochówku, żeby potem po ziarenku dodawać ją do herbaty. I książki, żeby poczytać o błogosławionych. Przeglądam kolejną. Wygładzeni, oszlifowani, cukierkowi – nie bardzo przypominają mówiących po chachłacku upartych nadbużańskich chłopów. Ludzi z krwi i kości. Stają się wzorem, ideą radykalnej wiary, materiałem na dewocjonalia.

Oczywiście, jak zawsze musi też być antylegenda. Co tym chłopom strzeliło do głowy? Zostawili rodziny, popili się i poszli. I dali powybijać się jak robaki. Takie głosy też się zdarzają, ale tu ich nie słychać.

Mieszkaniec Woroblina: – Czy ja wierzę? Czasem słyszę, że dziecko gdzieś się urodziło, co nie mogli mieć... Że ktoś tam przetrzeźwiał, co o dno się już obijał. Albo że ozdrowiał ten, co miał już umierać. Że od śmierci przez męczenników uciekł... Ale jaką on miał chorobę, jaka tam prawda, to ja w to nie wnikam. Normalni to byli ludzie, wiadomo, jak to wtedy na wsiach. Bida. Jeden miał dwa hektary, drugi może trzy, trzeci za parobka służył. Dużo dzieci i codzienna harówka. Ale całe życie u nas gadali, że to męczennicy. Że święci. Ja? Ja w kawalerce nie chodziłem tam nigdy. Jak trzeba było, to tego dnia do roboty przy ekshumacji się zgłosiłem. Czy teraz się do nich modlę? No tak. © ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA

WOJCIECH

Bonowicz: *Przedpokój*

Na te święta wszystkim, którym zdążyłem złożyć życzenia, życzyłem... przedpokoju. Przydałoby się każdemu z nas takie miejsce, takie przejście, taka strefa pośrednia – między niepokojem a pokojem. Coś jak antykamera w pałacu albo czyściec w zaświatach: już nie na zewnątrz, a jeszcze nie w środku. Przydałaby się nam taka przestrzeń, w której moglibyśmy być jednocześnie sobą dawnym i sobą nowym: mieć wciąż dawne nawyki, uprzedzenia i lęki, a równocześnie już się ich pozbywać, już wychylać się w stronę zaufania, pojednania i zmiany.

Oczekiwanie pokoju bywa frustrujące – bo prawdziwy pokój przychodzi rzadko, na ogół jako owoc długiej kontemplacji lub gromadzonej przez lata wiedzy. Człowiek chciałby pokoju, ale włącza wieczorem telewizor, przysłuchuje się rozmowie w tramwaju, idzie na zebranie i... Już Pascal trafnie zaobserwował, że nie trzeba huku dział, wystarczy szelest chorągiewki na dachu, skrzyp obracającego się krążka czy uparty brzęk muchy, aby zmącić najpotężniejszą inteligencję i „nie pozwolić duszy działać". Cóż dopiero mówić o wielkich siłach, które pracują na nasze rozproszenie? Polityka to zabawa polegająca na otwieraniu coraz to nowych pudełek z niespodziankami, na nieustannym skupianiu i rozpraszaniu uwagi, na rozpalaniu i studzeniu głów. Już nie jedna mucha, lecz roje much z brzękiem krążą wokół ciebie, bylebyś nie myślał/nie myślała o tym, co mogłoby dać ci choć trochę równowagi (czytaj: radości) i dystansu (czytaj: szczęścia).

Nie namawiam nikogo do politycznego *désintéressement*, do politycznej pasywności. Przeciwnie, także dlatego, żeby uprawiać skutecznie politykę, potrzeba przedpokoju, jakiegoś wewnętrznego zawieszenia broni, zdystansowania się wobec tego, co mną doraźnie steruje. Przedpokój to miejsce, gdzie pogląd się klaruje, opinia szuka stosownych sformułowań, a decyzja dopiero dojrzewa. Gdzie nie pozwalam sobie ani na obojętność, ani na gniew. To właśnie w przedpokoju jestem najbardziej sobą, takim/taką, jakim/jaką ukształtowało mnie życie i równocześnie jakim/jaką chcę tworzyć siebie na przyszłość. Z niczego nie muszę tu jeszcze rezygnować, nic jeszcze nie zostało wybrane, na razie przygotowuję się do skoku.

Są tacy, którzy twierdzą, że to właśnie w tym skoku jesteśmy najbardziej autentyczni. A co, jeśli się mylą? „Najpiękniejsza jest Nike, która się waha", powiada poeta. A ja bym dodał: najprawdziwsza i najbogatsza, w tym sensie, że póki się waha, pozwala, by mieściło się w niej jak najwięcej możliwości. To wtedy najwięcej czuje i najwięcej wie, nie potem, kiedy przychodzi – konieczne, ale jednak – zawężenie.

W przedpokoju nie jestem zdobywcą, lecz pozwalam światu, żeby mnie zajął, to znaczy – zainteresował mnie sobą i wypełnił, jeśli mu pozwolę. Trzeba dobrze rozumieć, co to znaczy: nie chodzi o to, żeby świat wlał się we mnie z całym swoim nieporządkiem. Angielski filozof Simon Blackburn w książce „Lustereczko, powiedz przecie..." (opublikowanej po polsku w przekładzie Tomasza Sieczkowskiego) cytuje jednego z wielkich poetów metafizycznych, Thomasa Traherne'a: „Nigdy nie będziesz cieszył się światem we właściwy sposób, dopóki morze nie zacznie płynąć w twoich żyłach, dopóki nie będziesz przyobleczony niebem, a twoją koroną nie będą gwiazdy; i patrz na siebie jako na jedynego dziedzica całego świata, a nawet więcej, ponieważ żyją w nim ludzie, z których każdy jest jedynym dziedzicem tak jak ty". W tym wspaniałym paradoksie stopione zostały w jedno symbole panowania i pokory, wybrania, które nie prowadzi do próżności, i dumy, która nie owocuje zniszczeniem.

I jeszcze jedno, może najważniejsze. Dobrze, żeby w przedpokoju czekał na nas ktoś, kto nas przytuli. ©

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK

Auschwitz: pytania o pamięć

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT; KONRAD ADENAUER STIFTUNG

27 stycznia 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej zajęli teren niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau, uwalniając ostatnich przebywających w nim więźniów. W 75. rocznicę publikujemy specjalny dodatek, poświęcony dzisiejszym pytaniom o kształt pamięci o Holokauście, którego symbolem jest Auschwitz.
W dodatku:
- Jak pamiętać po 75 latach, gdy coraz mniej jest świadków? Pisze o tym Marek Zając, przewodniczący Rady Fundacji Auschwitz i stały autor „Tygodnika".
- Trauma więźniów często znajdowała odbicie w ich snach. Pewien były więzień wspominał, że w obozie śniła mu się wolność, a na wolności śni mu się obóz... O snach tych, którzy przeżyli, opowie Patrycja Bukalska.
- Jesienią 2019 r. przed sądem w Hamburgu stanął 93-letni były strażnik z KL Stutthof; to jeden z ostatnich już takich procesów. Jak wygląda bilans rozliczeń z ludźmi, którzy tworzyli załogi obozów koncentracyjnych i obozów zagłady? O tym pisze historyk Filip Gańczak.
- Musiało minąć 75 lat, zanim historia „grupy berneńskiej" – polskich dyplomatów ze Szwajcarii, którzy pomagali Żydom, wystawiając im fałszywe latynoskie paszporty – została odkryta dla szerszej opinii publicznej. Jak do tego doszło, opowie Jakub Kumoch, ambasador RP w Szwajcarii, który uczestniczył w rekonstruowaniu tej historii.
- Zachowało się ich mało, np. w Archiwum Ringelbluma jest tylko 76 zdjęć, pokazujących getto warszawskie. O fenomenie fotograficznego świadectwa Holokaustu pisze Piotr Kosiewski.
- Cyfrowa historia: wiele archiwów i miejsc pamięci udostępnia dziś w internecie swoje zbiory. Piotr Litka pokaże, jak się po nich poruszać.

„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 22 stycznia

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FEDERICO GAMBARINI / DPA / PAP

Przed Muzeum Neandertalczyków w Mettmann w Niemczech gości wita neandertalczyk

LUDZIE TACY JAK MY

Zaledwie 100 tysięcy lat temu występowało obok siebie przynajmniej sześć różnych gatunków człowieka. Najnowsze odkrycia sprawiły, że musimy na nowo opowiedzieć historię naszego rodzaju.

ŁUKASZ KWIATEK

Obecnie na świecie żyje przeszło 500 gatunków ssaków naczelnych, należących do ponad 80 rodzajów. Wśród nich – tych wszystkich szympansów, gibonów, lemurów, wyraków, goryli, koczkodanów – znajduje się także rodzaj ludzki, reprezentowany przez zaledwie jeden gatunek – *Homo sapiens*. Ta niezbyt częsta w przyrodzie okoliczność z pewnością przyczynia się do tego, że czasem trudno nam zauważyć własne pokrewieństwo z innymi zwierzętami. Gdyby dziś na świecie występowało kilka czy kilkanaście gatunków człowieka, czyli – nie szukając daleko po naszym drzewie filogenetycznym – tyle, ile istnieje gatunków pawianów i koczkodanów, to pewnie w mniejszym stopniu towarzyszyłoby nam poczucie własnej odrębności i wyjątkowości.

Wiemy już jednak, że taka sytuacja trwa zaledwie od 15–30 tys. lat. Wcześniej, przez ok. 2,5–3 mln lat, występowało obok siebie wiele rozmaitych gatunków człowieka, różniących się wyglądem i stylem życia znacznie bardziej niż jeden gatunek pawiana od drugiego. Nie mamy pewności, kiedy żyło ich najwięcej w tym samym czasie, bo z pewnością nie po każdym zachował się ślad w postaci skamieniałości. Jednak z danych, którymi dysponujemy, wynika, że jeden ze szczytów gatunkowego zróżnicowania ludzkiego rodzaju przypadł zaskakująco niedawno – około 100 tys. lat temu. Niedługo potem w obrębie naszego rodzaju doszło do przełomowych wydarzeń.

Kolebka gatunku

Większość paleoantropologów przyjmuje dzisiaj, że nasz gatunek wyewoluował w Afryce ponad 300 tys. lat temu. Prawdopodobnie nie stało się to w jakimś konkretnym regionie – jak do niedawna myślano o wschodniej Afryce Subsaharyjskiej. Dziś uważa się, że już 300 tys. lat temu wcześni *H. sapiens* rozsiani byli po całym kontynencie.

Początkowo nie byli jego jedynymi ludzkimi lokatorami. Na południu Afryki występował wówczas *H. naledi*. Był to dziwny gatunek, przedstawiciel linii ewolucyjnej, która mogła oddzielić się od naszej nawet 2–3 mln lat temu, u zarania ludzkiego rodzaju. Pod pewnymi względami bardziej przypominał małpy człowiekowate z rodzaju australopiteków niż inne gatunki człowieka. Miał długie zakrzywione palce, jak u au-

stralopiteków, ale jego dłonie były równie zręczne jak u gatunków *Homo*. Chodził wyprostowany, ale był dobrze przystosowany do wspinania się po drzewach. Miał niewielki mózg – o objętości mniejszej niż połowa naszego – lecz bardzo „nowocześnie" zorganizowany. Najmłodsze znane skamieniałości *H. naledi* liczą około 235 tys. lat. Na pewno nie zostawił ich ostatni żyjący osobnik tego gatunku (inaczej musielibyśmy przyjąć, że sam się pochował w głębi jaskini Wschodząca Gwiazda w RPA), ale nie jest jasne, jak długo cały gatunek przetrwał. Być może w interesującym nas okresie – ok. 100 tys. lat temu – w Afryce nie było żadnego gatunku człowieka poza wczesnym *H. sapiens*. W każdym razie nie natrafiliśmy jeszcze na jakiekolwiek dowody przemawiające za innym scenariuszem.

Klasyfikacje gatunkowe są rzecz jasna umowne – od czasów Darwina wyzbyliśmy się przekonania, że porządek naszych układów taksonomicznych oddaje odwieczny, boski plan stwórczy. Darwinizm głosi przecież, że jedne gatunki płynnie przechodzą w inne – a współczesne badania genetyczne, jak się przekonamy, dodają do tej prawdy trochę pikanterii. Dlatego nie powinno nas dziwić, że mieszkańcy Afryki sprzed 300–100 tys. lat, nawet jeśli zaliczamy ich do naszego własnego gatunku, nieco się różnili od przeciętnego współczesnego człowieka (mieli np. nieco bardziej podłużne, mniej zaokrąglone i grubsze czaszki). Jednak nie były to różnice uderzające, ich cechy anatomiczne mieściły się w zakresie dzisiejszego zróżnicowania *H. sapiens*. Gdybyśmy spotkali takiego człowieka na ulicy, nie osłupielibyśmy na jego widok.

Konflikt na Bliskim Wschodzie

To tyle, jeśli chodzi o Afrykę. Co z innymi kontynentami? Najłatwiej zacząć od Australii i obu Ameryk, bo 100 tys. lat temu nie postała na nich jeszcze ludzka stopa.

Europa z kolei opanowana jest przez neandertalczyków. Mieszkają oni wszędzie tam, gdzie akurat nie sięga lodowiec. Ich tereny ciągną się z zachodu (z Półwyspu Iberyjskiego oraz z południa Wielkiej Brytanii, która w tym czasie nie była wyspą), przez Europę Środkową (także południe Polski), Bałkany, Bliski Wschód, aż po środkową Azję. Był to gatunek przystosowany do zróżnicowanych warunków. W górzystych terenach jego dietę stanowiło niemal wyłącznie mięso dużych, trudnych do zabicia zwierząt. Grupy mieszkające w lasach polowały także na mniejsze ssaki i żywiły się rozmaitymi roślinami, a ci, którzy żyli na wybrzeżu, zbierali część zasobów w morzu. Charakterystyczne cechy anatomiczne (m.in. gruba, wydłużona czaszka, z przesuniętym do tyłu czołem, bardzo wyeksponowany łuk brwiowy, masywna jama nosowa, wystające szczęki, z nieco większymi siekaczami niż nasze, oraz krępa sylwetka) ewoluowały u neandertalczyków stopniowo, ale w skamieniałościach pochodzących sprzed 100 tys. lat są już wszystkie widoczne. Nie mielibyśmy problemu z odróżnieniem ich od nas, ale też nie uznalibyśmy, że mamy do czynienia z nieludzkimi bestiami.

JOHN BAVARO FINE ART / EAST NEWS

DENNY, córka denisowianina i neandertalki, żyła około 90 tys. lat temu. Zamieszkiwała Denisową Jaskinię w Górach Ałtaj. Zmarła w wieku 13 lat. Zespołowi Svante Pääbo udało się wyizolować jej DNA z jedynego zachowanego, 2-centymetrowego fragmentu kości.

Bliski Wschód 100 tys. lat temu nie był jednak zamieszkany wyłącznie przez neandertalczyków. Na terenie Izraela można było wtedy spotkać także wczesnych *H. sapiens*. Nasz gatunek miał już bowiem na koncie przynajmniej jedną migrację z Afryki.

Ludzkie migracje z Afryki – gdzie wyewoluował cały rodzaj *Homo* – zapoczątkował *H. erectus* prawie 2 mln lat temu, a przez następne setki tysięcy lat jego śladem poszło wiele innych gatunków, w tym bezpośredni przodkowie neandertalczyków. Wcześni *H. sapiens* tę samą drogę pokonali ponad 200 tys. lat temu i dotarli aż do Grecji – o czym dowiedzieliśmy się w 2019 r. dzięki analizie znalezionych tam skamieniałości, przeprowadzonej przez zespół Kateriny Harvati z Uniwersytetu w Tybindze. Ale 100 tys. lat temu ta populacja już prawdopodobnie wymarła – przynajmniej w Europie – bo nie znaleźliśmy po niej innych śladów.

Inaczej sytuacja wygląda na Bliskim Wschodzie. O tamtejszej obecności *H. sapiens* świadczą datowane na ok. 100 tys. lat znaleziska z jaskini Skhul w masywie góry Karmel oraz z jaskini Qafzeh, położonej niedaleko Nazaretu. Jednak reprezentowana przez te skamieniałości populacja wkrótce potem zniknęła – i została zastąpiona przez neandertalczyków. Nie zawsze bowiem to *H. sapiens* wypierali innych ludzkich mieszkańców z jakiegoś terytorium. Odwrotna sytuacja też się zdarzała – przynajmniej kilka razy.

Dopiero późniejsza migracja z Afryki jakiejś grupy *H. sapiens* – około 60 tys. lat temu – doprowadziła do tego, że nasi przodkowie trwale skolonizowali wszystkie kontynenty i stopniowo wyparli z nich dotychczasowych ludzkich mieszkańców (a wszyscy żyjący dziś na świecie ludzie, poza rdzennymi mieszkańcami Afryki, wywodzą się z tej właśnie udanej fali migracyjnej). Ten powszechnie dziś akceptowany scenariusz ewolucyjny funkcjonuje pod nazwą „pożegnania z Afryką".

Jeszcze bardziej interesująco wygląda sytuacja ludzkości na terenach położonych dalej na wschodzie. Około 100 tys. lat temu w środkowej i wschodniej Azji żyją bowiem przynajmniej cztery bardzo odmienne populacje człowieka: stary dobry *H. erectus*, który wkrótce wymrze, dwa skarłowaciałe gatunki: *H. floresiensis* w Indonezji oraz *H. luzonensis* na Filipinach, a także niezwykle ważna dla nowej opowieści o naszym rodzaju grupa ludzi: denisowianie.

Człowiek z Denisowej Jaskini

W 2008 r. w jednej z jaskiń w górach Ałtaj, którą w XVIII w. zamieszkiwał ↦

rosyjski pustelnik Denis – a od jego imienia miejsce to nazywane jest Denisową Jaskinią – odkryto m.in. maleńką kość palca. Bez wątpienia należała do dziecka. W tym miejscu znaleziono także pochodzące z różnych okresów skamieniałości zarówno *H. sapiens*, jak i neandertalczyków, pojawiły się więc wątpliwości, który z tych gatunków reprezentuje nowy okaz. Aby je rozstrzygnąć, autorzy znaleziska zwrócili się do zespołu badaczy starożytnych genomów z Instytutu Maxa Plancka w Lipsku, którym kierowali Svante Pääbo i Johannes Krause. Wykazali oni, że kość nie należała ani do neandertalczyków, ani do *H. sapiens*, lecz do populacji spokrewnionej z tymi dwoma gatunkami. W ten sposób świat dowiedział się o istnieniu kolejnego gatunku (lub podgatunku) człowieka, nazywanego czasem *H. altaiensis*, częściej zaś po prostu denisowianami.

W tej samej jaskini odnaleziono jeszcze kilka pojedynczych skamieniałości denisowian: fragmentów kości i zębów. Niewiele nam mogły powiedzieć o anatomii tych ludzi, udało się jednak pozyskać z nich bardzo duże ilości materiału genetycznego. A ponieważ już wcześniej zespół Pääba odczytał kompletny genom neandertalczyka (od 2003 r. dysponujemy także zsekwencjonowanym genomem *H. sapiens*), to można już było stwierdzić m.in., że denisowianie byli bliżej spokrewnieni z neandertalczykami niż obie te grupy z naszym gatunkiem.

Badacze zaproponowali taki migracyjny scenariusz: przodkowie neandertalczyków i denisowian oddzielili się od naszej linii ewolucyjnej i trafili do Eurazji (którą wtedy zamieszkiwały także inne formy człowieka, ale nie komplikujmy zanadto) ok. 770–550 tys. lat temu. Po jakimś czasie, ok. 470–380 tys. lat temu, rozdzielają się na dwie populacje: jedna zmierza do Europy – i to z niej biorą się neandertalczycy, a druga ewoluuje w Azji – i to z niej biorą się denisowanie.

Ludzkie krzyżówki

Znane nam dzisiaj skamieniałości denisowian – całą kolekcję stanowi zaledwie kilka fragmentów kości i zębów z Denisowej Jaskini oraz niekompletna żuchwa odnaleziona w Tybecie – liczą od 160 tys. lat (najstarsze) do około 30–50 tys. lat (najmłodsze). Jasne jest więc, że przynajmniej do tego okresu denisowianie nieprzerwanie przebywali w Azji. Jakie tereny zajmowali? Opublikowane w 2019 r. przez Guya Jacobsa i współpracowników badania genetyczne sugerują, że denisowianie w istocie stanowili trzy odrębne genetycznie i mocno oddzielone geograficznie populacje. Pierwsza z nich zamieszkiwała Syberię i być może całą północną wschodnią Azję, w tym Japonię. To tę populację reprezentują skamieniałości z Denisowej Jaskini. Druga grupa występowała w Indonezji, na Półwyspie Indyjskim i w Chinach, być może także na części Nowej Gwinei. Trzecia mieszkała wyłącznie na Nowej Gwinei i okolicznych wysepkach. Rozdzielenie się tych trzech grup nastąpiło około 360–280 tys. lat temu.

Okazało się także, że dziesiątki tysięcy lat później przedstawiciele tych grup denisowian w różnych miejscach globu natrafili na neandertalczyków i utrzymywali z nimi kontakty seksualne. Odnaleźliśmy na to nawet bezpośredni dowód: w 2018 r. zespół Pääba ogłosił, że jedna z kości znalezionych w Denisowej Jaskini, pochodząca sprzed 90 tys. lat, należała do zmarłej w wieku 13 lat dziewczynki – nazwanej Denny – której genom zawierał połowę genów neandertalczyków i połowę denisowian. Ojcem Denny był denisowianin, a matką – neandertalka.

Jak pamiętamy, ok. 30 tys. lat po śmierci Denny także *H. sapiens* wkroczyli do Azji i Europy. Natknęli się tam na różne populacje neandertalczyków i denisowian i również z nimi skrzyżowali. Współcześnie żyjący ludzie, nie licząc rdzennych mieszkańców Afryki, mają w swoich genomach świadectwo tych międzygatunkowych romansów.

Jak pokazują badania przeprowadzone przez zespół Pääba, ok. 1,5–2,1 proc. genów wszystkich współczesnych ludzi, wyłączając rdzennych mieszkańców Afryki, pochodzi od neandertalczyków. Niemal identyczny odsetek neandertalskiego DNA mają mieszkańcy tak odległych regionów jak Europa i Indonezja. To sugeruje, że do skrzyżowania się neandertalczyków i *H. sapiens* doszło gdzieś na Bliskim Wschodzie lub w środkowej Azji, krótko po „pożegnaniu z Afryką". Następnie *H. sapiens* rozeszli się po wszystkich kontynentach, niosąc z sobą część neandertalskich genów.

Genetyczne dziedzictwo denisowian jest u współcześnie żyjących ludzi znacznie bardziej zróżnicowane, co wskazuje na bardziej złożoną naturę kontaktów naszych przodków z tym gatunkiem. U współczesnych mieszkańców Azji znajdziemy 2–6 proc. genów pochodzących od denisowian. Im bardziej na wschód, tym ta domieszka jest większa. Zarazem im więcej genów denisowian posiadają żyjący dziś ludzie, tym mniejsza jest u nich domieszka genów neandertalczy-

TIM EVANSON / FLICKR.COM

„HOBBICI" zamieszkiwali wyspę Flores w Indonezji jeszcze 50 tys. lat temu. Mieli niewiele ponad metr wzrostu i znacznie mniejsze od naszych mózgi. Nie jest jasne, kiedy się tam pojawili i w jaki sposób ich przodkowie na nią dotarli. Wymagało to jednak przekroczenia tzw. linii Huxleya, czyli przebycia kilku kilometrów morza.

ków. Najbardziej „mozaikową” genetycznie współczesną populację stanowią Nowogwinejczycy – posiadają aż 8 proc. „obcych” genów.

Właśnie na Nowej Gwinei denisowianie mogli przetrwać najdłużej. Badania Jacobsa i współpracowników wskazują, że do kontaktów seksualnych pomiędzy *H. sapiens* a denisowianami mogło tam dochodzić jeszcze 30–15 tys. lat temu – a więc już po tym, jak neandertalczycy zniknęli z ostatnich swoich siedzib w zachodniej Europie (co nastąpiło około 40 tys. lat temu)! Ta dolna granica krzyżowania się to zarazem zaledwie kilka tysięcy lat przed wynalezieniem rolnictwa. A zatem kto wie, może na odizolowanej wysepce Pacyfiku lub w zapomnianej części Nowej Gwinei jakieś plemię denisowian żyło jeszcze, gdy mieszkańcy Żyznego Półksiężyca świętowali pierwsze żniwa? Być może bardziej zaawansowane analizy genetyczne przyniosą kiedyś odpowiedź na to pytanie. Raczej nie ma co liczyć na to, że znajdziemy decydujące dowody w postaci skamieniałości denisowian – w ciepłym i wilgotnym klimacie Azji Południowo-Wschodniej ludzkie szczątki rzadko kamienieją, znacznie łatwiej ulegają całkowitemu rozkładowi.

Nie wiemy, dlaczego z terenów, na które wkraczali *H. sapiens*, po kilkudziesięciu tysiącach lat na dobre znikali dotychczasowi mieszkańcy – denisowianie i neandertalczycy. Prawdopodobnie wymarcie akurat tych populacji ma związek z ekspansją naszego gatunku, choć trudno powiedzieć, czy było konsekwencją wojen, które prowadziliśmy z nimi, czy raczej przywleczonych przez nas zarazków, na które ci „rdzenni Europejczycy” i „rdzenni Azjaci” nie byli odporni, albo efektem naszej przewagi kulturowej, pozwalającej odrobinę lepiej prosperować w trudnych przecież warunkach. Nie musi zresztą chodzić o żaden pojedynczy, decydujący czynnik, ale splot wielu wydarzeń i okoliczności.

Niemal na pewno to nie *H. sapiens* odpowiadają za wyginięcie pozostałych gatunków człowieka, które ok. 100 tys. lat temu także zamieszkiwały odległe regiony wschodniej Azji.

Za linią Huxleya

H. erectus to oficjalnie najdłużej występujący gatunek w historii naszego rodzaju. Najstarsze skamieniałości, które go reprezentują, pochodzą sprzed 1,8 mln lat, najmłodsze – zaledwie 117–108 tys. lat. Jego ślady odnajdywano w Afryce i Eurazji, w tym np. na Krecie, na którą musiał dostać się drogą morską. Posługiwał się ogniem, być może także mową, troszczył się o starszych i niedołężnych, wynalazł kamienne toporki ręczne, w swoich miejscach zamieszkania stosował podział pracy, umiał żeglować lub przynajmniej dryfować na tratwach przez wiele kilometrów. Miał mniejszy (o około jedną trzecią) mózg niż *H. sapiens* czy neandertalczycy, ale i tak wielu badaczy widzi w nim pierwszego „pełnoprawnego” człowieka, o umyśle podobnym do naszego.

Na wschodzie dotarł aż do Indonezji – jego najmłodsze ślady znaleziono na Jawie – ale nie jest jasne, czy udało mu się przekroczyć tzw. linię Huxleya, która oddziela faunę azjatycką od australijskiej (ponieważ obszary te zawsze były odcięte morzem, ewoluowały na nich odmienne grupy zwierząt). Za tą linią znajdują się już jednak wyspy Flores i Luzon, na których jeszcze dziesiątki tysięcy lat po zniknięciu *H. erectus* żyły skarłowaciałe formy człowieka, być może wywodzące się z tego gatunku.

H. floresiensis mieli niewiele ponad metr wzrostu i ponad trzykrotnie mniejsze mózgi niż nasze – ich wielkość bardziej przypominała mózgi australopitek ów niż przedstawicieli *Homo*. Nie jest jasne, kiedy i w jaki sposób gatunek ten znalazł się na wyspie. Jego skamieniałości pochodzą z okresu od 160 tys. do około 50 tys. lat. Jego przodkowie – być może cechujący się bardziej „standardowymi” rozmiarami – mogli jednak znaleźć się na Flores setki tysięcy lat wcześniej (najstarsze odnalezione tam kamienne narzędzia mają około miliona lat), a na ograniczonym terytorium przeszli, podobnie jak wiele innych gatunków (m.in. słonie, na które *H. floresiensis* polowali), dobrze znany ewolucjonistom proces wyspowego karłowacenia. Podobnie nie jest jasne, skąd na Filipinach, także zawsze oddzielonych morzem od kontynentalnej Azji, wziął się *H. luzonensis*, czyli drugi skarłowaciały gatunek człowieka, o podobnych rozmiarach jak *H. floresiensis*, po raz pierwszy opisany w 2019 r.

Nie udało się jak dotąd pozyskać ze skamieniałości obu gatunków „hobbitów” starożytnego DNA, dzięki któremu moglibyśmy dokładniej prześledzić ich ewolucyjną historię. Wiemy jednak, że oba gatunki żyły jeszcze ok. 67–50 tys. lat temu, czyli niewiele przed tym, jak na zasiedlone przez nich wyspy dotarli *H. sapiens*. Nie mamy na razie żadnych dowodów na to, by nasi przodkowie kiedykolwiek się z nimi zetknęli – i w jakiś sposób przyczynili do ich wymarcia.

Niemniej oba te gatunki uświadamiają nam, jak złożona była ewolucyjna historia naszego rodzaju, a także jak wiele pozostało jeszcze do ustalenia. Być może wesprze nas w tym wkrótce sztuczna inteligencja: opublikowano już prace, w których to algorytmy doszukały się śladów odrębnych genetycznie populacji. Takie grupy ludzi określa się mianem „populacji widmo”, ponieważ nie istnieją po nich żadne, nawet najmniejsze skamieniałości – świadectwem ich istnienia są wyłącznie pojawiające się u wybranych populacji znanych nam gatunków, wyglądające nieco „obco” geny. Mamy podstawy, by sądzić, że takie populacje widma w różnych okresach krzyżowały się z neandertalczykami i denisowianami, na pewno wiele istniało ich także znacznie wcześniej, a niewykluczone, że przegapiliśmy jakąś, która skrzyżowała się także z *H. sapiens*.

Musimy więc być gotowi na to, że za jakiś czas tę historię trzeba będzie po raz kolejny opowiedzieć na nowo.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

RYAN SOMMA / WIKIPEDIA.ORG

Znalezisko z Rumunii

Choć współcześni ludzie (wyłączając rdzennych mieszkańców Afryki) posiadają 1,5-2,1 proc. neandertalskiego DNA, znamy skamieniałości, które mają go więcej. Na stanowisku Peştera cu Oase odkryto liczącą 40 tys. lat czaszkę *H. sapiens* posiadającą aż 6-9 proc. neandertalskiego DNA. Jej właściciel miał neandertalskiego przodka od 4 do 6 pokoleń wstecz.

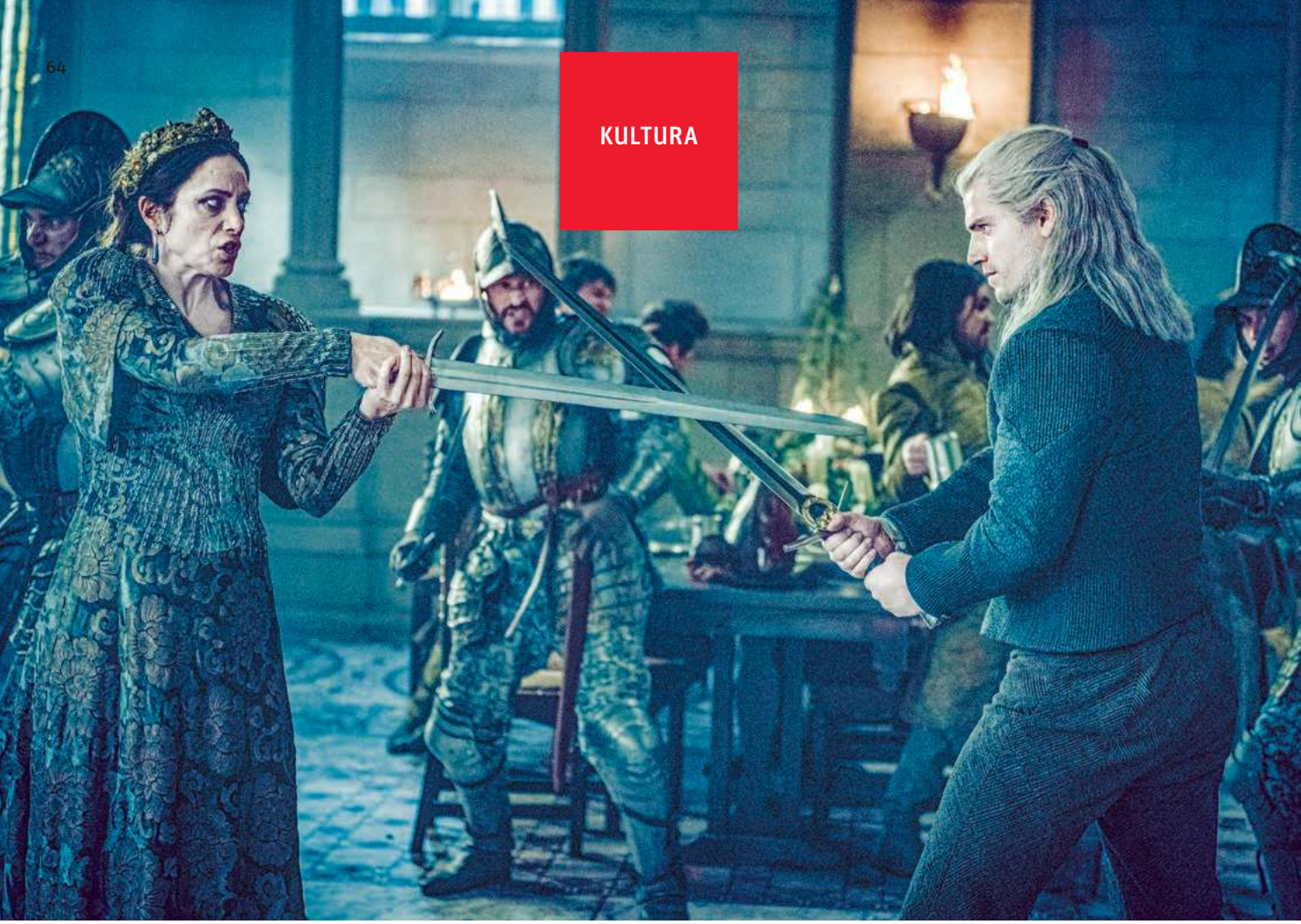

Jodhi May jako królowa Calanthe i Henry Cavill jako Geralt z Rivii podczas próbnego pojedynku w trakcie produkcji serialu „Wiedźmin”

TAKIE PRZEZNACZENIE

„Wiedźmina” w ogóle nie można oceniać w kategorii „dobry serial” – „zły serial”. Nie tą miarą wyrażać trzeba zwycięstwa i porażki naszego Geralta. Tu bogiem jest zasięg.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Byłem wśród tych, którzy nie mogli się doczekać. Odliczałem dni do premiery i mógłbym z powodzeniem przygotować wykres własnego entuzjazmu równoległy do tych nakreślonych przez giełdowe notowania, liczbę pobrań gry czy obliczane przez ekspertów miary ekwiwalentu reklamowego. Łapczywie rzucałem się na każdy strzępek informacji udostępniany przez Netfliksa – wieści o obsadzie, zdjęcia z planu, scenariuszowe przecieki...

Nadszedł wreszcie wyczekiwany dzień. I cóż się wydarzyło? Mój entuzjazm malał z każdą spędzoną przed ekranem minutą. Dość powiedzieć, że w pewnym momencie śledzenie losów Geralta przestało być przyjemnością, a stało się obowiązkiem. Obejrzałem uczciwie wszystkie osiem odcinków „Wiedźmina”. Niektóre nawet dwa razy, żeby zwrócić uwagę na szczegóły albo porównać wersję oryginalną i polski dubbing – zapowiadaną gratkę dla polskich fanów, gdzie w rolę Geralta wciela się Michał Żebrowski, ciepło wspominany z rodzimej adaptacji.

Coś jest z serialem Netfliksa nie w porządku. Akcja pędzi zbyt szybko. Jeszcze się z danym bohaterem nie zaprzyjaźniliśmy, a już nie żyje. Inny jeszcze nie zdążył zamknąć za sobą drzwi od karczmy, a już rozprawia z nieznajomymi o przeznaczeniu.

Serial miał być wysokobudżetową superprodukcją, godnym rywalem „Gry o tron”, której tytuł w recenzjach „Wiedź-

mina" odmieniano przez wszystkie przypadki. Niestety złoty smok niepokojąco przypomina swego nobliwego przodka z polskiej adaptacji, a zamiast epickich bitew dostajemy niemrawe potyczki. W ogóle w pierwszym sezonie trudno się porządnie rozejrzeć po wiedźmińskim świecie i wyrobić sobie na jego temat zdanie. Tu fragment jakiegoś pustego miasteczka, tam rzeź i pożoga w innym, równie opustoszałym. Świat jakby po apokalipsie, choć przecież najgorsze ma w tej historii dopiero nadejść.

Obszerna mitologia zmienia się na ekranie w nienaturalne, fragmentaryczne dziwactwa, rozerwana na strzępy przez wymuszone dialogi. Tu ręka, tu noga, tam wzmianka o jakiejś historycznej postaci czy odległej krainie. Podobne emocje wyraża wielu recenzentów i widzów.

Ale to zaledwie mniej ważny początek. Bo dopiero tu zaczyna się naprawdę ciekawa część wiedźmińskiej historii.

Jak mierzyć popkulturę?

Esej Theodora W. Adorna „O jazzie" (1936) fatalnie się zestarzał. Z wielu powodów. Przede wszystkim w XX wieku zmieniło się nasze postrzeganie kultury popularnej, która zyskała wśród filozofów wielu apologetów. Akademicy uświadomili sobie, że między pogardą dla mas a próbą rzetelnego zrozumienia ich kultury zieje przepaść, że nie da się pogodzić protekcjonalizmu i badawczej ciekawości. Zmienił się także sam jazz, doznając specyficznej nobilitacji i stając się wręcz symbolem „kultury wysokiej", wyrafinowania i klasowych aspiracji („łosoś, jazzowa kolęda" – jak śpiewa klasyk). Dziś, żeby w ogóle zrozumieć esej Adorna, trzeba by wszędzie, gdzie pojawia się „jazz", podstawiać „pop" albo „disco polo".

Adorno nie znosił jazzu i postanowił przelać na papier nie tylko swoje argumenty, lecz – przede wszystkim – wściekłość wywołaną niezwykłą popularnością tego gatunku muzycznego. Jego tyradę organizuje więc bardziej oburzenie niż porządek argumentów. Niesiony gniewem filozof płynie od jednego zarzutu do kolejnego, nie układając ich w tak charakterystyczne zwykle dla niego struktury logicznego wynikania. Choć większość padających w tekście rozpoznań i zarzutów nie przetrwała próby czasu, na marginesie eseju znaleźć można fundamentalne spostrzeżenie, które stanowi dziś w zasadzie *credo* badań nad kulturą popularną: „Jazz nie jest tym, czym »jest« – jego artykulacja estetyczna jest prosta i zrozumiała na pierwszy rzut oka. Istotne jest, do czego jazz służy, i dopiero takie sformułowanie zagadnienia przynosi nam pytania, które wymagają pogłębionych dociekań".

Innymi słowy – kultura popularna wymaga innej miary niż czysto estetyczna. Nie wystarczy z krytycznym namysłem pochylić się nad dziełem, zobaczyć, jak układa się rytm i melodia – czy, w interesującym nas przypadku, fabuła i obraz. Żeby zrozumieć kulturę popularną, a przede wszystkim – żeby ocenić jej jakość – trzeba wziąć pod uwagę mnóstwo czynników znajdujących się poza samym dziełem. Strukturę produkcji i dystrybucji, a także związane z nimi skomplikowane przepływy finansowe. „Porażka" pojedynczego dzieła wcale nie musi być porażką systemu. Dziesiątki „słabych utworów" tak naprawdę składają się na tło, na którym możliwe są przeboje i każdy z nich w jakiś sposób przyczynia się do ostatecznego sukcesu szlagierów. Jazz widziany oczyma Adorna to nie zbiór oddzielnych dzieł, lecz sprawna maszyna wytwórcza, w której poszczególne dzieła, choćby i największe przeboje, są tylko trybikami.

Przede wszystkim należy uwzględnić oczekiwania odbiorców, którzy – jak pisze Adorno – pragną być nieustannie zaskakiwani, zarazem wciąż dostając to samo. Co więcej, odbiorcą kultury popularnej nigdy nie jest jednostka. Chodzi nie o to, by nucić szlagier, lecz by nucić go wspólnie – w grupie, w tłumie, w masie. Dopiero kolektywnie przeżywane rozczarowania i zachwyty czynią dzieło ważną częścią popkultury. Zasięg jest bogiem. „Lepszy" jest utwór, który rozczarował wielu, niż ten, który zachwycił tylko nielicznych. Przebojów nie tyle słuchamy, ile dzielimy się nimi – w samochodzie, u fryzjera, na sylwestrze marzeń albo w telewizyjnej reklamie. Podobnie nie tylko oglądamy seriale, lecz także – a może nawet przede wszystkim – opowiadamy sobie o nich.

Tekst Adorna ma dziś dla badaczy kultury popularnej bardzo ambiwalentny wydźwięk. Wyższościowy ton i powierzchowne potraktowanie jazzu są nieznośne, ale wyrażone intuicje naprawdę stanowią bezcenny zestaw narzędzi dla każdego, kto by chciał lepiej zrozumieć popkulturę. Zarządzanie oczekiwaniami, skomplikowane powiązania i przepływy finansowe, wspólnotowe przeżywanie dzieła... Oto, gdzie powinien szukać każdy, kto chciałby lepiej zrozumieć i ocenić nowego „Wiedźmina".

Zarządzanie ciekawością

Tworzenie serialowych i kinowych przebojów to dziś w coraz większym stopniu sztuka zarządzania oczekiwaniami. Dlatego mierzenie sukcesu zaczyna się na długo przed premierą. 17 maja 2017 r. na profilu facebookowym Netfliksa pojawia się niepozorny, enigmatyczny post. „Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy, od Bramy Powroźniczej". To zdanie otwierające opowiadanie „Wiedźmin" Andrzeja Sapkowskiego – pierwsze, w którym poznajemy Geralta z Rivii. Tyle wystarczy. Wtajemniczeni natychmiast rozpoznają cytat, dział marketingu może chwilę odetchnąć, bo resztę promocyjnej pracy wykonują fani i media, które wizja amerykańskiego serialu na podstawie polskich książek rozgrzewa do czerwoności. Netflix wyraźnie umacnia swoją pozycję w Polsce. Serwis nie zdradza liczby subskrybentów w danym kraju, ale wiele wskazuje na to, że polski rynek – dość trudny między innymi ze względu na pirackie przyzwyczajenia sporej części użytkowników – udaje się Amerykanom całkiem skutecznie oswoić. W tej perspektywie największym sukcesem pierwszych informacji o planowanym serialu wydają się liczne komentarze użytkowników deklarujących chęć zakupu abonamentu.

Według raportu Press-Service z 24 maja 2017 r. w ciągu zaledwie tygodnia ukazało się na temat serialu setki artykułów w prasie drukowanej, internecie i tysiące wzmianek w mediach społecznościowych. Szacowany ekwiwalent reklamowy to co najmniej 4,2 mln zł – tyle Netflix musiałby wydać na reklamę, żeby dotrzeć do podobnej liczby odbiorców. W ciągu siedmiu dni. W samej Polsce! Całkiem niezły start. A przecież podobne fale zainteresowania będą się przetaczały przez media po ujawnieniu każdej kolejnej informacji dotyczącej produkcji.

Nic dziwnego, że Netflix bardzo starannie dawkował wieści z planu i uważnie reżyserował sposób ich podania. Wiadomo już, kto będzie odpowiedzialny za serial. Ogłoszono wyniki castingów: Henry Cavill wcieli się w Geralta! Po każdej informacji rozpoczyna się od nowa ↦

KATALIN VERMES / NETFLIX

↦ cykl komentarzy, dyskusji, domysłów i memów.

Ile zarobi Netflix?

Wbrew pozorom trudno premierę „Wiedźmina" przeliczyć na konkretne zyski dla Netfliksa. Intuicyjną miarą sukcesu wydaje się liczba odbiorców, którzy obejrzeli „Wiedźmina". Ale Netflix niechętnie dzieli się danymi. Serwis opublikował ostatnio roczne raporty dotyczące popularności poszczególnych produkcji w różnych krajach. „Wiedźmin" jest na pierwszym miejscu w Polsce, ale też w wielu innych miejscach na świecie, m.in. w Australii, na Filipinach czy w Niemczech. Na kluczowym rynku amerykańskim ustępuje wprawdzie „Stranger Things", ale jego pozycja jest tam naprawdę silna. Czyli w porównaniu z innymi produkcjami Netfliksa wypada wręcz znakomicie.

Dziwaczna jest jednak metodologia Netfliksa: w swoich rachunkach brał on pod uwagę każdego widza, który obejrzał przynajmniej dwie minuty (!) dowolnego odcinka serialu, ale uwzględniał jedynie pierwsze dwa tygodnie od publikacji na platformie. Skomplikowane, prawda? A w dodatku skalibrowane tak, by wygrywały spektakularne premiery, a nie dobre seriale, które przekonywały do siebie widzów tygodniami, czasem i miesiącami, utrzymując niesłabnącą popularność.

Jak to się przekłada na rywalizację z produkcjami konkurencji? Pewną miarą sukcesu może tu być ranking „najbardziej pożądanych seriali" tworzony przez firmę Parrot Analytics. Ponieważ poszczególne konkurujące platformy mają bardzo różną liczbę użytkowników, autorzy rankingu stworzyli algorytm biorący pod uwagę nie tylko rzeczywistą oglądalność, lecz także chęć obejrzenia danego serialu deklarowaną przez klientów konkurencji. W rankingu przez wiele tygodni królowało wspomniane już „Stranger Things", które niedawno ustąpiło miejsca (niedostępnemu w Polsce) serialowi „The Mandalorian", produkowanemu przez nową platformę Disney+. Teraz ten przebojowy debiutant osadzony w świecie „Gwiezdnych wojen" doznał bolesnej porażki. Ledwie wskoczył na szczyt rankingu – strąca go stamtąd Geralt. „Wiedźmin" okazuje się najbardziej pożądanym serialem na świecie!

KATALIN VERMES / NETFLIX

Książki, gry i akcje

Powiadają, że sukces ma wielu ojców. W tym przypadku ma również wielu beneficjentów. O ile zyski Netfliksa z konkretnej produkcji to sprawa nader skomplikowana, o tyle stosunkowo łatwo zmierzyć, jak na gorączce wokół premiery serialu zarabiają dziś ci, którzy wcześniej położyli podwaliny pod wiedźmińskie imperium.

Andrzej Sapkowski króluje na listach bestsellerów. Zarówno na tej najważniejszej, Amazona, jak i tej najbardziej prestiżowej, „New York Timesa", gdzie „Ostatnie życzenie" Sapkowskiego trafiło do pierwszej piątki, zajmując miejsce obok Johna Grishama i Stephena Kinga. Nieźle, jak na książkę wydaną prawie trzy dekady temu. Oldze Tokarczuk ta sztuka nie udała się nawet w tygodniu otrzymania Nagrody Nobla.

Nie mniejsze zwycięstwa odnotowują twórcy gry, która rozsławiła Geralta na cały świat. Pod wpływem serialu tysiące graczy postanowiły przypomnieć sobie „Wiedźmina 3". Choć obsypana nagrodami gra RPG debiutowała w maju 2015 r., po premierze produkcji Netfliksa wyraźnie wróciła do łask i pobiła kolejny rekord. 1 stycznia grało w nią jednocześnie ponad sto tysięcy osób. To imponujący wynik jak na grę przeznaczoną dla jednego gracza i godne podziwu osiągnięcie dla produkcji sprzed czterech lat – w świecie gier komputerowych to jednak całe wieki.

Najlepsze jest to, że po grę sięgnęli nie tylko wiedzeni nostalgią weterani. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy w serwisie Steam sprzedały się dwa miliony egzemplarzy gry. To więcej niż w okresie jej premiery. Oczywiście CD Projekt RED, producent „Wiedźmina 3", nie jest w całej sytuacji bierny. Graczy zachęca atrakcyjnymi promocjami. A jednak analitycy zajmujący się wskaźnikami sprzedaży gier potwierdzają jednoznacznie, że w ostatnich miesiącach wyraźne wzrosty skorelowane są nie tyle z obniżkami cen, co z kolejnymi informacjami na temat serialu, publikowanymi przez Netfliksa i – oczywiście – z samą premierą. Ilekroć w sieci pojawiały się nowe wieści o produkcji, kolejne tysiące odbiorców sięgały po grę. Jak gdyby wyczekujący serialu fani chcieli w ten sposób nasycić swój głód wiedźmińskiego świata. Mimo krytycznych recenzji efekt nie osłabł także po premierze. Obejrzeliśmy serial – i co dalej? Chcemy więcej! – zdają się mówić fani.

„Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy; od Bramy Powroźniczej..."

Zdjęcie z produkcji serialu „Wiedźmin"

Czy cały sekret nie polega właśnie na tym, że przedsiębiorstwo Wiedźmin S.A. jest dziś po prostu zbyt duże, żeby upaść?

Nic dziwnego, że akcje CD Projektu wciąż zwyżkują. Kapitalizacja rynkowa firmy przekracza już 27 mld zł, co oznacza, że producenta gier wyprzedzają w Polsce tylko PKO BP, PKN Orlen, PZU i Santander. Rzecz niedawno jeszcze niewyobrażalna.

I znów – na wartość akcji z pewnością wpływ miało wiele czynników. Choćby oczekiwanie na kolejną grę studia – „Cyberpunk 2077". Inwestorów z pewnością uspokoiła także ugoda podpisana przez CD Projekt z Andrzejem Sapkowskim, który wcześniej głośno wyrażał swoje rozczarowanie niskimi profitami z sukcesu gry. A jednak wzrosty cen akcji pozostają wyraźnie skorelowane z oczekiwaniem na serial Netfliksa i jego premierą. Aż strach pomyśleć, co by się stało na giełdzie, gdyby ekranizacja z Henrym Cavillem okazała się kompletną porażką...

Tylko czy w ogóle mogła się okazać porażką? Czy cały sekret nie polega właśnie na tym, że przedsiębiorstwo Wiedźmin S.A. jest dziś po prostu zbyt duże, żeby upaść?

Krytycy i fani

Czeslawa ma na głowie długą chustę w kolorze indygo, na szyi zaś czerwone korale, w które powplatano coś w rodzaju niebieskich piór. Siedzi na krępym białym koniu, a wzrok utkwiony ma gdzieś w oddali. Zza ramienia wystają jej rękojeści dwóch mieczy, w charakterystyczny sposób przewieszonych przez plecy. Czeslawa jest wiedźminką. Została nią, gdy jej rodzina miała już dość potworów terroryzujących osadę. To zatem chłopka przemieniona w wiedźminkę. Stąd kontrast między chustą i mieczami.

Tak przynajmniej niecodzienny wygląd Czeslawy wyjaśnia Susannah Grady – ilustratorka i miłośniczka wiedźmińskiego świata. Bo Czeslawa to bohaterka twórczości fanowskiej – OC, czyli *original character:* postać nieistniejąca w kanonie, wymyślona przez odbiorcę dzieła i uwieczniona w amatorskim opowiadaniu, komiksie czy – jak w tym przypadku – na ilustracji. Czeslawa należy do prawdziwego legionu wiedźmińskich OC. Spędziłem całe godziny zbierając materiały i poznając jej mniej lub bardziej udanych towarzyszy: Irka, jednookiego Steffana, Krzysa ze Szkoły Mantikory czy niewysoką, lecz śmiertelnie groźną Franciszkę ze Szkoły Kota.

Oto największy skarb Sapkowskiego, CD Projektu i Netfliksa! Zasób, z którego mogą czerpać naprawdę długo, nie lękając się, że jedna porażka obali całą misterną konstrukcję: to wyobraźnia milionów fanów na całym świecie. Fanów, którzy chcą poznawać i współtworzyć wiedźmiński świat, obcować z nim, wspólnie się nim cieszyć, a także przeżywać rozczarowania. Jak pokazuje przywołana przed chwilą galeria postaci, w służbie swojej ulubionej franczyzy fani chętnie wykorzystają talenty literackie i plastyczne, są gotowi nawet przeglądać słowniki w poszukiwaniu polsko brzmiących imion. (Swoją drogą, może ktoś autorom wszystkich Czeslaw i Krzysów powinien wreszcie powiedzieć, że Geralt i Yennefer to nie są takie zupełnie typowe polskie imiona?).

Tacy fani to w zasadzie gwarancja sukcesu. Serial im się podobał? Kupią książkę i grę, bo chcą więcej. Serial się nie spodobał? Na pocieszenie zrobią kilka questów w „Wiedźminie 3" albo po raz kolejny przeczytają ulubione opowiadanie.

Krytycy nie są jednak tak łaskawi. Zawodowi oglądacze filmów i seriali całkiem zasadnie wytykają najmłodszemu dziecku Netfliksa liczne scenariuszowe i realizacyjne niedoróbki. Wyrazem tych uchybień są stosunkowo słabe średnie oceny, jakie serial zdobywa w serwisach agregujących recenzje, takich jak Rotten Tomatoes. Wprawdzie „Wiedźmin" w ostatnich dniach wczołgał się ponad próg 60 proc., jednak jeszcze niedawno w serwisie zdobiła go niechlubna ikonka zgniłego pomidora, oznaczająca filmową porażkę.

Ale kimże są dzisiaj ci „zawodowi krytycy"? Dawniej ich funkcja była wyraźnie określona. To oni mieli monopol na zabieranie głosu na temat filmów w przestrzeni publicznej. Każdy mógł mieć własne zdanie o kinowych i telewizyjnych premierach, ale zwykły zjadacz chleba zdanie to wyrazić mógł najwyżej u cioci na imieninach. Dziś każdy może być „krytykiem". Zabrać głos na Facebooku, Twitterze, w komentarzu pod artykułem na dużym portalu albo w jednym z dziesiątek przeznaczonych specjalnie do tego serwisów.

Fani „Wiedźmina" ochoczo korzystają z tego przywileju. Niewiele sobie robiąc z zarzutów formułowanych przez zawodowców, przyznają produkcji Netfliksa kolejne punkty i gwiazdki. We wspomnianym Rotten Tomatoes 64 proc. przyznane przez krytyków sąsiaduje dziś z 93 proc. ocen widzów. W IMDb „Wiedźmin" może się poszczycić oceną 8,5 na 10 – najwyższą, jaką kiedykolwiek otrzymała serialowa produkcja własna Netfliksa. Jest to uśredniony werdykt niemal 170 tysięcy użytkowników, którzy postanowili wyrazić swoją opinię. Kolejny rekord i kolejne wielkie zwycięstwo Geralta.

Stać się legendą

„Przeznaczenie" i „stawanie się legendą" to dwa najczęściej powracające tematy dialogów w nowym serialu Netfliksa. Może ten motyw naprawdę kryje w sobie sekret do zrozumienia popkulturowego dzieła? Może przeznaczeniem „Wiedźmina" od początku było stać się legendą? Żadna inna droga w ogóle nie wchodziła w grę. ↦

↦ Historia w serialu jest opowiedziana nieco nieudolnie, ale pisząc to, należy od razu wziąć pod uwagę, jak trudne zadanie stało przed twórcami. Przede wszystkim ekranizacja opowiadań Sapkowskiego miała się stać wstępem do ekranizacji sagi, która jest jednak od opowiadań inna. Widzów trzeba było nie tylko wprowadzić w wiedźmiński świat, ale także przygotować na to, co w nim wkrótce nastąpi. Do kogo adresowana jest w zasadzie ta opowieść? Do tych, co czytali książki? Do tych, co grali w gry? A może w ogóle do szerokiej publiczności niezaznajomionej wcześniej z wykreowanym przez Sapkowskiego uniwersum? Kto jest odbiorcą modelowym komunikatu? Zaangażowany fan tworzący własne dzieła? Przeciętna czytelniczka literatury *fantasy*? Osoba w ogóle nieznająca konwencji? Może nie dało się stworzyć serialu, który byłby dla nich wszystkich? Może dostaliśmy najlepszego „Wiedźmina", jakiego dało się stworzyć?

A może celem nigdy nie było dobre opowiedzenie historii, stworzenie najlepszego „Wiedźmina"? Może twórcy, wiedzeni genialną intuicją wyrażoną po raz pierwszy przez Adorna, wiedzieli doskonale, że w popkulturze opowiada się zawsze tylko fragment historii. Nie chodzi o stworzenie dzieła całościowego, lecz o zawiązanie wspólnoty, podtrzymanie uczestnictwa, zarządzanie zbiorowymi emocjami.

W tej materii niewątpliwie odnieśli sukces. „Wiedźmin" zdominował w tym roku święta, stając się jednym z głównych tematów rozmów przy rodzinnych stołach w wielu polskich domach. A „być tematem" to jeden z największych sukcesów, o jakich marzyć może popkultura. Dawniej największym dostępnym wyróżnieniem było trafienie do kanonu – wyniesienie do rangi punktu odniesienia dla wspólnoty odbiorców i innych dzieł, stanie się źródłem powiedzonek, cytatów i schematów myślowych. Dziś tak rozumiany kanon wyraźnie traci na znaczeniu, a być może w ogóle nie istnieje. Zastępuje go właśnie nieustanne następstwo „tematów". Wczoraj wszyscy komunikowali się aluzjami do „Czarnobyla", dziś nucą balladę Jaskra.

Któż wie, co przyniesie jutro?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Płynna sława

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Nie ma innego polskiego socjologa, na którego powoływaliby się dwaj papieże. Ale trzy lata po śmierci Zygmunta Baumana jego reputacja jest coraz śmielej podważana.

Zygmunt Bauman był i nadal jest najbardziej znanym polskim socjologiem na świecie. Na amerykańskich uniwersytetach pewnie przegrałby konkurs o status klasyka z Florianem Znanieckim, ale w Europie i Ameryce Południowej dzierży palmę pierwszeństwa. Czy na takie uznanie zasłużył? Po jego śmierci 9 stycznia 2017 r. to, co było mówione półgębkiem w murach akademii, stało się krytyką wypowiadaną pełnym głosem. Jej paliwem jest życiorys Baumana, którego on sam nie chciał włączać do dyskusji o swoim dziele. Biografia coraz bardziej wysuwa się przed dzieło socjologa. Wydaje się, że w Polsce niemal w pełni je przysłoniła, współbrzmiąc z bieżącymi nastrojami politycznymi.

Czy w ogóle należy rozliczać dziś Baumana z przeszłości, skoro jej osąd jest tak silnie uwikłany w teraźniejszość? Czy o ocenie tworzonego głównie na emeryturze dzieła ma decydować młodość jego twórcy? Czy Bauman powinien był złożyć samokrytykę i bić się w piersi, żeby zasłużyć na akademicki panteon? Powinniśmy stawiać takie pytania, ponieważ niemal cała późna refleksja społeczna Baumana jest myślą etyczną. Jest wezwaniem do samonaprawy. A ten, kto moralizuje, musi liczyć się z tym, że inni będą testować jego wiarygodność jako świeckiego kaznodziei. „To właśnie działania z wyboru – działania, które się w y b r a ł o i które wybrało się w odróżnieniu od innych działań, jakie także można było wybrać, ale jakich się nie wybrało – wymagają, by je otaksować, zmierzyć i ocenić" – pisał w „Etyce ponowoczesnej" (1993).

Dariusz Rosiak w wydanej niedawno biografii Baumana staje po stronie swojego bohatera jako człowieka poddawanego szeregowi prób. Niewiele dowiemy się z tej książki o wadze prac socjologa, jego instrumentarium pojęciowym czy intelektualnych inspiracjach. Autor składa z fragmentów jego wypowiedzi, wspomnień bliskich oraz rozproszonych dokumentów obraz osoby nieustająco szukającej potwierdzenia własnej wartości.

Marksista i romantyk

Zanim Rosiak zmierzy się z najciemniejszymi smugami na wizerunku Baumana, studzi emocje prywatnymi kadrami z jego długiego życia. Dowiadujemy się, że nie mógł powstrzymać łez po śmierci pierwszej żony, Janiny, która odeszła w 2009 r. Drugiej żonie, Aleksandrze Jasińskiej-Kani, oświadczył się o północy nad jeziorem Como, a potem tańczył z nią walca. W dzieciństwie był przekarmiany przez matkę i wytykano mu otyłość. Wiele lat później to on „karmił ludzi", nie pozwalając nikomu wyjść od niego głodnym.

Po narodzinach bliźniaczek, Ireny i Lidii, kiedy żona chorowała, to on wstawał w nocy do dzieci, co w latach 50. w przypadku mężczyzny musiało uchodzić za wyczyn. Jednak córki zapamiętały go jako ojca nieobecnego, pochłoniętego pracą i trzymającego je od niej na dystans. Przeżywał okresy twórczej niemocy, a najdotkliwszy dosięgnął go w Izraelu, dokąd wyjechał w 1968 r. Dużo wcześniej był żydowskim chłopcem, okrutnie lżonym przez polskich rówieśników. Los oszczędził jego rodzinę w czasie wojny, którą przetrwał na wschodzie – co zresztą niektórzy po latach śmieli mu wypominać. Jakby nawet ucieczka od Zagłady była moralnym przestępstwem.

Problematyczny czas w jego życiu zaczął się w 1944 r., kiedy trafił do moskiewskiej milicji drogowej, która podlegała NKWD. Niedługo potem zgłosił się do armii Berlinga i za udział w bitwie ko-

łobrzeskiej otrzymał Krzyż Walecznych. Gdy ważył się powojenny ustrój Polski, został zrekrutowany do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, militarnej jednostki o zasłużenie złej sławie, powołanej do zwalczania podziemia niepodległościowego, do zastraszania sprzyjającej mu ludności cywilnej i niechętnych Sowietom chłopów. Bauman szybko awansował, po kilku latach był już znany jako „młody major". Żeby tego było mało, jednocześnie pracował dla Informacji Wojskowej, komunistycznego kontrwywiadu. Przez zwierzchników był różnie oceniany, raz jako gorliwy agent, raz jako pracownik krnąbrny. W kontrwywiadzie nie zagrzał długo miejsca, ale z mundurem rozstał się dopiero w 1956 r.

Rosiak raz po raz powtarza, że nie ma dowodów na to, iż sławny kabewiak sam bił, prześladował albo skrzywdził konkretnych ludzi. Podkreślanie braku dowodów nie oznacza, że wybiela tę epokę w życiu Baumana. Domniemywa jednak jego względną nieszkodliwość. Czy niewinność? Na to pytanie dziennikarz nie odpowiada, za to skupia się na rozliczaniu mitów o zamordystycznym majorze, który jeszcze w latach 60. rzekomo miał wykładać socjologię w reżimowym mundurze. W rzeczywistości nie był już w wojsku, mundur dawno przerobił na garnitur, a jego wykłady przyciągały studentów potoczystą formą, a nie ideologiczną treścią.

To jest nie tyle rozgrzeszenie, co próba zrozumienia motywów, mocno osadzona w polskim tu i teraz. Rosiaka bowiem mniej mierzi żołnierz Bauman z czasów stalinowskich niż współcześni „żołnierze" IPN-u i prawicowi moraliści. Podkreśla rolę Piotra Gontarczyka w budowaniu czarnej legendy Baumana, zatrzymuje się nad listem Andrzeja Przyłębskiego, który w 2013 r. pisał o nim do niemieckiego pisma „Information Philosophie", porównując KBW do oddziałów SS, czym nie wprost zarzucił socjologowi jakąś potworną żydowską schizofrenię. Rosiak sięga do dokumentacji zgromadzonej w IPN i na jej podstawie zaświadcza, że Bauman wspierał Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego przy pracy nad „Listem otwartym do Partii", a potem bronił studentów oskarżanych o nieprawomyślność, w tym Adama Michnika i Macieja Czechowskiego. Jego książki z lat 60., zwłaszcza „Kultura i społeczeństwo. Preliminaria", były przedmiotem oficjalnych donosów jako niezgodne z duchem socjalizmu.

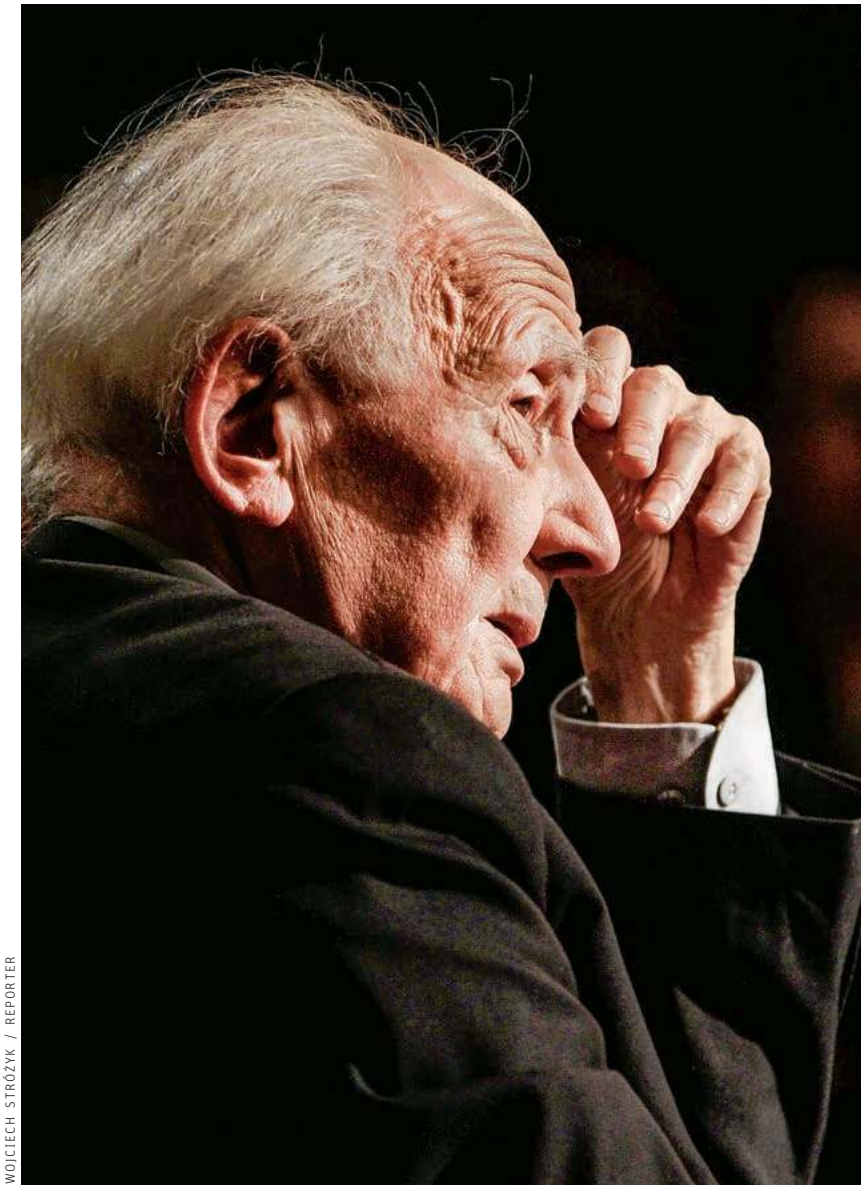

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Zygmunt Bauman, Gdańsk, listopad 2010 r.

Ale Rosiak zatrzymuje się też dłużej przy dwóch czarnych dziurach w biografii socjologa. Pierwszą jest fałszywa świadomość w stosunku do komunizmu, której Bauman nigdy w pełni z siebie nie zrzucił. „Dla niego udział w walce z przeciwnikiem politycznym wynikał logicznie z wyznawanych poglądów. Nie było u niego żadnego hamletyzowania ani rozdarcia wewnętrznego" – wspomina młodego Baumana Jerzy Wiatr, przyjaciel z uniwersytetu. Rosiak ma rację, nie chcąc zaliczyć socjologa do grona rewizjonistów. Ten nie godził się, by intelektualizować jego ówczesną postawę językiem Miłosza ze „Zniewolonego umysłu". Chwytał się za to pism Antonia Gramsciego, włoskiego filozofa i komunisty, aby podobnie jak on ocalić marksistowską utopię dla żywych. Nie da się jednak zamknąć oczu na dramatyczną różnicę między Gramscim, któremu idealizm odebrał wolność i zdrowie, a robiącym karierę wojskową i uniwersytecką Baumanem. Jeśli Gramsci był filozofem poświęcenia się dla idei, Bauman był głosicielem życia pomimo niesłusznej idei.

Druga czarna dziura dotyczy publicznego obrachunku z przeszłością. To nie tak, zauważa Rosiak, że unikał tego tematu. Wszak był o to wielokrotnie indagowany przez dziennikarzy i historyków. Nie dając satysfakcji swoim rozmówcom i wymijająco tłumacząc własne wybory heglowskim rozumem dziejów, szkodził tylko sobie. „Nie mam sobie za złe, że popełniałem jakieś rzeczy niecne, bo ich jako żywo nie popełniałem. Choć ↦

↦ w jakimś sensie przez to, że się nie buntowałem, pomagałem w tych rzeczach pośrednio. I to mam sobie za złe" – mówił w wywiadzie, którego tytułu „Dałem się uwieść" nie mógł ścierpieć. Nieprzekonani brali go za lawiranta. Czy jednak gdyby uderzył się w pierś i odciął zupełnie od komunizmu, zadowoliłby tym gestem przekonanych o jego winie? Najpewniej i tak przychodziliby na jego wykłady z gniewnymi transparentami. Jego samokrytyka uspokoiłaby tylko tych, dla których był wyrzutem sumienia za czasy antysemickiej czystki na uczelniach.

Wyrzuty sumienia

W 1947 r. zaczął studia na Uniwersytecie Warszawskim, od 1964 r. kierował Katedrą Socjologii Ogólnej. Miał dwóch mentorów, których poglądy na socjologię i politykę wzajemnie się wykluczały. Może właśnie dzięki równoległej fascynacji Julianem Hochfeldem i Stanisławem Ossowskim Bauman zaczął szukać własnej drogi w refleksji społecznej. Wyrzucony z uczelni w marcu 1968 r., wyjechał do Izraela, zrzekając się polskiego obywatelstwa. Zależało mu, aby je kiedyś odzyskać. Demokratyczna Polska potępiła gomułkowską nagonkę antysemicką, ale automatycznie obywatelstwa nie oddała, trzeba było formalnie o nie poprosić. Dla Zygmunta i Janiny Baumanów to był kolejny policzek. Nie złożyli wniosku. Socjolog umarł, nie będąc obywatelem Polski. Niektórym z jego krytyków więcej do szczęścia nie potrzeba.

Po posusze, jaką były dla Baumana posady w Tel Avivie i Hajfie (prestiżowy Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie go nie chciał), propozycja profesury na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu w Leeds spadła mu jak z nieba. To była uczelnia prowincjonalna, ale z ambicjami. Dla wizerunku postępowego ośrodka myśli społecznej potrzebowała różnorodności. W latach 70. różnorodność zapewniał właśnie marksista z Bloku Wschodniego, Żyd i wygnaniec. Bauman nie chciał być tam zaszufladkowany jako etatowy sowietolog. Przeistoczył się w zatroskanego Europą postmarksistę, który socjalizm chce naprawiać, a nie obalać. Gdy zabierał z rzadka głos w bieżących polskich sprawach, okazywał się marnym prorokiem. W połowie lat 70. nie wierzył w narodziny opozycji demokratycznej. Leszek Kołakowski porównał go wówczas do Róży Luksemburg, która zużywa całą intelektualną amunicję marksizmu do udowodnienia tez niemających pokrycia w faktach.

Źródła Baumanowskiej krytyki świata wypływają z innej skały niż chrześcijaństwo. Trzeba ich szukać w głębokim rozczarowaniu oświeceniem jako projektem, który nie tylko nie sprostał swojej idei, ale ją skompromitował.

Dla świata Bauman zaistniał po publikacji „Nowoczesności i Zagłady" w 1989 r. Eseistyczna analiza tego, jak nowoczesna Europa wydała na świat Holokaust, wiele zawdzięcza osobie żyjącej w cieniu męża. Janina Bauman, niestety postać marginalna w opowieści Rosiaka, trzy lata wcześniej opublikowała swoje dramatyczne (i doskonale napisane) wspomnienia z czasów wojny. Bo to ona przeżyła Zagładę, a nie jej mąż, który miał szczęście uciec od „ostatecznego rozwiązania".

Paweł Śpiewak twierdzi w rozmowie z Rosiakiem, że „Nowoczesność i Zagłada" to książka zmyślona i unikowa. Pyta: „Dlaczego Bauman, który mógłby doskonale opisać mechanizmy biurokracji komunistycznej, bo ją znał i w niej uczestniczył, pisze o Holokauście, o którym nic nie wie?". Bauman czerpał całymi garściami z dorobku europejskiej socjologii i filozofii, w tym z francuskiego postmodernizmu, od którego zapożyczył też styl formułowania myśli. Laury za „Nowoczesność i Zagładę" zebrał już jako postmodernista, choć nigdy nie widział się w tej szufladce, wystrzegając się etykiety relatywisty. Ale i tak została mu przypięta. Rosiak twierdzi, że Bauman, pisząc tę pracę, a także „Prawodawców i tłumaczy", „Wolność", „Wieloznaczność nowoczesną" i kolejne książki z lat 90., „przyłączył się do nurtu postmodernistycznego niejako z marszu – być może również z kalkulacji". W niektórych kwestiach bliżej mu jednak było do konserwatyzmu, niżby tego chciał. Trudno znaleźć u niego poważną krytykę nierówności płciowych i seksualnych, a globalne migracje znalazły się w centrum jego zainteresowania dopiero w przededniu kryzysu uchodźczego.

Rosiak przypomina, że gdy sława dopadła odchodzącego na emeryturę Baumana, w Polsce był zapomniany. Powroty do ojczyzny miały słodko-gorzki smak. Świat nauki młodej III RP potrzebował Baumana jako uwiarygodnienia w oczach Zachodu. Ten odpłacał się licznymi pochwałami rodzimych akademików. Towarzystwo wzajemnej adoracji jednak się nie zawiązało, gdyż pojednanie z instytucją, która w 1968 r. wyrzuciła go ze swoich murów, okazało się połowiczne. Otrzymał status emerytowanego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, ale pomysł uroczystego odnowienia po 50 latach doktoratu z 1956 r. upadł. To miał być czysty rytuał, ale dla Baumana chyba szalenie ważny, bo potwierdzający, że znów jest swój. Ówczesna rektorka UW, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow w rozmowie z Rosiakiem zaprzecza, że o odmowie przesądziły teksty Piotra Gontarczyka albo jej osobista uraza do Baumana za dawny konflikt z jej ojcem, Józefem Chałasińskim. Dlaczego więc? Bo Bauman nie był wzorem moralnym.

Metafora zbyt pojemna

Jak na ironię, o moralności napisał wiele, szukając na przełomie wieków możliwości jej ocalenia w świecie pozbawionym fundamentu uniwersalnych wartości. Przez ćwierć wieku rozwijał pojęcie płynnej nowoczesności – czasów, gdy egzystencjalna niepewność przegląda się w lustrze nieprzebranych obietnic wolnościowych, składanych współczesnemu człowiekowi zwykle bez pokrycia. Widział w tej erze etap przejściowy między zużytymi hasłami modernizacji a epoką etyki spraw małych, lecz wspólnych. Jego prace o globalizacji i metamorfozach kapitalistycznego wyzysku współbrzmią w niektórych miejscach ze społeczną nauką Jana Pawła II i Franciszka.

Jednak czynienie z Baumana nawróconego na chrześcijaństwo neofity, co Rosiak chyba nieświadomie sugeruje, jest daleko idącym uproszczeniem. Socjolog nawiązywał do papieży, nie było w nim krzty antyklerykalnej zapiekłości. To nie znaczy, że sam wierzył i swoim czytelnikom podsuwał wiarę jako remedium. Źródła Baumanowskiej krytyki świata wypływają z in-

nej skały niż chrześcijaństwo. Trzeba ich szukać w głębokim rozczarowaniu oświeceniem jako projektem, który nie tylko nie sprostał swojej idei, ale ją skompromitował.

Metafora płynności stała się jego wizytówką i pretekstem do banalizowania jego myśli. Bo nagle w książkach i wykładach Baumana wszystko stało się płynne – od miłości po inwigilację. Ta metafora jest pojemna i pasuje intuicyjnie do czasów kryzysów i turbulencji. Mimo to jest zbyt obrotowa i jej eksploatowanie obróciło się przeciw Baumanowi, oskarżanemu o odcinanie kuponów od ledwie kilku swoich wybitnych tekstów. Rosiak i tu Baumana broni, przytaczając głosy znajomych i admiratorów, którzy w kompulsywnym pisaniu (publikował dwie lub trzy książki rocznie) widzieli ściganie się z danym mu czasem i próbę opowiedzenia świata na gorąco.

Jednak nikt nie wróży Baumanowi przyszłości w płynnym świecie, który opisywał. „Nie miał metody, miał po prostu błyskotliwy umysł, ale jego rozpoznania nie są powtarzalne, nie można ich zastosować do interpretacji czegokolwiek" – twierdzi Eva Illouz, ceniona izraelska socjolożka. „Kiedyś był obecny we wszystkich bibliotekach wydziałowych, antropologii, kulturoznawstwa, filozofii i psychologii. Najmniej socjologii, ale też – wszędzie go było pełno. Dzisiaj z tych sylabusów znikł. Nie ma Baumana" – Tomasz Kunz, tłumacz wielu jego książek, nie ma złudzeń. „Był interpretatorem świata, opisywaczem. Między innymi dlatego nie ma uczniów"– uważa pisarz Włodek Goldkorn. Wszystko to prawda, jak i to, że Bauman był – jak podkreśla Rosiak – „przede wszystkim pisarzem, bardziej eseistą niż naukowcem", który nie docenił trwałości wielu struktur i miazmatów zachodniego świata. Wobec globalizacji czuł się bezradny, odmalowując ją w czarnych barwach, nie oferując kierunku zmiany.

Jak możliwy był Bauman jako ubóstwiana (choć nie wysłuchiwana) Kasandra, którą tak szybko odstawiono do kąta? Ta zagadka pozostaje bez odpowiedzi.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Dariusz Rosiak **BAUMAN,** *Mando, Kraków 2019*

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Obraz Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem" powrócił do wyremontowanego budynku muzeum, Kraków, 19 grudnia 2019 r.

Dwie opowieści

PIOTR KOSIEWSKI

„Damę z gronostajem" – zgodnie z nieznośną manierą – umieszczono w ciemnym pomieszczeniu. Punktowe oświetlenie wydobyło wszystkie niedostatki, będące wynikiem nieudolnej konserwacji za czasów Czartoryskich.

Na ponowne udostępnienie zbiorów Muzeum Książąt Czartoryskich trzeba było czekać dziesięć lat. W tym czasie doszło też do istotnej zmiany – w 2016 r. kolekcja została zakupiona przez państwo, a samo muzeum stało się częścią Muzeum Narodowego w Krakowie.

Pytania o sensowność ówczesnej decyzji wróciły przy okazji ponownego otwarcia muzeum w grudniu. I nadal zapewne będą stawiane, bo powody, jakie wówczas podawano, w tym opowieści o groźbie wywiezienia z Polski „Damy z gronostajem" Leonarda da Vinci, należały bardziej do sfery fikcji niż rzeczywistości. Sposób przeprowadzania transakcji i negocjacje, które do niej doprowadziły, mogły budzić wątpliwości.

Dalsze losy środków uzyskanych z tej transakcji i samej Fundacji Czartoryskich będą jedynie mnożyły wątpliwości (sąd przed kilkoma dniami odmówił zgody na likwidację Fundacji). Pamiętając o tym wszystkim, warto podkreślić, że sto milionów euro to dobrze wydane środki. Zakupiono nie tylko obrazy Leonarda i Rembrandta, lecz znacznie większy zbiór: łącznie 86 tys. obiektów, w tym ponad 590 obrazów, rzeźby, grafiki i rysunki, rzemiosło artystyczne, broń, numizmaty oraz liczącą 250 tys. woluminów bibliotekę, z niezwykle cennymi rękopisami.

Co więcej, z funkcjonowaniem Muzeum po 1991 r. (kiedy to zbiory trafiły do Fundacji Czartoryskich) były nieustannie kłopoty. Trwały – nagłaśniane medialnie – spory dotyczące ↦

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Prezentacja odnowionego Muzeum Czartoryskich z nową aranżacją kolekcji, Kraków, 19 grudnia 2019 r.

↦ wypożyczeń zagranicznych „Damy z gronostajem". Jednak nie one były najważniejszym problemem, lecz brak koncepcji na funkcjonowanie samego Muzeum, które tkwiło w kształcie nadanym jeszcze w czasach PRL-u. Do tego doszły kłopoty z rozpoczętym w 2010 r. remontem samego gmachu. W tej sytuacji odkupienie kolekcji przez państwo dawało szanse na jej lepsze publiczne funkcjonowanie, dostępność do zbiorów, ich konserwację i prowadzenie poważnych badań. To były ważne i realne powody, chociaż mniej spektakularne, dla których należało wydać publiczne środki. Zakupowi powinno towarzyszyć też przekonujące wyjaśnienie, czym ma być to muzeum, jakie funkcje pełnić, i w jakim kształcie po remoncie będzie ono funkcjonować.

Przyzwoita przestrzeń muzealna

Dziś już są odpowiedzi przynajmniej na część tych pytań. Historyczny gmach przeszedł gruntowny remont (za projekt przebudowy odpowiadało Biuro Projektów Lewicki Łatak). Jego dziedziniec został przykryty szklanym dachem, a drugie piętro połączono przeszkloną kładką. Wygospodarowano dodatkową przestrzeń na ekspozycję i pomieszczenia biurowe.

Wszystkie te zmiany w historycznych materiach gmachu są w gruncie rzeczy zachowawcze. Podobnie jak sama aranżacja wystawy, przygotowana przez biuro projektowe Art FM, które zaprojektowało m.in. *quasi*-historyczne gabloty wystawiennicze, mające nawiązywać do dawnych, do tej pory częściowo zachowanych witryn z historycznej ekspozycji muzeum.

W wyniku przebudowy powstała przyzwoita przestrzeń muzealna, z infrastrukturą dostosowaną do współczesnych wymagań i oczekiwań zwiedzających, chociaż zaskakujące jest np. użycie tandetnych, udających marmur płycin jako części postumentów czy okładzin ścian. Nie tego typu rozwiązań można by oczekiwać w jednym z najważniejszych miejsc w Polsce. W ogóle trudno porównywać jakość jego architektury z podobnymi interwencjami w historyczną zabudowę: nie tylko z przebudową przez Tadao Andō weneckiej Punta della Dogana na wystawy kolekcji François Pinaulta, ale też historycznych zabudowań browaru w Susch przekształconych przez Chaspera Schmidlina i Lukasa Voellmy'ego na założone przez Grażynę Kulczyk w tej szwajcarskiej wiosce muzeum. W Krakowie dominuje przeciętna poprawność.

Jednak najważniejszym wyzwaniem było nadanie nowego kształtu stałej ekspozycji. Na Muzeum Czartoryskich zasadniczo składają się trzy historyczne kolekcje: Świątyni Sybilli, Domu Gotyckiego i księcia Władysława Czartoryskiego. Po przeniesieniu zbiorów do Krakowa w 1876 r. były one uzupełniane, m.in. nabyto cenną „Św. Katarzynę" Hansa von Kulmbacha. Wreszcie w okresie powojennym ekspozycję uzupełniono o dzieła, które były własnością Muzeum Narodowego, dopełniające zbiory, ale zacierające ich historyczny kształt.

Przygotowując nową ekspozycję zachowano integralność kolekcji, w której znalazły się też odzyskane w 1991 r. obiekty będące prywatną własnością Czartoryskich, znajdujące się wcześniej m.in. w ich

krakowskiej rezydencji. Zrezygnowano z jej dopełnienia o dzieła z innych zbiorów, ale nie zdecydowano się na wyodrębnienie ich historycznych części, a takie pomysły jeszcze nie tak dawno przedstawiono. Przyjęto rozwiązanie pośrednie. Nawiązano do najstarszej, puławskiej tradycji muzeum historyczno-patriotycznego oraz do pierwszej stałej ekspozycji po przeniesieniu zbiorów do Krakowa, w której – według koncepcji księcia Władysława Czartoryskiego i ówczesnego dyrektora muzeum Mariana Sokołowskiego – uporządkowano całość zbiorów według klucza artystyczno-systemowego. A nawet – jak podkreślał Andrzej Betlej, do końca 2019 r. dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, w nowej ekspozycji odwołano się „do sentymentów odbiorców, którzy pamiętają jego dawną twarz".

Dwie opowieści

W efekcie powstała wystawa zorganizowana według dwóch kluczy. Pierwsze piętro zostało podporządkowane opowieści historycznej. Ekspozycję otwierają sale poświęcone Czartoryskim. Następne przedstawiają dzieje Polski od czasów Jagiellonów aż po schyłek I Rzeczypospolitej. W tej opowieści udało się dobrze wykorzystać obiekty zgromadzone od czasów księżnej Izabeli Czartoryskiej – obrazy, miniatury, rzeźby, broń, rzemiosło artystyczne. Wiele z nich to dzieła najwyższej klasy, ale też wiele z nich ma dużą wartość historyczną lub sentymentalną. Były związane (albo kiedyś tak sądzono) z polskimi władcami, wybitnymi politykami, wojskowymi, jak przedmioty wyjęte z grobu Stefana Batorego, tzw. tarcza wróżebna Jana III Sobieskiego i trofea spod Wiednia czy pamiątki z porwania Stanisława Augusta przez konfederatów barskich.

W efekcie powstała opowieść wielowątkowa, w której znalazło się miejsce na wiele nurtów politycznych, postaci i postaw, co jest zgodne z intencją założycielki tych zbiorów. Wystawę dopełniają sale poświęcone sztuce sakralnej, co już jest wątpliwym pomysłem, bo przecież wiara i rytuały były stałym doświadczeniem mieszkańców I RP, a obiekty z nimi związane są obecne w innych częściach wystawy.

Drugie piętro urządzono zaś według klucza artystycznego. Oglądamy sale poświęcone sztuce włoskiego średniowiecza i renesansu czy Europy Północnej XV-XVII wieku. Odrębne pomieszczenie poświęcono „Damie z gronostajem". Twórcy nowej ekspozycji chcieli odejść od modelu muzeum jednego dzieła, lecz stało się ono jego głównym punktem. Co ciekawe, chociaż autor „Mona Lisy" fascynował wielu współczesnych księżnej Czartoryskiej, o czym przypomina trwająca właśnie w wilanowskim pałacu wystawa „Leonardiana w kolekcjach polskich", to ona sama znacznie wyżej ceniła inny obraz ze swej kolekcji – zaginiony podczas drugiej wojny „Portret młodzieńca" Rafaela.

Co więcej, „Damę z gronostajem" – zgodnie z nieznośną manierą – umieszczono w ciemnym pomieszczeniu, a punktowe oświetlenie ma podkreślać wyjątkowość tego obrazu. Jednak paradoksalnie wydobyło wszystkie jego niedostatki, będące przede wszystkim wynikiem nieudolnej konserwacji, gdy znalazł się on w rękach Czartoryskich. To „deska pociągnięta czarną farbą w sposób, w jaki lakiernik pociąga mebel" – pisał o „konserwacji" obrazu wybitny historyk sztuki Marek Rostworowski.

Nie jest to jedyny problem. Przegląd sztuki europejskiej, dzieł wybitnych, jak obrazy tzw. prymitywów włoskich czy arcydzieło Rembrandta „Pejzaż z miłosiernym Samarytaninem", ale też przeciętnych, wtórnych (nie wszystkie nabytki Czartoryskich były trafione), kończy się... Salą Polską, w której prezentowane są przede wszystkim obiekty z puławskiej Świątyni Sybilli. Są tu portrety władców i wielkich dowódców, dawne chorągwie wojskowe oraz szczątki wydobyte z królewskich – i nie tylko – grobów. W tej sali, niczym w kapsule czasu, zgromadzono całe polskie imaginarium. Jednak dla zwiedzającego ten powrót do naszych dziejów po amfiladzie sal poświęconych sztuce europejskiej może być zaskakujący, a nawet niezrozumiały. Nic bowiem nie łączy tych dwóch narracji (Sala Polska jest natomiast doskonałym dopowiedzeniem opowieści o I Rzeczypospolitej, której zostało poświęcone pierwsze piętro muzeum).

Muzeum niedokończone

Twórcy nowej ekspozycji szczęśliwie nie ulegli modzie na multimedia, których obecność w polskim muzealnictwie z nieznanych powodów została uznana za dowód nowoczesności. Jednak w niechęci do objaśniania posunięto się zbyt daleko – w całej ekspozycji poza podpisami pod obiektami niemalże nie ma tekstów. To powoduje, że wiele fragmentów wystawy dla większości zwiedzających, nie tylko obcokrajowców, pozostaje słabo zrozumiałych (nie wystarczy sięgnięcie do audioprzewodników).

Po remoncie znalazło się w muzeum miejsce na prezentację sztuki Dalekiego ↦

Otwarcie Muzeum Książąt Czartoryskich, Kraków, 18 grudnia 2019 r.

ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA GAZETA

↦ Wschodu oraz na czasowe pokazy wybranych obiektów z cennych zbiorów bibliotecznych oraz kolekcji grafik i rysunków (na początek można zobaczyć prace związanego z Czartoryskimi Jana Piotra Norblina). W przyszłym roku zostanie otwarta Galeria Sztuki Starożytnej i sala wystaw czasowych. W planach jest wreszcie przygotowanie ekspozycji poświęconej historii kolekcji, zwłaszcza jej etapowi puławskiemu. To być może przywróci proporcje, bo księżna Izabela Czartoryska nie swojej rodzinie pomnik tworzyła (chociaż ród Czartoryskich w jej kolekcji miał swoje miejsce). Na ostateczny kształt muzeum musimy zatem poczekać.

Polska osobna

Oglądamy dwie odrębne opowieści: o dziejach Polski i sztuce europejskiej. Ten kontrast dodatkowo został wzmocniony przez pominięcie w drugiej części ekspozycji większości dzieł związanych z europejską historią. W Domku Gotyckim obok obrazów Rafaela, Leonarda da Vinci i Rembrandta znalazły się relikwie Laury i Petrarki, krzesło Wiliama Szekspira, pamiątki po Janie Jakubie Rousseau, George'u Washingtonie i Napoleonie. A w jego zewnętrzne ściany wmurowano m.in. szczątki z niszczonego w tym czasie Wawelu, w tym słynne głowy z Sali Poselskiej i antyczne lapidaria przywiezione przez syna Izabeli Adama Jerzego z Rzymu.

Dla Izabeli Czartoryskiej obie perspektywy – polska i europejska, a także historii i sztuki – były ze sobą nierozerwalnie złączone. Co więcej, niezbędne dla rozumienia własnej przeszłości. A ona, jak przypominał napis zamieszczony w Świątyni Sybilli, przyszłości ma służyć. I sposób, w jaki o tej przeszłości opowiadamy, ma dla przyszłych pokoleń podstawowe znaczenie.

© PIOTR KOSIEWSKI

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Doskonały obcy

ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Elii Suleimana, kolejny z nim samym w roli głównej i o sobie, jest jak krzywe zwierciadło, w którym odbija się świat oglądany z perspektywy nieuleczalnej obcości.

Niczym flaner, dandysowaty niespieszny przechodzień, wędruje ES po współczesnym Nazarecie, Paryżu i Nowym Jorku. Pod tymi inicjałami kryje się Elia Suleiman – reżyser, scenarzysta i aktor, zdeklarowany Palestyńczyk z chrześcijańskiej rodziny i obywatel świata, ironiczny obserwator i melancholijny poeta.

W jego „Boskiej interwencji" (2002) dwoje rozdzielonych kochanków z Jerozolimy i Ramallah romansowało bez słów przy izraelskim punkcie kontrolnym, Święty Mikołaj został zasztyletowany przez arabskie dzieciaki, a ostrzeliwana przez żołnierzy IDF kobieta w arafatce unosiła się w powietrzu, odbijając kolejne naboje i tworząc z nich aureolę. W „Tam gdzieś musi być niebo" aż takiej brawury nie ma. Jest krzywe zwierciadło, w którym odbija się świat oglądany z perspektywy nieuleczalnej obcości.

ES nigdzie do końca nie jest u siebie. Epizod nazareński otwiera scena z wielkanocnej procesji prawosławnej: tłum wiernych dobija się do bram kościoła, w którym zabarykadowali się pijani strażnicy. Przewodzący nocnej ceremonii biskup w pewnym momencie nie wytrzymuje nerwowo i sprawia trefnisiom zakulisowe manto. Wymieszane w tej scenie *sacrum* i *profanum* rozpoczyna ciąg scen równie zagadkowych, bo prawie niemych, filmowanych w statycznych ujęciach, stawiających w niewygodnej pozycji tego, który patrzy.

Bohater po śmierci rodziców odwiedza rodzinne kąty, ale po to tylko, żeby zobaczyć, jak bardzo nie rozumie już tego świata. Zdumiewają go drobne oszustwa i dziwactwa, przesądy i wybuchające raz po raz akty przemocy. Z dystansu podpatruje pracę nadgorliwych izraelskich policjantów i rozmodlone afrykańskie pątniczki, a za miastem beduińską dziewczynę idącą po wodę. Nic dziwnego, że w Nazarecie grupa agresywnych młokosów z kijami bejsbolowymi wymija bohatera, jakby był przeźroczysty. Wszak to wzorcowy artysta, traktujący napotkanych ludzi i sytuacje niczym zbieracz osobliwości.

Podobną postawę przyjmuje ES w Paryżu, dokąd udaje się z nowym scenariuszem – jak się okazuje „za mało palestyńskim". Niczym stary lubieżnik z wiersza Miłosza karmi oczy niekończącym się pochodem minispódni-

MATERIAŁY PRASOWE

Elia Suleiman i policjanci

czek albo z hotelowego okna ogląda zachodni świat tuż przed katastrofą: wymarłe jak na rozkaz ulice, ukryte głęboko nocne podbrzusze miasta, to znów, za dnia, wszechobecną konsumpcję i kontrolę. W Nowym Jorku (a właściwie grającym go tu Montrealu) obcość zyskuje jeszcze bardziej karykaturalny wyraz: wszyscy mijani przechodnie, włącznie z małymi dziećmi, są uzbrojeni. Czarnoskóry taksówkarz wyraża zachwyt, że wreszcie spotkał prawdziwego Palestyńczyka – czytaj: bojownika, twardziela, terrorystę.

Nie są to może oryginalne pomysły na przedstawienie „doskonałej obcości". Suleiman potrafi jednak za pomocą filmowego języka autoparodiować wszelkie stereotypy. Kiedy jego bohater, przedstawiciel narodu wyklętego, „pije, żeby pamiętać", albo udaje się do wróżbity, by wyczytać z tarota, „czy będzie Palestyna", upomina się o coś, co inni już zdążyli zdefiniować po swojemu.

Ciekawie dopełnia się ten film z „Synonimami" Nadava Lapida, w których młody izraelski imigrant mierzył się w Paryżu z różnymi wymiarami swojej inności – seksualnym, egzystencjalnym, politycznym. „Tam gdzieś musi być niebo" aż tak wysoko nie celuje. Zarzuca się nawet Suleimanowi, że najnowszym filmem zbyt słabo wpisuje się w rodzimą kulturę oporu. Że mówiąc w wywiadach o „globalnej palestynizacji" (wszędzie dziś narastają społeczne napięcia, a wraz z nimi wzmaga się inwigilacja obywateli oraz zinstytucjonalizowana przemoc), rozpuszcza palestyńską sprawę w kosmopolitycznym sosie. Dla jeszcze innych film Suleimana, kolejny z nim samym w roli głównej i tak bardzo o sobie, pełen autotematycznych wtrętów, porozumiewawczych mrugnięć i żartów środowiskowych, widocznych choćby w obsadzie, zalatuje kokieterią czy wręcz artystycznym narcyzmem.

Reżyser nie chce być jednak uzbrojonym w kamerę Edwardem Saidem – rozpolitykowanym intelektualistą drążącym problem palestyńskiej tożsamości. Inaczej też niż tacy filmowcy jak Hany Abu-Assad, twórca głośnego „Paradise Now" (2005), który dziś flirtuje z amerykańskim kinem komercyjnym, Suleiman pozostaje wierny sobie. A przede wszystkim swojej ekscentrycznej wizji kina – luźnej mozaice scenek i obrazów, którą widz sam musi sobie ułożyć. O ile oczywiście podziela specyficzne i cokolwiek sztywniackie poczucie humoru reżysera i aktora, tak chętnie porównywane do Bustera Keatona czy Jacques'a Tatiego. To właśnie ono nadaje sens temu, co najbardziej absurdalne.

Z pomocą przychodzi także ścieżka dźwiękowa. Suleiman traktuje utwory muzyczne – Leonarda Cohena, Raviego Shankara czy swojej żony Yasmine Hamdan – niczym pomosty spajające na chwilę pokawałkowaną emigrancką rzeczywistość. Kiedy jednak starzejący się ES przygląda się naładowanym hormonami młodym Palestyńczykom i Palestynkom, tańczącym w klubie do hitu „Arabiyon ana" („Jestem Arabem"), który wykonuje libański gwiazdor popu Yuri Mrakadi, znowu nie jest u siebie.

W końcowych dedykacjach musi pojawić się wytęskniona Palestyna, nawet jeśli kiedyś okaże się bardzo daleka od nieba. Są też rodzice i przyjaciele, a wśród nich zmarły przed trzema laty John Berger, autor „Sposobów widzenia". Brytyjski pisarz i krytyk sztuki zauważał, że „związek między tym, co widzimy, a tym, co wiemy, nie może zostać ustalony raz na zawsze". To zdanie mogłoby stanowić motto dla filmu, który nade wszystko jest tragikomiczną pantomimą w poszukiwaniu swojego obrazu i swojego miejsca – nie tylko w niegościnnej przestrzeni, ale i w czasie. ©

TAM GDZIEŚ MUSI BYĆ NIEBO *(It Must Be Heaven) – reż. Elia Suleiman. Prod. Francja/Katar/Niemcy/Kanada/Turcja/ /Palestyna 2019. Dystryb. Aurora Films.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 24 I]

1. Rebelia Jordana Petersona

Dokumentalny, reż. Patricia Marcoccia, Kanada 2018, Canal+ Dokument, 17 I, 21.15

W jaki sposób kanadyjski akademik i psycholog stał się jednym z najbardziej wpływowych intelektualistów XXI wieku? Twórcy filmu, obserwując swego bohatera przez kilka lat, zarejestrowali narodziny medialnej gwiazdy, które nastąpiły wraz z publikacją na YouTubie filmu Petersona wymierzonego w polityczną poprawność.

2. Atlantyk

Dramat, reż. Mati Diop, Belgia/Francja/Senegal 2019, Netflix

Szorstki obraz afrykańskiej rzeczywistości i tkliwa love story. Problem migracyjny, a zarazem niesamowita historia o duchach. Urodzona w senegalskiej rodzinie francuska reżyserka przyjmuje perspektywę nastoletniej mieszkanki dzisiejszego Dakaru, choć głównym bohaterem pozostaje tajemniczy ocean. Film otrzymał Grand Prix na festiwalu w Cannes.

3. Babylon Berlin II

Serial, reż. Tom Tykwer i inni, Niemcy 2020, HBO GO, odc. 1-2, od 24 I

Czy najdroższa produkcja w historii niemieckiej telewizji przebije samą siebie również pod względem jakości? Kolejna odsłona kryminalnej historii z czasów Republiki Weimerskiej coraz bardziej zanurza się w mroki lat 30. XX w. Przez kolejnych dwanaście odcinków będziemy śledzić dalsze losy inspektora Ratha, tym razem badającego sprawę związaną z wielkim przemysłem filmowym.

4. Maiden

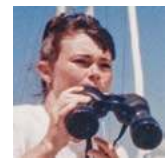

Dokumentalny, reż. Alex Holmes, Wielka Brytania 2018, Cineman, Vod.pl

Rok 1989 to przełom w historii Whitbread Round the World Race. Po raz pierwszy w ekstremalnych regatach wzięła udział drużyna złożona wyłącznie z kobiet, na czele z Tracy Edwards. Dokument odtwarza gorącą atmosferę tamtych wydarzeń, pokazuje walkę ze stereotypami i przybliża sylwetki tych, które odważyły się zawalczyć o swoje marzenia.

JAN

Klata: *Trafne przesłanie*

Nowy rok zaczyna się bliskowschodnimi fajerwerkami, zapowiadając – niestety – moc atrakcji na wszystkich możliwych frontach. Aby pomyśleć o jeszcze nienadeszłym, warto się nieco cofnąć, aby zerknąć z pewnej perspektywy.

Zgodnie z Pierwszym Prawem Macierewicza: nic, co się dzieje, nie dzieje się bez udziału Rosji, wracam zatem do Rosji. Oto w listopadzie na petersburskim lotnisku Pułkowo (kod LED jak Leningrad) ujrzałem coś niespodzianego: ekspozycję propagującą niezwykle istotną postać. Wystawa była dwujęzyczna, najwyraźniej skierowana w świat (i słusznie, gdyż akurat wylatywałem). Plansze opiewały Michaiła Kałasznikowa w stulecie listopadowych urodzin legendarnego wynalazcy. Że AK-47 (automat Kałasznikowa) to arcydzieło, że wynalazek jakich mało (sto milionów różnej maści kałasznikowów sprzedanych na świecie), że wynalazca społeczno-politycznie aktywny („Wielu konstruktorów broni było wybieranych do Rady Najwyższej ZSRR, co świadczy o uznaniu dla ich zasług wobec Ojczyzny"). Że dzięki staraniom niezawodnego Kałasznikowa w jego rodzinnej miejscowości powstała cementownia, szkoła muzyczna, szpital i dom kultury. Że konsekwentnie aktywny politycznie, Kałasznikow dawał się wybierać do różnych ciał, aby polepszyć byt rodaków w latach 1950, 1966, 1970, 1974, 1979, 1984. Przed Państwem Leonardo da Vinci przemysłu zbrojeniowego, laureat kilkudziesięciu orderów, autor frapującej autobiografii o celnym tytule „Moje życie jak krótka seria" (polecam!).

Bezimienni autorzy wystawy biograficznej najlepsze zostawili na koniec. Oto ostatnia plansza opisywała, jak dobiegający dziewięćdziesiątki konstruktor zostawia na Kamczatce kapsułę z przesłaniem dla przyszłych pokoleń. Ponieważ zapewne nie wszyscy Czytelnicy będą mieli okazję odkopać ową kapsułę, pozwolę sobie przytoczyć na Szacownych Łamach treść ponadczasowego przesłania słynnego wynalazcy.

Kałasznikow celnie postuluje: „Moim najważniejszym marzeniem jest, aby świat stał się inny, aby człowiek zmienił swoje postępowanie, żeby duch agresji i gniewu opuścił ludzką naturę.

Marzę o planecie Ziemi zamieszkałej wyłącznie przez braci i siostry, których pokojowe współistnienie byłoby oparte na zasadach współczucia i miłosierdzia. Oby broń nie przerywała ludzkiego życia przed czasem, ale mogła zamienić się w muzealny eksponat, aby miejsce uzbrojenia zajęły narzędzia służące temu, co rozumne, dobre i wieczne". ©

Lektor: *Równa i posilna przyjaźń*

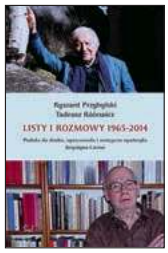

▪ *Ryszard Przybylski, Tadeusz Różewicz*
LISTY I ROZMOWY 1965–2014
Podała do druku, opracowała i wstępem opatrzyła Krystyna Czerni.
Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2019, ss. 612 + ilustracje.

Wielki poeta i jeden z najznakomitszych humanistów, jakich mieliśmy. Niemal pół wieku znajomości, która szybko zmienia się w przyjaźń. A że przyjaciele mieszkają daleko od siebie – Tadeusz Różewicz w Gliwicach, potem we Wrocławiu, Ryszard Przybylski w Otwocku, potem w Warszawie – piszą listy. Tym częściej, im są starsi. „Jest Pan moim poetą w całym tego słowa znaczeniu" – wyznaje od razu Przybylski, a Różewicz rychło się przekonuje, że znalazł czytelnika idealnego, wrażliwego i rozumiejącego, a zarazem człowieka, przed którym może się otworzyć bez obawy, że zostanie zraniony. „Świat zewnętrzny zdziera ze mnie skórę" – skarży się. Mizantropia, dystans wobec środowiskowych hierarchii i przemian we współczesnej kulturze łączą ich na tyle mocno, że od razu zaczynają „rozmowę istotną", czasem niemal intymną. U Różewicza wyczuwa się niekiedy element gry, Przybylski ze swoją naturalną empatią i uczuciowością wydaje się absolutnie szczery.

W 1965 r. Różewicz kończy 44 lata, Przybylski jest młodszy, od początku jednak mamy wrażenie, że słuchamy dojrzałych mędrców. Są sceptyczni wobec wielkich, lecz pustych słów. Pasjonują ich pytania fundamentalne, o sztukę, filozofię i religię, ale ważny jest też konkret, przynoszący radość, jak „jaje z chrzanem", zmrożona wódka i salceson, kolorowy tukan we wrocławskim ZOO i nasturcje w ogródku, ale także ten zły, jak nękające obu choroby. Ważne są miejsca, które ich ukształtowały – Radomsko i Wołyń, pamięć wojny, oczywiście również ludzie – ukochana żona Różewicza, towarzysz życia Przybylskiego i „dziewczyny", uczennice, które go wspierają. Malarstwo Nowosielskiego, którego obaj wielbią. Rosyjska kultura, o której Przybylski, autor książek o Dostojewskim i Mandelsztamie, przyjaciel Nadieżdy Mandelsztam, wie wszystko. No i – jak to między przyjaciółmi – obaj bez ogródek i nadzwyczaj barwnym językiem komentują rzeczywistość...

Prócz listów (z ponad tysiącem przypisów!) otrzymujemy też zapis kilku spotkań Różewicza i Przybylskiego, sfilmowanych przez Piotra Lachmanna i Andrzeja Sapiję, oraz rozmowy Krystyny Czerni z Przybylskim o jego przyjaźni z Nowosielskim i Różewiczem. Wspaniała to jest książka i tonie się w niej bez ratunku – jakże to jednak przyjemne tonięcie! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jedną nóżką

Trzydzieści milionów funtów. Na złotówki to będzie sto pięćdziesiąt milionów z górką. Wiem, że na Zachodzie koszty życia są wyższe, więc książę Harry nie jest aż tak obrzydliwie bogaty, jak by się mogło wydawać oscylującym wokół mediany dwa dziewięćset na rękę. Ale lekkie mdłości mogą jednak ogarnąć człowieka, kiedy słyszy, że posiadacz tego majątku razem z małżonką, która też nie chodzi z pustą sakiewką, deklaruje przejęty swoją odwagą, iż będzie się starał „dążyć do finansowej samodzielności". Ponieważ jedyna praca, jaką dotąd znali, to obnoszenie po świecie własnej osoby, zarejestrowali znak towarowy Sussex Royal – żeby pod tą marką sprzedawać ubrania i organizować akcje charytatywne oraz usługi takie jak, państwo wybaczą, ale to nie dowcip, „grupy wsparcia emocjonalnego".

Jest w systemach dziedzicznego przywileju rys szekspirowskiego okrucieństwa: drugi syn króla (albo króla *in spe*) jest powoływany na świat jako zapasowy dziedzic, a z chwilą kiedy pierworodny sam spłodzi syna, staje się z punktu widzenia dynastii zbędny. Mógłby równie dobrze zdechnąć w rowie, żeby zacytować ambitną, niedotrzymaną jednak obietnicę premiera Johnsona. Patrząc na niedawno opublikowane oficjalne zdjęcie królowej Elżbiety z Karolem, Williamem i George'em (czyli trzema przyszłymi królami) mógł Harry sobie uświadomić, że jedno to rodzina biologiczna, w której wszystkie dzieci są potencjalnie równe. A drugie to rodzina królewska, byt osobny, symboliczny, w którym jeśli nie rośniesz na głównej gałęzi, to cię po prostu nie ma. Może dla świętego spokoju dostaniesz pałac, paziów i pakiet drugorzędnych zadań. W zamian jednak zakładasz gorset oczekiwań i ograniczeń, które w dzisiejszych czasach egzekwują media. Wprawdzie same wulgarne i hołubiące kołtuna, ale zaskakująco solidne jako stróże wysokiej etykiety.

Uśpieni wielkością obecnej królowej, istoty zaiste nadzwyczajnej, oby żyła w zdrowiu jak najdłużej, zapominamy, że tak wcale być nie musi – gdyby była ona, dajmy na to, próżną gęsią, to dyskusje o sensie utrzymywania monarchii wyszłyby już dawno z marginesów debaty publicznej. Książę Karol, w przeczuciu, że pod jego berłem monarchia straci elżbietański nimb, już przebąkuje, że chciałby odchudzić królewski dom – poddani niekoniecznie będą musieli łożyć na aż tak liczne grono „royalsów". Czy można się więc dziwić, że Harry w poczuciu zbędności postanowił się wypisać?

Sęk w tym, że wypisał się... ale tak troszeczkę. Zamieszka w Kanadzie i nie będzie już przecinał tylu wstęg, ale nie zanosi się, by od razu zrezygnował z kieszonkowego od tatusia (na swoje i synów wydatki Karol ciągnie czynsze z dzierżawy 500 km kwadratowych ziemi w Kornwalii). Będzie więc Księciem Jedną Nóżką. Jakież to arcyludzkie. Znaczne zasoby energii i pomysłowości przeznaczamy na to, żeby być trochę dziewicą, częściowo w ciąży. Bywamy poszczący do południa, naturalni z pudełka, bez zabezpieczeń, ale ostrożni.

Do dyskontów już dotarła fala roślinnych zamienników mięsa nasyconych syntetycznym enzymem, który daje w ustach posmak krwi. To „coś", co nareszcie pozwala mózgowi weganina poczuć pierwotną mięsożerną przyjemność. Kiedyś nie umiałbym się z tego cieszyć, ogarnięty tanim rygoryzmem, który kazał mi szydzić z bliźnich opowiadających o dietach – każda w sposób sprzeczny z poprzednią miała im pozwolić jeść prawie wszystko, ale stracić wagę lub zachować zdrowie. Ostatnio mój przyjaciel stosuje teorię okienek żywieniowych – w uproszczeniu można jeść, co dusza zapragnie, byle wedle określonego reżimu czasowego – po angielsku to się nazywa Intermittent Fasting, czyli post przerywany... tu postawmy kropkę, żeby nie kalać łamów prostacką grą skojarzeń.

A może tak być musi, w końcu ileż kuchennego artyzmu niesie tradycja wyrafinowanych dań postnych w każdej z kultur Europy. Albo udających coś lepszego – czy, co bardziej karkołomnie, rzeczy wykwintnych podanych tak, by sugerować szlachetną prostą biedę. Kiedy uczono mnie, żeby wstawać od stołu zawsze lekko nienajedzonym, buntowałem się, w umyśle dziecka wydawało mi się to nielogiczne: przecież po to szedłem jeść, żeby napełnić brzuszek. Dziś wiem, że w niecałkowitości nasycenia jest zawarta obietnica przyszłego posiłku. Głód, z jakim wstajemy od obiadu, jest kuponem na kolację za parę godzin. Połowiczna zmiana to wyraz nadziei, że jeszcze chcemy ją kiedyś dokończyć. ©℗

Obecna zima, bądźmy szczerzy, jest kpiną. Pewna część mnie tęskni za solidnym mrozem, bo to pretekst, żeby nareszcie zrobić parę potraw tłustych, sutych, pachnących świńskim sadełkiem i dietetyczną herezją. Ostatnio, uznając, że temperatura około zera daje mi częściowo wolną rękę, wróciłem do jednej z prostszych guilty pleasures, czyli ziemniaków zapiekanych w maśle i śmietanie. Wbrew nazwie potrawa składa się przede wszystkim z masła. Musimy grubo wysmarować nim dno i boki formy do pieczenia. Kroimy ziemniaki (odmiany raczej ścisłej) na plasterki ok. 2 mm grubości, układamy dwie warstwy „w dachówkę" i wtykamy w szpary i na wierzchu szczodre kawałeczki masła. Czasem dodaję parę krążków cebuli, a na wierzch tarty parmezan albo jak się uda, to ser z pomarańczową skórką typu Saint Marcelin. Jedna z uczestniczek naszej facebookowej grupy Smaki dodała też plasterki selera – to na pewno pasuje. Potem zalewamy paroma łyżkami śmietanki. Sól i pieprz jak dla mnie wystarczą. Piecze się to krótko, ze dwadzieścia minut, jeść trzeba gorące, kiedy ziemniaki przesycone masłem są jedwabiste i mają cudowny posmak lekko przyrumienionego tłuszczu i białka. A jakie są wasze guilty pleasures, których już nie robicie, bo jest nie dość zimno?

PAWEŁ BRAVO

MOKRO OD SPODU

W Wenecji piękno otacza człowieka w pełnym obrocie 360 stopni na piętach wokół osi własnego ciała. Szczególnie zimą.

PAWEŁ BRAVO

MIRCO TONIOLO / ROPI / ZUMA PRESS / FORUM

W innym mieście poświęcilibyście temu budynkowi parę minut. Lekki, a jednak dający wrażenie stateczności, zrównoważony, ale nie nudny, powściągliwy w białym marmurowym detalu, lecz z daleka mówiący o bogactwie. Jacopo Sansovino jeszcze nie był sławny, kiedy zaprojektował go w 1532 r. – już jednak zapowiadał się na mistrza. O dwa kroki stąd pobudował potem, w trakcie długiej karie-

ry, kilka bardziej fascynujących budynków, w takim natłoku więc mało kto ogląda ten pałac. Sam, kiedy jeszcze jako turysta pływałem Canal Grande, nigdy nie zaszczyciłem go dłuższym spojrzeniem, cały wychylony z niecierpliwą ciekawością w stronę kościoła La Salute, tuż zaraz na drugim brzegu. A także w oczekiwaniu obłędnie pięknych widoków basenu św. Marka przy następnym przystanku wodnego tramwaju.

Stoi więc Ca' Corner turystycznie niedopieszczony, pełni za to sumiennie obowiązki siedziby weneckiej prefektury, czyli po naszemu: starostwa powiatowego. Służy zresztą rozmaitej władzy już od czasów, kiedy siedział w nim namiestnik wiedeńskiego cesarza – przez okres, kiedy Wenecja była pod tym samym berłem, co Kraków. Przez krótki okres, niestety. Nie wypada nam wzdychać za ciemną nocą zaborów, ale warto pamiętać, że przynajmniej część Polaków jadąc w tamte strony jest troszkę u siebie. W każdym razie bardziej u siebie, niż gdyby jechali do Wilna, Chandry Unyńskiej czy gdzieś na kresowe moczary.

Atlantyda i zombie

Zgromadzeni w zeszły wtorek w starostwie urzędnicy obradowali, kto ma odpowiadać za naciśnięcie tutejszego atomowego guzika, czyli kto zarządzi włączenie systemu grodzi i zapór, nazwanego w przypływie biurokratycznej pychy „Mojżeszem". Jest bowiem nadzieja, że zanim nadejdzie następny megaprzypływ, na który nałożą się zimowe wiatry tłoczące jeszcze więcej wody z morza do laguny, całe to żelastwo będzie już w stanie gotowości. Powód przyspieszenia prac i frenetycznych obrad wszyscy pamiętamy – w listopadzie przytrafiły się trzy katastrofalne „wysokie wody", z czego największa miała 187 cm ponad umowny punkt lagunarnej równowagi. Co nie oznacza, że aż tyle wody wlało się w miasto; na placu św. Marka powódź sięgnęła metra ponad poziom bruku, ale i to wystarczyło, by w świat poszły dramatyczne, choć efektowne zdjęcia i doniesienia o stratach.

Gdyby któryś ze zgromadzonych wyjrzał tydzień temu przez boczne okno Ca' Corner, mocno by się zdziwił i poczuł ironię sytuacji, widząc bezużyteczne łodzie leżące bokiem na wklęsłym dnie kanału, pokrytym śliskim czarnym mułem. Tego bowiem dnia poziom wód spadł do minus 50 cm, wartości równie rzadko spotykanej, co tamta listopadowa fala, i mnóstwo bocznych kanałów po prostu przyschło. Tych jednak zdjęć raczej nie zobaczyliście w wieczornych wiadomościach i kanałach społecznościowych – nie tylko dlatego, że początek tego roku obfitował w znacznie bardziej wstrząsające widoki i wiadomości. Wenecja jest jak prawdziwa *drama queen* (skądinąd to niesprawiedliwy termin, mężczyźni są równie biegli w zarządzaniu histerią): potrafi starannie wyreżyserować wzruszenie świata nad swoim nieszczęściem. ↦

↦ Pokazać światu upadek i niedolę, ale zachować przy tym godność i mnóstwo przewrotnego wdzięku. Kiedy tak zachowuje się przesadnie umalowana diwa na deskach opery, wszyscy wiemy, że to tylko konwencja. Lecz gdzie jak gdzie, ale w Wenecji trudno jest określić, gdzie kończy się spektakl.

Zalane chodniki, ludzie brodzący po uda, podtopione kawiarniane stoliki – to wszystko ma majestat grozy, budzi lekki podziw. Obnażone, obleśnie błotniste i usiane śmieciem kanały to – przeciwnie – coś żałosnego. Szumne słowa o mieście walczącym od zawsze z kapryśnym żywiołem w takich chwilach wydają się mocno na wyrost. Wenecja pod wodą to mała Atlantyda, Wenecja bez wody to zombie, organizm, z którego odessano życie.

Najlepsza pora

Zresztą z tym żywiołem to nie przesadzajmy. W listopadzie padł rekord na skalę połowy stulecia (ostatnio tak było w latach 60. XX w.), ale mniejsze podtopienia, takie do pół łydki, to w tym mieście chleb powszedni. Można wbić w grząski grunt tysiące drewnianych pali i one wytrzymają kilkaset lat jako fundamenty wielopiętrowych pałaców. Można ściągnąć najlepszych inżynierów z Holandii, żeby kopali na lądowym zapleczu sieć kanałów i zbiorników, które niwelują wiosną wielki dopływ wody z rzek wpadających do laguny – sieć tak sprytną, że nawet XX-wieczni hydrolodzy wyposażeni w ciężki sprzęt i symulacje komputerowe musieli uznać wyższość tamtych XVII-wiecznych rozwiązań. Można wykonywać jeszcze setki innych czynności, które pomogą uchronić się przed najgorszym, ale to miasto i tak stoi w miejscu pozbawionym sensu, od kiedy ustała potrzeba ochrony przed najazdem łupieżców, i za ten bezsens zawsze będzie płacić tym, że ma mokro od spodu.

A *acqua alta*, byle nie przesadnie wysoka, da się nawet świetnie sprzedać jako atrakcja dla turystów, wszak szczyt „zwyczajnej" fali, który utrudnia turyście spacer czy zmusza sklepikarzy do zamknięcia budy z pamiątkami, trwa zazwyczaj kilkadziesiąt minut. Atrakcja o tyle cenna, że zdarza się głównie w zimie, w okresie, kiedy poza końcówką karnawału robi się tu pustawo i ruch turystyczny wyraźnie przymiera. Wtedy nie tylko rozległe kwartały poza głównymi szlakami i z dala od głównych atrakcji są nawet w dzień prawie bezludne. Pamiętajmy, że tam, gdzie jeszcze w połowie XX w. mieszkało 150 tys. ludzi, dziś jest nieco ponad 50 tys., większość substancji mieszkaniowej to albo lokale dla turystów, albo weekendowe mieszkania burżuazji z Mediolanu. Albo – coraz częściej – pustostany. Ale nawet na tych parunastu zadeptanych zwykle placach, placykach, ulicach i mostach, które stanowią może 10 proc. powierzchni miasta i odpowiadają za 90 proc. jego treści znanej całemu światu, da się w styczniu czy lutym w miarę swobodnie przejść, dostrzec kawałek chodnika, pobyć przez moment w ciszy.

Lepsza anatomia

Dlatego jeśli Wenecja, to raczej zimą. Jeśli mi nie ufacie, to przecież jest świadectwo Josifa Brodskiego, który umiał to miasto (Petersburg Południa?) zrozumieć, zdemaskować i opisać jak mało kto. Był na nie chory, doświadczał w nim lęku przed śmiercią i tam spoczął, na cmentarzu w kwaterze protestanckiej, bo tylko tam dało się załatwić miejsce. Nie przypadkiem jego książka o Wenecji nosiła pierwotnie tytuł „Nabrzeże nieuleczalnych" – to adres zresztą fikcyjny, ale odnosi się do realnego starego szpitala, którego nazwa trafnie określała ambicje praktykowanej tam medycyny. W późniejszych wydaniach Brodski zmienił to na „Znak wodny" – nie podoba mi się ta decyzja, ale nie znam lepszego sposobu na przygotowanie się do wyjazdu niż ta lektura.

Byle trzymać się z dala od przewodników, opracowań, nawet tych uczonych – poza tym od czasu, kiedy nosimy Wikipedię w kieszeni, każdy może zaraz sprawdzić, jaki Tintoretto, Veronese czy Tiepolo wisi akurat w kościele przed nami, jeśli ta wiedza dopełni komuś doświadczenie totalnego piękna. Totalnego, bo z racji zagęszczenia, ciasnoty, skupienia na małym obszarze śladów kilkuset lat bogactwa, pychy i pobożności – czyli podstawowego nawozu wszelkich sztuk – w Wenecji piękno otacza człowieka w pełnym obrocie 360 stopni na piętach wokół osi własnego ciała.

Wyjdźcie z terenu Ghetto Nuovo (uprzednio sprawdziwszy w żydowskiej cukierni, że hamantasze to jednak lepsze są na Kazimierzu) wzdłuż Rio della Misericordia. To jeden z trzech najbardziej malowniczych, równoległych, wyjątkowo długich, więc dających perspektywę kanałów w północnej części miasta i jedno ze skupisk knajpek nie całkiem zajeżdżonych przez turystykę. W pobliżu najbardziej z nich znanej (a jednak trzymającej jakość zimnych przekąsek zjadanych do kieliszka wina, zwanego tutaj *ombra*, czyli cień), zwanej Rajem Utraconym (Paradiso Perduto), skręćcie w lewo, przetnijcie jeszcze dwa równoległe kanały i stańcie na placu przy kościele Madonna dell'Orto. Matka Boska Ogrodowa. Sto metrów dalej jest już otwarta laguna. Jest cicho i błogo jak na końcu świata. Ceglana fasada z białymi rzeźbami skrywa kościół, którego wnętrze zajmie was nie mniej niż każde z renomowanych miejsc, do których trzeba stać w kolejce i zapłacić za bilet.

A teraz wyciągnijcie mapę (błagam was: papierową, w telefonie widać za mało, żeby rozsądnie zaplanować marsz) i spróbujcie dotrzeć do drugiego na mojej liście „ukrytych skarbów" kościoła San Francesco della Vigna. Święty Franciszek od Winnicy. Jak na miasto, w którym publicznie dostępne drzewa i trawniki da się policzyć na palcach dwóch dłoni, to niezła fantazja nazewnicza. W krużgankach klasztoru jest kaplica z jednym z najwybitniejszych obrazów Giovanniego Belliniego, miejcie w kieszeni 20 centów, żeby włączyć maszynkę z oświetleniem. Trasa między tymi dwoma kościołami pozwala zrozumieć, czym jest Wenecja, która sobie radzi z nadmiarem gości równie dobrze jak ze zbyt wysokim przypływem – po prostu ignoruje i trwa.

„Nie przyjechałbym tu nigdy w lecie, choćby mi przystawiono lufę do pleców (...) Odziane w szorty stada, zwłaszcza te rżące w języku niemieckim, działają mi również na nerwy; tym, że ich anatomia tak dalece ustępuje anatomii kolumn, pilastrów i posągów" – pisał Brodski, ale nie musimy być aż takimi mizantropami, żeby podzielać jego wybór zimy. To jest, jak pisał, abstrakcyjna pora roku, traktuje zdawkowo barwy, wtedy lepiej widać, że wenecka paleta jest tak naprawdę niezbyt szeroka i raczej zgaszona, pełna złamanych różów, szarości i rdzawej cegły, które łatwiej przekonują do siebie w chmurny dzień. Szybko zapadający zmrok przymusza nas, rozleniwionych doskonałością Photoshopa, do przypomnienia sobie o wyższości fotografii czarno-białej, czy

EAST NEWS

LOKAL BEZ NAZWY *na Campo S. Margherita, znany jako Caffé Rosso (Czerwona Kafejka) od koloru futryn, to jedno z tych miejsc, które pomimo kultowego statusu nadal karmi świetnymi kanapkami i ma bezpretensjonalną obsługę.*

raczej czarno-żółtawej, bo tutejsze nisko zawieszone latarnie sieją poświatę nad cichymi placykami. Zamiast coraz mniej niestety licznych kotów, biegają niespiesznie szczury. Skądinąd to wspaniały widok, jak ten gryzoń potrafi pływać.

Przez dotyk

„Wspólny cel wszystkiego tutaj to być widzianym" – jest w tych słowach Brodskiego wiele racji, ale osobliwa jest to pokazówka. Owszem, nie ma przynajmniej we Włoszech miasta będącego w równym stopniu jedną wielką dekoracją. Do takiego stopnia podrasowaną z każdej strony, że gdybym nie znał paru ludzi z krwi i kości, którzy tu mieszkają, użerają się z codziennością, chodzą na wywiadówki i wołają dzieci z placyku na obiad (podwórkowy futbol tutaj to niezła szkoła trzymania piłki tuż przy nodze i krótkich podań), tobym nie wierzył, że tu się „normalnie" żyje. Ale w tej pokazówce nic nie jest czyste i nowe. Odwrotnie – przeważnie solidnie nadkruszone, zakurzone i wysmarowane wilgotną śniedzią. Mimo to oko kąpie się w tym z dziką radością. Nie zgadzam się jednak z poetą (powtarzał zresztą tę myśl po wielu innych), że oko podporządkowuje sobie resztę ciała, że ciało staje się tylko środkiem transportu dla oka.

Niedocenianym zmysłem w weneckim doświadczeniu jest za to dotyk. W mieście, którego zaułki ledwo mieszczą jednego przechodnia, wchodzi się mimowolnie w intymny kontakt z budynkami i wkrótce człowiek zaczyna gustować w ocieraniu się o cegły, przeciąga bezwiednie palcem po kamiennych okładzinach i wygłaskanych przez pokolenia do obłości barierach przy schodach nad kanałami. Co i rusz ze ścian miasta rosnącego organicznie metodą ciągłej przebudowy i przeróbek wystaje jakiś zbędny rzeźbiony detal, obramowanie zamurowanych drzwi, krzywa belka nad niskim przejściem. Palce się same wyciągają, żeby bezinteresownie musnąć, jak byśmy odsuwali kosmyk z czoła. Trudno tam się chodzi z lubą czy lubym za rękę, materia miasta kusi.

Z tego też powodu Wenecja niekoniecznie jest dobrym pomysłem na romantyczną wyprawę z pierścionkiem w kieszeni, pyszne otoczenie prędko wessie cały nasz zachwyt i odwróci nas od osoby, której mieliśmy się zamiar oświadczyć. A temu miastu oświadczać się nie warto. Odrzuci każdego miłośnika, zakpi z podziwu, pozwoli się trochę pooglądać, po czym jak nazajutrz lub następnej zimy wrócimy – po śladach, tak się nam zdaje – na ten szczególny plac, pod ten wyjątkowy kościół, nad ten obłędny kanał, okaże się, że coś pomyliliśmy.

Sam łażę po niej już pół stulecia, zainicjowany w niewinnym wieku przez kuzynkę – jak każda wenecjanka pół kotkę, pół kobietę – w skryte skróty znane tylko miejscowym, a i tak mam poczucie, że ze trzy czwarte tego labiryntu nie umiem przejść na pewniaka. A ściślej – godzę się z tym, że zaraz się zgubię i wyjdę gdzieś, gdzie nie zamierzałem. Gubić się tu o tyle jest bezpiecznie, że choćbyśmy kluczyli pół dnia, nie wyjdziemy z miasta, które w odróżnieniu od innych nie kończy się ponurą rozlazłą peryferią. W pewnym sensie zostajemy zawsze w środku.

Jeśli was jeszcze nie bolą nogi, to przejdźmy spod winnego Franciszka przez całe miasto na skos – zahaczając, bo nie da się inaczej, o okolice świętego Marka. W zimie da się przejść bez większej traumy. Na południowym krańcu jest jeszcze jeden kościół, który ogromnie lubię: San Angelo Raffaelle. Jego piękna, ascetyczna fasada nad kanałem skrywa *de facto* boczną ścianę, „prawdziwy" fronton od placyku jest zaś mało efektowny, bo i tak mało byłoby go widać. Ma być ładnie, nie musi być logicznie.

Stąd już tylko dwa kroki na Campo Santa Margherita, zagłębie rozrywkowe z racji sąsiedztwa uniwersytetu. Zamawiamy *spritz.* Włoski drink, niemieckie słowo, ślad po zaborcy. Jeszcze jeden, oprócz *ghetta*, wkład weneckiego dialektu w światowe dziedzictwo. I jeszcze jedno słowo, które na pewno znacie: *ciao.* Pochodzi od dialektalnego *s'ciavo*, czyli niewolnik, sługa uniżony. Po austriacku i krakowsku *servus*.

©℗ PAWEŁ BRAVO

Fragmenty „Znaku wodnego" Josifa Brodskiego w przekładzie Stanisława Barańczaka.

RDC POLSKIE RADIO

PAWEŁ BRAVO będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 15 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
Na śmierć kury

Było to nieprzyzwoicie dawno. Dyrekcja naszej szkoły, uchodzącej za szalenie liberalną, zarządziła wywieszenie w gablotce na korytarzu afisza z hasłem, którego treść dziś wydać się może osobliwa, ale naonczas była po prostu sumą propagandowych potrzeb ówczesnej władzy. „Reagan mordercą polskich kur" – brzmiało owo brutalne ujęcie rzeczywistości sterowanej.

Niemała część uczniów patrząc na afisz zadrżała z lęku i oburzenia, informacja władz wskazywała im bowiem zbrodniarza winnego braku kury pieczonej oraz jajecznicy. Innej części młodzieży hasło owo dało – za przeproszeniem – do myślenia, ale jakie to było myślenie, jest tajemnicą do dziś. Część najmniejsza zorientowała się, że to jest już za wiele. Że śmierć drobiu polskiego z rąk amerykańskiego prezydenta to najwyraźniej konieczność dziejowa, i że martwa kura oraz brak jajek nie jest wygórowaną opłatą za likwidację ówczesnej racji stanu. Nie trzeba dodawać, że ci ludzie akurat należeli do tej wątłej części społeczeństwa skłonnej do niejakiej ideowości i poświęceń. Afisz bardzo prędko zerwano i oczywiście zrobiła to ręka będąca na usługach zagranicznych ośrodków dezinformacji bądź zachodnioniemieckich odwetowców na etatach amerykańskich militarystów.

W opinii dzisiejszych narratorów historycznych baśni nikt w owej Polsce nie wierzył w podobne przekazy propagandy komunistycznej, co jest rzecz jasna rzewną brednią. Wierzyła większość, zawsze bowiem większość wierzy w propagandę, taka jest prawda i w tym tkwi istota sensu jej uprawiania przez władze. Zapewne najszersze rzesze czytelników zastanawiają się, po co dziś przywołujemy tamto zaszłe już sadzą wydarzenie i czy aby jest owego jakaś rocznica. Nie ma – odpowiadamy. Nie ma owego żadnej rocznicy, zwłaszcza okrągłej. Poza tym obchodzenie rocznic w Polsce – to nasza opinia – jest jednym wielkim nieporozumieniem z prostego powodu: tu historia kołem się toczy, więc wszystko, co było kiedyś, jest nierocznicowe, ale wciąż bezbrzeżnie aktualne. Oto koło historii jest jedyną udaną polską konstrukcją, działającą bez oliwienia i przeglądów serwisowych.

Propaganda, bo o niej chcielibyśmy tu rzec słówek kilka, jest rzecz jasna elementem sprawowania władzy i im bardziej owa władza jest poza cywilizacyjną normą, tym propaganda jest ważniejsza. Przykładów, mamy wrażenie, nie trzeba polskiemu czytelnikowi przytaczać. Dlatego jednak przypomniał nam się Reagan i śmierć umiłowanych kur naszych, że przeczytaliśmy niedawno tytuł materiału wyświetlonego w telewizji publicznej, brzmiący „Pseudoelity zazdroszczą Polakom Sylwestra". Uznaliśmy natychmiast, że owo hasło jest z tego samego chowu – dodać trzeba: klatkowego – i mimo uprzedzeń i skojarzeń postanowiliśmy jednak zapoznać się, o cóż to autorom chodzić mogło. Ponieważ – z ręką na sercu – bez antypolskich intencji nie oglądnęliśmy „Sylwestra Marzeń" na żywo, obejrzeliśmy sobie jego fragmenty w internecie. Z poślizgiem.

Rzec tu trzeba, że bacznie obserwowaliśmy reakcje naszego organizmu, ustawiając rejestratory pogardy i złych emocji na najwyższym poziomie czułości. Czekaliśmy na moment, w którym drgnęłaby w nas niechęć do ludu miast i wsi, do Polski i Polaków, do Polek w końcu. Czekaliśmy także na ów od dawna niesłyszalny od dziesiątków lat sygnał, wzywający nas do wizyty w Stolicy Śnieżnego Puchu, a mamy tu na myśli Zakopane. Oto patrząc na elitę kultury polskiej, śpiewającą pierw z plejbeku, potem zaś na drobne materiały filmowe, rejestrujące, jak członkowie owej elity biją się po paszczach w lokalu nocnym, poczuliśmy w istocie coś na kształt zazdrości, że nas przy tym nie było. Jako pseudoelita cierpimy na liczne snobizmy, możność osobistego udziału w pokazie zachowań wzorcowych dla obecnej elity polskiej byłaby i ciekawa, i zaszczycająca. Spędzenie sześciu godzin w korku na 50-kilometrowym odcinku zakopianki, której nikt tu nie potrafi zbudować od czasu, gdyśmy uczyli się siadać na nocniku, byłoby tego warte. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

JUŻ W SPRZEDAŻY

Kod rabatowy: **StrefaTP** w księgarni **www.znak.com.pl**

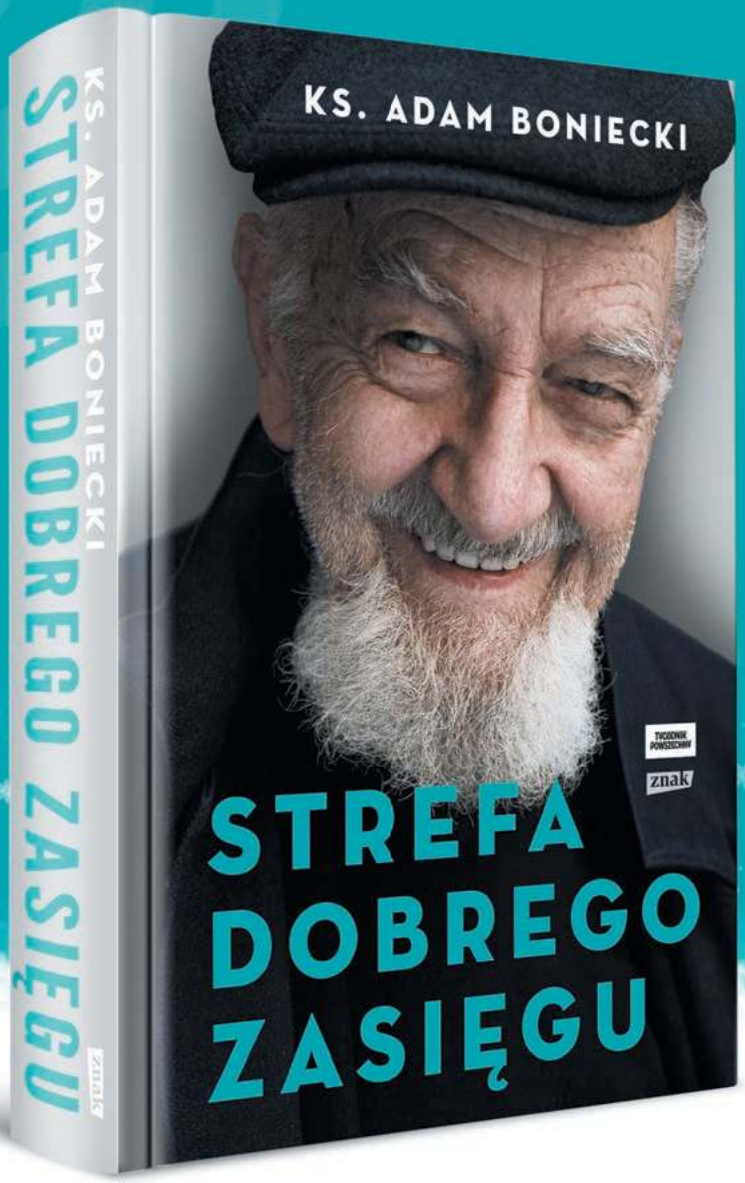

Dostajemy tu dużo więcej niż komentarz do rzeczywistości. Dostajemy wgląd w świat księdza Adama, taki, który nie ogranicza się do spraw Polski, Kościoła i „Tygodnika". Spotkania z przyjaciółmi i wspomnienia z młodzieńczych wspinaczek wysokogórskich, wyznanie nieprzemijającej słabości do zakupów w galerii handlowej i refleksja o niewłaściwości mrugania światłami po spotkaniu z wyposażonym w radar policyjnym patrolem. Przepisy na dobre świętowanie ważnych wydarzeń z kalendarza liturgicznego. Relacje z wydarzeń przełomowych. Szpile wbijane w co bardziej nadmuchane balony. „Gdybym był Konferencją Episkopatu Polski..." – zaczyna jeden z tekstów. Trochę szkoda, że nie jest. Całe szczęście, że nie jest.

znak

TYGODNIK POWSZECHNY

Michał Okoński,
redaktor tomu i dziennikarz
„Tygodnika Powszechnego"

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Autorski podkast
„Tygodnika Powszechnego”

Od jajka do kosmosu.
Od Hańby! do „Gry o tron”.
Od sztucznej inteligencji do Boga.
Od psychologii do polityki.
I dużo dalej.

A także o kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, prawach zwierząt, leczeniu niepłodności, mniejszościach, literaturze, także dla dzieci, i futbolu kobiet. A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY